



Przyr. 6039.

~~Nr Kat. Bibl.~~ ~~555~~ 639.

~~Dzieln.~~ ~~Nr~~

~~W. Inwentarza~~ 2490

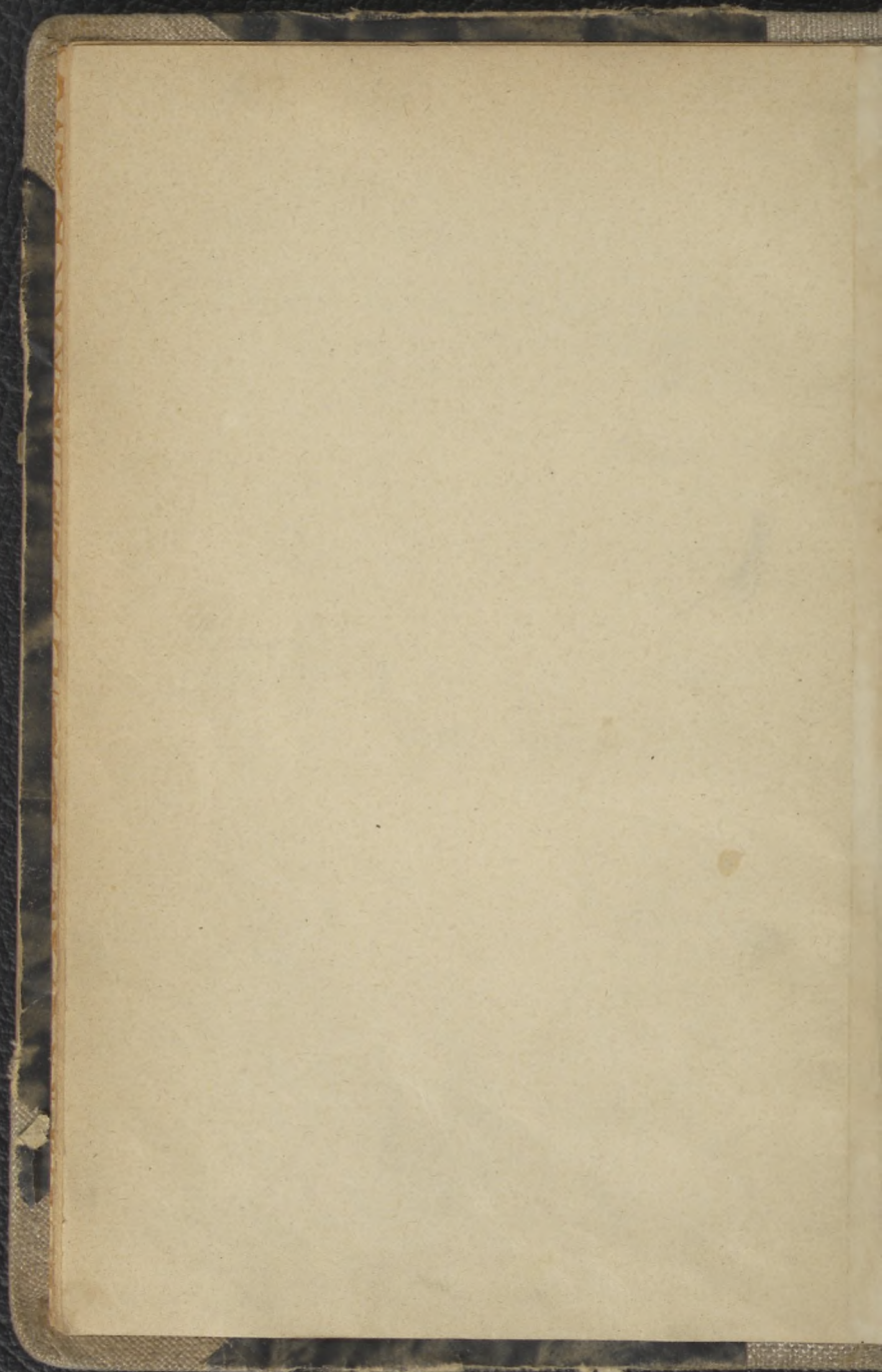
~~N. Kat. Bibl. pr.~~ 58

968

u

OPOWIADANIA Z ŻYCIA ZWIERZĄT

SERJA DRUGA



mod seton
Ernest Seton Thompson

2 1 5

Gryzli Uab Srebrny Lis Dzielny Rogacz

OPOWIADANIA Z ŻYCIA ZWIERZĄT

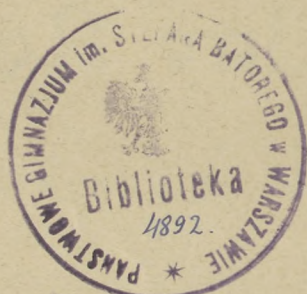
spolszczyła

Marja Hret-Golczewska

SERJA DRUGA



WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE



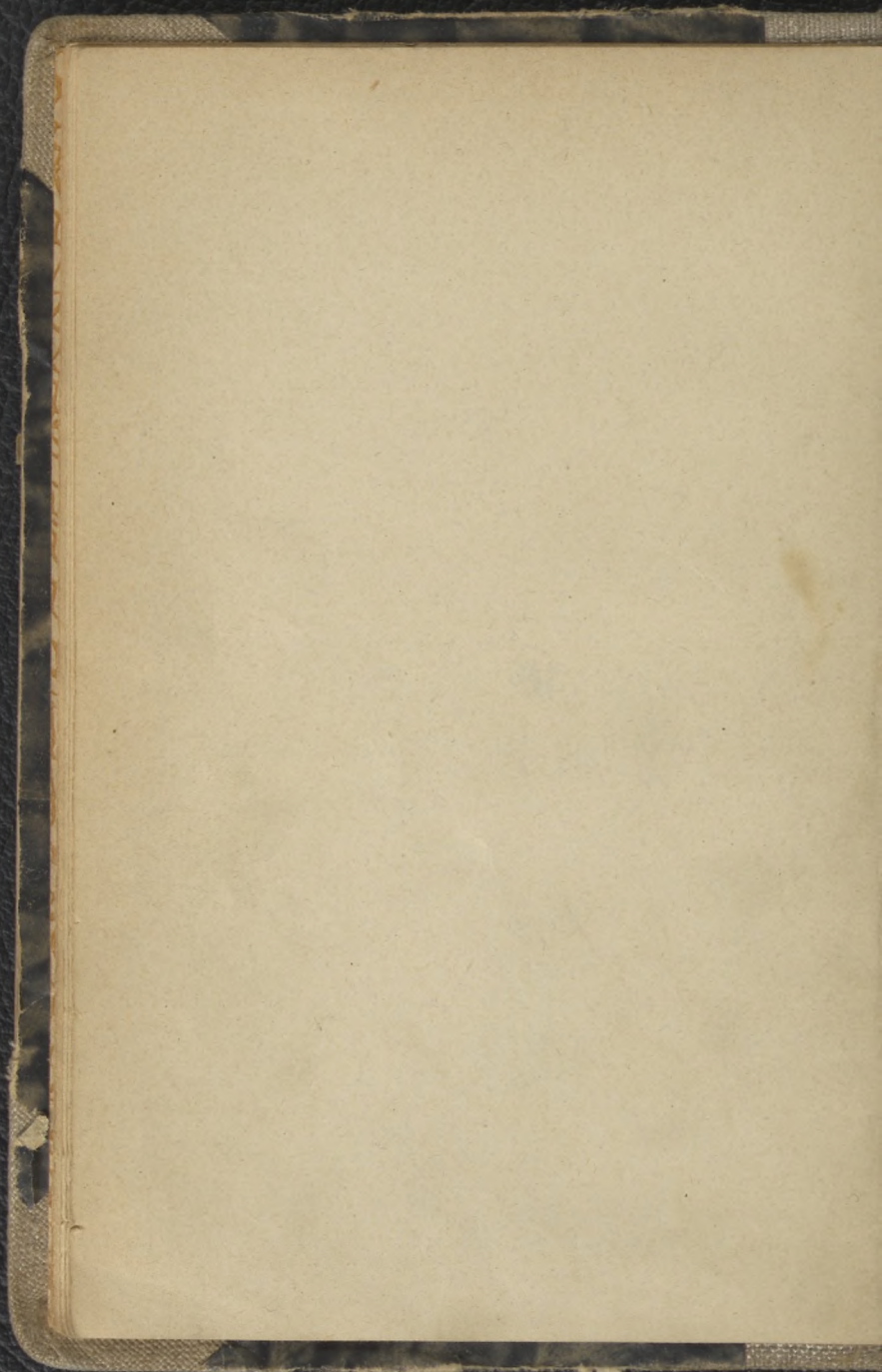
I.49.272



1912. — DRUKARNIA M. ARCTA
WARSZAWA—ORDYNACKA 3.

GRYZLI UAB

OPOWIADANIE O NIEDŹWIEDZIU SZARYM



DZIECIŃSTWO UABA.

I.



Urodził się dwadzieścia lat temu w najbliższej części zachodniej krainy na szczycie góry Sosnowej.

Matka jego była zwykłą srebrzystą, niedźwiedzicą lubiącą jak wszystkie niedźwiedzie spokój i ciszę, a kłopotzącą się tylko o siebie i swe dzieci.

W czerwcu niedźwiedzica sprowadziła swą liczną rodzinę z góry Sosnowej w dolinę Byczą, gdzie chciała nauczyć swe niedźwiedziątka szukania poziomek.

Dzieci Srebrzystej zwracały uwagę nietyle swą pięknnością ile raczej ilością, gdyż mało która matka niedźwiedzica mogła się pochwalić więcej niż dwoma niedźwiedziątkami, a ona miała ich aż czworo! Otaczała je więc pieczołowitą opieką i uczyła coraz czegoś nowego. Malcom wiodło się doskonale, bo matka wyszukiwała im wciąż jakieś nowe smakołyki. Największa radość była, gdy napotkano jaki wielki kamień: wtedy matka podnosiła go swą łapą, a niedźwiedziątka

właziły pod niego i wyjadały różne robaki, wije, ślimaki. Zadne z nich nie obawiało się, że może kamień spaść i przygnieść je swym ciężarem, wogóle poddawały się z całym zaufaniem wszystkiemu, co matka robiła. Ale bo też ktoby tylko zobaczył, jaka to wielka i silna łapa kryła się pod kudłami Srebrzystej, toby z pewnością sile jej i wytrzymałości odrazu uwierzył.

Niedźwiedziątka na tej pierwszej wędrówce poznały wiele nowych rzeczy: przedewszystkiem zwróciły ich uwagę pagórki mrówcze: te małe stworzenia wzbudzały w nich nietylko ciekawość, ale i pewną wrodzoną pożyłkiwość. Rzucały się więc na mrowisko z zapałem, rozgrzebywały łapkami i pochłaniały mordkami wszystko, co było w mrowisku. Naturalnie więc dostało się im przy tem do pyszczka piasku i igieł sosnowych niż mrówek — piszczały więc żałośnie i uciekały do matki, pokazując jej zabrudzone swe łapki. Niedźwiedzica pomrukując znacząco, podeszła do mrowiska i wsunąwszy weń łapę, czekała spokojnie. Po chwili wyciągnęła łapę z mrowiska, a na niej roilo się od brunatnych mrówek — nie było zaś zupełnie ani piasku ani igieł — podniosła łapę do pyska i oblizwała ją, a potem podała ją do oblizywania





Żadne z nich nie obawiało się, że kamień może spaść i przy-
gnieść je swym ciężarem . . .

dzieciom. Niedźwiedziątka zrozumiały i same zaczęły w ten sam sposób łowić i pochłaniać mrówki.

Po skończonej uczcie zaprowadziła je matka na brzeg strumyka płynącego środkiem doliny. Wszystkie, bardzo spragnione, gasiły pragnienie świeżą zimną wodą, a potem płukały w niej łapki, pluskały się i przewracały na kamkach. Nagle zobaczyły coś poruszającego się w przezroczystej wodzie — jeszcze nigdy nie widziały takich stworzeń.

— Poczekajcie, pokażę wam coś nowego — zdawała się mówić matka i dawszy znak malcom, by cicho siedziały, sama uderzyła kilkakrotnie łapą po tafli: w okamgnieniu zmała się woda i nie było widać ani jednej ryby, ale po chwili niektóre mniej doświadczone mieszkanki wody wypłynęły z prądem w czystą wodę i w jednej chwili znalazły się w pysku niedźwiedzicy, która jedną po drugiej zносиła na brzeg. Małe przyglądały się z początku nieufnie tym pletwiastym „jaszczurkom,“ ale gdy matka jedną schrupała, zabrały się same do nich i tak się uraczyły nową zdobyczą, że wkrótce brzuszki ich wzdęły się jak balony.

Teraz jedynym ich pragnieniem było spać. Wiedziała o tem dobrze Srebrzysta i, wyszukawszy zaciszny, spokojny kącik w zaroślach na stoku



góry, ułożyła się sama, a obok cała czwórka pograżyła się w miły, głęboki sen — objawszy się wspólnie brunatnymi łapkami, a czarne noski umieściwszy na ciepłych kudłach matki.

Po upływie 2 godzin zbudziły się z wyjątkiem najmniejszego Strzępuszka, który wsunął się jeszcze głębiej w futro matczyne, po chwili już znowu wszystkie cztery zaczęły ziewać i przeciągać się a potem bawić w najlepsze. Przewracały się wzajemnie, tarzały po trawie, skakały, mocowały z sobą, słowem wyprawiały najrozmaitsze figle, przypominając to kociaki młode, to psiaki, to dzieci. Największy i najsilniejszy z nich Uab położył się na grzbiecie i łapami usiłował wyrwać korzeń, gryząc go zębami, szarpiąc i warcząc, jakby miał do czynienia z żywą istotą. Puszyńska wielka figlarka pociągnęła za ucho Kędziorka, a ten chwycił ją za szyję łapkami i oboje zaczęli tulać się po ziemi, a że działo się to na spadzistym stoku góry, szybko stulali się w dół i zatrzymali się dopiero przy rzece, skąd po chwili rozległo się żałosne głośnie skowyczenie.

Stara niedźwiedzica pojęła odrazu, że musi grozić jej dzieciom jakieś niebezpieczeństwo, bo w okamgnieniu z czulej matki stawszy się groźnym dzikim zwierzem, opuściła swe ciche schro-



nienie i kilkoma skokami znalazła się obok swych skarbów, właśnie w chwili, gdy ogromny byk chciał je wziąć na rogi.

Jeszcze minuta — a byłaby Puszynka zginęła na rogu byka — ale przeraźliwy ryk niedźwiedzi i tentent jej wielkich łap spłoszyły go — puścił więc swą małą ofiarę i spojrzął w stronę usłyszanego głosu.

Srebrzysta z najeżonem futrem, z podniesionemi do góry przedniemi łapami skierowała się wprost na przeciwnika.

Ale czyżby uląkł się jej ten wielki mocarz — król doliny Gromkiej, ten postrach zwierząt i ludzi?

Stanął wyprostowany i jednym susem rzucił się rogami na niedźwiedzię, tak, że ją przyparł grzbietem do skały — ale w jednej chwili dostał od niej takie uderzenie w głowę, że oszołomiony cofnął się. Skorzystała z tego rozjuszona matka i skoczywszy bykowi na plecy, zaczęła wrywać mu szerść swemi ostremi pazurami.

Byk zaryczał ze złości i bólu i puścił się cwałem naprzód, unosząc na grzbiecie niedźwiedzię i kierując się do strumienia. Spostrzegłszy to niedźwiedzica zeskoczyła na ziemię, a byk rzucił się do wody. Szczęściem było dla niego, że go Srebrzysta nie zamierzała dalej gonić — powróciła czempredzej do swych przerażonych dzieci. Długo jeszcze potem słychać było ryk byka podążającego po drugiej stronie strumyka do swego stada.

II.

Stary pułkownik Pickett, król i właściciel państwa byków, postanowił wybrać się pewnego dnia na przegląd swych rozległych pastwisk. Właśnie poprzedniej nocy nowy księżyc pokazał się ponad stożkowatym szczytem góry Picketta.

— Przed miesiącem widziałem księżyc ponad szczytem Franka — rzekł pułkownik — teraz zwrócił się on w moją stronę — to dobry znak!

I rzeczywiście następnego ranka przyniósł mu miłą niespodziankę: otrzymał z Waszyngtonu długo oczekiwany list, w którym donoszono mu, że prośba jego do rządu została wysłuchana i w najbliższej przyszłości będzie urządzona w jego dobrach stacja pocztowa.

— Jakaż nazwę nadaćby tej stacji? — myślał i zdjawszy ze ściany fuzję, wyszedł, wskoczył na konia i podążył w stronę Byczej doliny.

Jeszcze nie dojechał na miejsce, gdy zdaleka usłyszał jakiś dziwny ryk, jakby połączone głosy wielu byków, a im bardziej się zbliżał, tem wyraźniej słyszał wielkie poruszenie i głośnie niepokój w stadzie, tak jakby zwierzęta te czuły lub widziały krew świeżo przelaną. I rzeczywiście, po chwili Pickett ujrzał jednego byka z grzbietem zranionym i mocno krwawiącym; on to był przyczyną ogólnego niepokoju i porykiwań.

— „Gryzli“ — szepnął pułkownik, który był dobrym znawcą gór i ich mieszkańców i zaczął rozglądać się za śladami kwi. Znalazł je i skie-



rował konia w tę stronę, właśnie obok góry Sosnowej — tuż do strumienia. Koń wskoczył w zimną wodę i śmiało przeszedł na drugi brzeg. Tutaj jednak spał się, najeżył sierść, zastrzygł uszami i rozdymając hrapy, zabierał się do odwrotu.

Opodal siedziało pięć sztuk niedźwiedzi: stara niedźwiedzica i czworo niedźwidiątek.

Głuche, przytłumione mruczenie dało się słyszeć — to matka Srebrzysta wydawała rozkaz swym małym: „Uciekajcie do lasu!” — ona wiedziała dobrze, co znaczy człowiek na koniu.

Ale zanim małe zdążyły dopaść do najbliższych drzew, rozległ się strzał... i wielka szara niedźwiedzica padła zraniona. Znowu huknął strzał i mały Kędziorek leżał tuż przy niej.

Z wściekłym rykiem podniosła się niedźwiedzica i skoczyła wprost na nieprzyjaciela... Ale nowy strzał zagrzmiał — i położył nieszczęśliwe zwierzę trupem, a trzy pozostałe niedźwidiątka pobiegły co tchu do matki...

Jeszcze jeden strzał i Puszyńka i Strzępuszek padły nieżywe, zanim zdążyły schować się pod kudły tej, która tak dobrze ich zawsze w niebezpieczeństwie broniła. Uab zaś przerażony zaczął uciekać, ale i jego dosięgła kula, raniąc tylko, tak że biedak,



włokąc się i jęcząc z bólu, ledwie dotarł do lasu, gdzie znikł w gęstwinie.

* * *

Nową stację pocztową nazwał pułkownik „Cztery niedźwiedzie“ — a całe to zdarzenie było jego ulubionem opowiadaniem aż do końca życia.

* * *

Tymczasem w wielkim gęstym lesie chodził mały Gryzli sam, włokąc zranioną nogę i piszcząc żałościwie. Co chwila zatrzymywał się i rozglądał jakby wyczekiwał nadejścia swej drogiej matki...

— Mamo, mammo, gdzież ty jesteś?! — zdawało się brzmieć w jego smutnym, tęsknym mruczeniu. Było mu zimno i był głodny, a przytem tak go bolała noga! Ale napróżno biedak czekał, a odwagi powrócić na miejsce swego nieszczęścia nie miał. Znalazł wreszcie jakąś dobrą sosnę, wdrapał się na nią i przytulił do gałęzi.

Wtem poczuł jakiś dziwny zapach zwierzęcy i usłyszał tupot nieznaných zwierząt — ciekawy co to być mogło, siedział cichutko i czekał...

Po chwili zjawilo się obok drzewa stado rączych zwierząt z długimi szypami i rogami. Nie widział on jeszcze nigdy takich zwierząt, ale matka opowiadała mu o istnieniu istot zwanych jeleniami lub łosiami — to pewnie były jedne z nich. Nie zląkł się tej gromady, lecz spuścił głowę i przyglądał się, jak te wielkie rogate zwierzęta skubały trawę.



Nagle jeden z łosi, stojący na czele, podniósł łeb, rozszerzył nozdrza i w okamgnieniu zawrócił wgłęb lasu a za nim stado. Widać doleciał ich zapach niedźwiedziątka i tak bardzo przeraził.

A biedny, mały Uab przesiedział na drzewie do rana i zmarzył tak, że ledwie mógł się ruszać, przytem był strasznie głodny i gdy pomyślał o swej wielkiej biedzie, zapiszczał żałośnie i zeszedł na ziemię.

Właśnie słońce przygrzało jego futerko i zrobiło mu się cieplej, a kilka jagód i trochę mrówek pokrzepiło go i powlókł się do strumyka. Tutaj przedewszystkiem umaczał w zimnej wodzie zranioną nogę, paliła go bowiem bardzo i czuł, że mu to dobrze robi. Stąd było już niedaleko do miejsca, gdzie zostawił wczoraj matkę i rodzeństwo — tam więc podążył. Po drodze natknął resztki wczorajszej uczyt rybkiej i zjadł co się dało. Już zdawało mu się, że jest blisko swej drogiej matki, gdy wtem poczuł nowy zapach, strasznie przykry i cuchnący, a gdy wdrapał się na pagórek, zobaczył kilka koyotów szarpiących coś i ciągnących po ziemi. Niedźwiadek nie szedł dalej — przerażony zawrócił i już nie poszedł więcej szukać matki — coś mu mówiło, że już jej nigdy nie znajdzie i że lepiej na miejsce nieszczęścia nie wracać. Cały dzień przełaził po lesie, znalazłszy ledwie kilka jagód dla zaspokojenia głodu.

Nadeszła znowu zimna noc, a biedny sierota, mały, okaleczały bezdomny niedźwiadek wciąż piszczał, żalił się i szukał schronienia. Wreszcie



Znalazłszy jakąś dobrą sosnę, wdrapał się na nią i przytulił
do gałęzi...

napotkał wydrażony pień, ułożył się w nim i wdychając ci-chutko do ramion swej drogiej matki, wtulił nosek między swe własne łapki i zasnął.



III.

Uab nigdy nie był wesołym niedźwiedziem, a różne przygody i niepowodzenia zrobiły go jeszcze bardziej poważnym i ponurym.

Zdawałoby się, że wszystko było przeciwko niemu. Najlepiej mu jeszcze było w głębi boru sosnowego, gdzie w dzień udało mu się zawsze znaleźć coś do jedzenia, a noc spędzał spokojnie w głębokiej dziupli spróchniałego drzewa. Pewnego wieczoru jednak zastał swe mieszkanie zajęte przez jeżozwierza z kłującymi kolcami, i musiał biedak szukać innego schronienia.

Innego znowu dnia, poszukując w dolinie Byczej smacznych korzeni, tych, które mu matka niegdyś wskazywała, ujrzał jakieś groźnie wyglądające zwierzę, wyłazące z nory ziemnej wprost na niego. Nie wiedział on, że to jest borsuk, ale wiedział, że trzeba uciekać przed dzikimi zwierzętami i czempredziej zawrócił i póty biegł, aż dotarł do najbliższego strumyka. Tutaj jednak wyskoczył wprost na niego koyot, szczekając przeraźliwie, a za nim biegł drugi i oba gonili kulawego niedźwiadka. Wreszcie, gdy już opa-

dał z sił, wyczerpany wskoczył na drzewo i wdrapał się na wysoką gałąź. Koyoty jeszcze nie dały za wygrane i zaczęły latać wokół drzewa, ale widać przypomniały sobie, że w bliskości takiego niedźwiedziątka na drzewie bywa zwykle matka, po chwili zaprzestały więc obłęzenia i cicho zawróciły. W ten sposób biednego sierotę uratowała nieistniejąca już matka.

Zlął więc Uab z drzewa i wrócił do swej puszczy Sosnowej. Wprawdzie w dolinie Byczej było więcej pożywienia, ale tam wciąż groziło mu jakieś niebezpieczeństwo, od którego nie miał go kto chronić i bronić — wolał więc być w lesie, gdzie każdej chwili mógł wdrapać się na jakieś drzewo, co było dotychczas niezawodnym jego ratunkiem.

Noga długo nie chciała mu się zagoić, i nigdy już nie była zupełnie zdrowa. Rana wprawdzie zablizniła się i już tak go nie bolała, ale dostał na podeszwie nową skórę, która całkiem była niepodobna do tamtej na trzech zdrowych nogach i zawsze mu trochę dokuczała i zaważdała przy chodzeniu, a najbardziej wtedy, gdy musiał uciekać lub drapać się szybko na drzewo.

A jednak ciągle musiał się mieć na baczności, bo miał samych wrogów wokół, a przyjaciela od śmierci swej drogiej matki — żadnego. Ona to była jego najlepszym przyjacielem i opiekunem. Stratę jej uczuwał na każdym kroku. Wszakże i chleb codzienny musiał on zdobywać własnym pomysłem i nabierać ciężkimi doświadczeniami praktyczności i umiejętności życia.

O ileżby to łatwiej przyszło, gdyby żyła matka Srebrzysta. Dobrze że choć przyroda sama zsyłała coraz coś dobrego, co mogło zaspokoić głód i pragnienie.

Właśnie nastał czas dojrzewania szyszek sownych, a w roku tym był nawet wielki na to urodzaj. Uab mógł się teraz dowoli uraczyć smaczniemi nasionami za wszystkie czasy głodu. To też rósł on i rozwijał się i znać już było w nim silnego niedźwiedzia, tak że nawet inne zwierzęta leśne nie śmiały go zaczepić i jakiś czas żył sobie spokojnie i szczęśliwie.

Aż tu pewnego dnia spotkał on pod cedrem, gdzie zbierał szyszki, jakiegoś innego, dużego czarnego niedźwiedzia podążającego ku niemu.

— „W lesie każde zwierzę jest nieprzyjacielem” — pomyślał Uab i wdrapał się na drzewo.

Czarny niedźwiedź w pierwszej chwili przeląkł się, poczuwszy zapach Szarego, ale przekonawszy się, że to jest jeszcze bardzo mały Gryzli, podszedł pod to samo drzewo i zaczął się jeszcze zręczniejsz wdrapywać niż Uab. Ten wdrapał się wyżej, czarny za nim. Uab wlaźł na szczyt drzewa i zawiesił się na jednej z cieńszych gałązek. W tejże chwili napastnik wstrząsnął mocno drzewem i mały Gryzli upadł z łoskotem na ziemię. Ledwie się podniósł i rozbity z jękiem powlókł się dalej. Czarny niedźwiedź nie gonił go, może obawiał się bliskości matki szarej, która z pewnością nie puściłaby cało napastnika.

Mały Gryzli o tem jednak nie wiedział i opuścił piękny las cedrowy. Ale gdzież miał się te-



Wyżej wśród gałęzi pojawił się ryś w groźnej postawie, broniąc przejścia . . .

raz biedak podziąć! W dolinie Gromkiej nie było w jesieni wiele pożywienia: jagody już się skończyły, a mrówek i ryb nie zawsze udało się dostać. Szedł więc biedny niedźwiadek smutny i zgnębiony brzegiem rzeki coraz niżej, niżej aż dotarł do doliny Meteetse.

I znowu napadł go koyot, Uab chciał uciekać ale nie mógł. Odwrócił się raptem i stanął groźny naprzeciw wilka. Ten, nie namyślając się długo, uciekł ile mu sił tylko starczyło. Po raz pierwszy zdobył mały, słaby niedźwiadek spokój własną siłą.

Uab nie mógł długo pozostać nad brzegiem strumienia, gdyż nie było co jeść, chciał więc powędrować do lesistego zakątka doliny, gdy ujrzał człowieka, takiego samego, jakiego widział owego pamiętnego wieczoru, kiedy stracił całą swoją rodzinę. W tejże samej chwili posłyszał wystrzał i równocześnie coś z gwizdem przeleciało tuż nad jego grzbietem!

Całe zajście i nieszczęście w dolinie Byczej stało mu żywo w pamięci, nie oglądając się więc, leciał przed siebie. Przez długą chwilę nie widział żadnej bezpiecznej kryjówki aż wreszcie dopadł do jakiejś szerokiej szczeliny w skale. Wydawało mu się to dobrem schronieniem—ale nagle stanęła mu na drodze krowa i tak groźnie ruszała rogami, że Uab przerażony skierował się w bok i już chciał wdrapać się na przewrócony pień sosny, ale nagle wyżej wśród gałęzi na drugim końcu pnia sosny pojawił się ryś, w groźnej postawie broniąc przejścia.

Biedny Uab stanął jak wryty: chyba wszystko zmówiło się przeciw niemu! Musiał więc iść dalej i wreszcie dostał się do małego lasku cedrowego, otaczającego tę część doliny.

Ale i tutaj nie odrazu znalazł spokój. Na samym wstępie przywitały go wiewiórki, które widać niezadowolone z nowego rywala w chrupaniu cedrowych nasion, zaczęły piszczeć i biegać niespokojnie. Ale że niedźwiadek nic sobie z nich nie robił i szedł wolno swoją drogą, więc tylko wielką gromadą towarzyszyły mu, skacząc po gałęziach drzew i krzycząc. Chciały zapewne

swym hałasem zwabić jakie większe zwierzę, któreby wypędziło natręta z ich siedzi-



by. Cała ta scena ogromnie zdenerwowała niedźwiedzia, tak, że nie śmiał się zatrzymać i dopiero wypadłszy na kamienisty pagórek na skraju lasu, pewny, że nie napotka nowego wroga, przysiadł, by wreszcie odpocząć.

IV.

Uab nie był nigdy usposobienia łagodnego, a przygody i przeciwności życiowe robiły go coraz bardziej złośliwym i nieufnym. Dlaczego nie chciano zostawić go w spokoju? Dlaczego wszys-

cy byli przeciwko niemu? Ach, żeby to matka jego mogła powrócić! I żeby mogła zabić tego czarnego niedźwiedzia, który prześladował go na każdym kroku i bronił mu wstępu do lasu!

W całej tej niedoli nie przyszło mu nawet na myśl, że mógłby już czasem zaufać własnej sile, że przecież już dzisiaj sam się potrafił obronić! A jeszcze w dodatku ten złośliwy ryś, czegóż on chciał od niego i ten człowiek strzelający. Strasznie czuł się nieszczęśliwy i nie mógł nikomu zapomnieć swych krzywd — postanowił więc raz pomścić się!

Nowa siedziba Uaba wydawała się dobrą, obfity był bowiem i tutaj urodzaj na szyszki. Wkrótce dowiedział się, dlaczego wiewiórki tak się na niego gniewały, gdy wchodził do ich państwa; oto obfite ich spichrze stały się niedługo szczęśliwym łupem niedźwiadka, ku wielkiemu zmartwieniu z jednej, a radości z drugiej strony — orzechy bowiem i nasiona szyszek były nadzwyczajnie dobre. I gdy dni stawały się coraz krótsze, a noce coraz bardziej mroźne, Uab nabrał tuszy i wzrostu godnego młodego niedźwiedzia. Włóczył on się teraz śmiało po wszystkich zakątkach wąwozu, trzymał się jednak bardziej wysokich lasów, niż doliny, a najrzadziej bywał nad rzeką.

Pewnej nocy, zbliżywszy się do wody poczuł jakiś dziwny zapach, który go tak zaciekawił, że poszedł w tym kierunku, uważnie rozglądając się. Stał tam w wodzie przy samym brzegu zanurzony do połowy kłoc. Od niego szedł ten osobliwy

zapach... Uab zbliżył się ku niemu, a w tejże chwili klapło coś głośno i łapę mocno przytrzymało.

Jęcząc i skowycząc, Uab ciągnął łapę z całej siły, ale nie mógł jej wyrwać z żelaznego zatrzasku. Jeszcze raz pociągnął, cofając się całym ciałem i tym sposobem wyrwał z wody cały kloc i pognął z tem wszystkim do nadbrzeżnych zarośli. Tutaj próbował uwolnić łapę z zatrzasku zębami, ale oprócz przykrego uczucia zimnego i twardego metalu, nie nie zyskał. Gryzł go jednak i rwał pazurami, tłukł łapą o ziemię — nie nie pomogło. Wreszcie zakopał łańcuch w ziemi i chciał odejść, myśląc, że w ten sposób uwolni się od niego. Napróżno! zatrzask zaciskał się coraz bardziej! Biedny niedźwiadek usiadł zmęczony i zrozpaczony pod krzakiem. Z takim nieprzyjacielem nie spotkał się jeszcze nigdy i zupełnie nie mógł go zrozumieć.

Po dłuższej chwili zabrał się znowu do walki z tym nowym wrogiem. Wolną łapą przytrzymał mocno łańcuch, a zębami pociągnął zatrzask i — o dziwo — łapa została uwolniona!

Zerwał się i uciekł od groźnego narzędzia. W drodze zaś powtarzał zapewne sobie, że w przyszłości należy wystrzegać się znajomości z podejrzaniem zapachami i obchodzić je z daleka, bo znowu może jaka tajemnicza siła złapać mu łapę. Przez cały tydzień bolała go łapa, zwłaszcza gdy wspinał się na drzewa.



Właśnie był to czas, kiedy łosie odzywają się w górach, wabiąc się wzajemnie. Po całych nocach słyshał Uab to ich oryginalne ryczenie jakby szczekanie, ale nie śmiał wyjść, by się im bliżej przypatrzeć, bo przecież miały duże, groźne rogi, które on już miał sposobność dawniej poznać.

W tym także czasie zaczęli i ludzie kręcić się po lesie — to z fuzjami, to z zatrzaszkami, a stada dzikich gęsi przelatywały po nad lasem. Rozchodziło się mnóstwo dziwnych zapachów w lesie i Uab był mocno tem zaciekawiony i zaniepokojony. Chodził więc to tu, to tam, aż pewnego dnia, wiedziony jakąś ponętą wonią, znalazł się na małej polance, gdzie leżało kilka patyków, a jeden z nich był wbity w ziemię. Zapach dochodzący stamtąd przypominał mu ów straszny wieczór, w którym stracił matkę. Co to być mogło? Zbliżył się jeszcze bardziej i obwąchał to nowe zjawisko wokoło. Woń z przedniej strony wydawała mu się obrzydliwą, ale z tylnej, tam gdzie leżała kupka chróstu, wydawała mu się bardzo miła i słodka. Podniósł więc jedną łapą suche gałęzie do góry, a drugą wyciągnął kawałek mięsa — a wtem trzasło coś tak jak wówczas nad rzeką! Uab przerażony odskoczył — na szczęście jeszcze w porę. Łapa nie tylko że nie dostała się do zatrzasku, ale trzymała mocno kawałek mięsa, pomimo to niedźwiadek znowu przyszedł do przekonania, że każdy brzydki i dziwny zapach zapowiada coś niedobrego i niespodziewanego.

Dnie stawały się coraz zimniejsze i Uabowi wciąż chciało się spać, tak że sypiał nieraz całymi dniami. Nie miał on stałego mieszkania, lecz spał zwykle tam, gdzie mu było wygodniej— w końcu zaś wybrał sobie zaciszną norę w ziemi pod korzeniami z przewróconym pniem wielkiej sosny i ułożywszy się wygodnie, zapadł w głęboki sen.

W samą porę niedźwiedziątko się skryło, bo właśnie zaczęły się zimowe zawieruchy śnieżne. Śnieg padał i padał, tak że gałęzie drzew gięły się pod jego ciężarem. Biała, miękka powłoka niby kołdra pokryła góry i zapełniła dolinki i parowy po same brzegi. Koło legowiska Uaba zgromadziła się masa śniegu, tak że utworzyła się wkrótce twierdza chroniąca od wichru i zabezpieczająca od mrozu, a pod nią, nakryty ciepłą ziemią spał biedny, opuszczony sierota niedźwiedzi, jedyny pozostały potomek dzielnej matki Srebrzystej.

V.

Uab spał całą zimę bez przebudzenia, jak to jest zwyczajem wszystkich niedźwiedzi, a teraz, gdy nastąpiła wiosna, zbudził się, zdziwiony, że przespał tyle czasu. Zmienił się trochę przez ten czas, schudł i urósł. Obudził się strasznie głodny i, wyciągnąwszy się należycie, poszedł na poszukiwanie zdobyczy. Nie było to jednak łatwe, gdyż nie było już teraz nasion szyszek ani jagód ani jeszcze mrówek, udało mu się jednak znaleźć

zwłoki martwego, prawdopodobnie zmarzniętego łosia i uraczył się nimi należycie, pozostałą resztę ukrył na później. Wystarczyło mu tego na kilka tygodni, potem znowu odbywał dalsze wędrówki, gdyż w najbliższej okolicy nie na razie znaleźć nie mógł.



W jednej z takich wędrówek zaszedł do jakiejś pięknej doliny, gdzie było dużo słońca i bujna roślinność, zapewne więc i pożywienia też była obfitość. Gdy tak zachwycony rozglądał się po nowej okolicy, poczuł zapach czegoś, co mu przypomniało jakby niedźwiedzia szarego. Zapach ten stawał się wyraźniejszy im bardziej zbliżał się do wysokiej sosny, stojącej samotnie na skalistym zboczu. Uab stanął na tylnych łapach, żeby lepiej obwąchać drzewo i poznał po nalepionym na niem błocie i szarych włosach, że był tu jakiś wielki szary niedźwiedź, prawdopodobnie większy od niego. Poczuli się więc nieswojo. Oddawna coprawda pragnął spotkać się z jakim krewniakiem, ale obecnie ten nowy znajomy przejmował go strachem. Wszakże dotychczas nie doznał nic dobrego w czasie swej samotności i opuszczenia, czyż teraz mógł spodziewać się czego lepszego?

Gdy tak rozmyślał, ujrzał nagle olbrzymiego Gryzli. Wielki szary niedźwiedź z całą siłą wy-

rywał na pagórku z pod kamieni korzenie roślinne.

Uab, nie wiele myśląc, zawrócił do lasu i, stanąwszy na wzniesieniu, obserwował ruchy potwora.

Olbrzym po chwili, poczuwszy także obecność drugiego niedźwiedzia, porzucił swe korzenie i podszedł do sosny, obtarł się o nią nosem i pazurami darł kore, o którą poprzednio obcierał się Uab. Potem szybko poszedł za śladem Uaba.

Ale młody niedźwiedź spostrzegł to w porę i czempredzej uciekł do swego wąwozu Meteetse, upewniwszy się po raz nie wiem który, że więcej swobody i spokoju ma się tam, gdzie jest brak pożywienia.

Lato wkrótce nadeszło i wtedy zaczęło się lenienie zwierząt. I Uaba mocno swędziła skóra, tak że czuł potrzebę drapania się i z całą przyjemnością tarzał się w błocie, a potem obcierał o drzewa. Wyrósł ogromnie, a jeszcze bardziej pazury jego i łapy, tracił przytem swą dawną lekkość, sprężystość i zręczność, jaką miał w dzieciństwie, nie tak dawno jeszcze. Nie mógł on teraz drapać się po drzewach, ale za to coraz częściej stawał przy drzewie na tylnich łapach i wyciągnąwszy się jak mógł najwyżej, obcierał się o kore koniuszkiem nosa. Może nie zauważył tego, a może i wiedział, że dosięgał coraz wyżej i że stając się wielkim i silnym, coraz wyżej dotykał drzew swą skórą, tak że w końcu wszystkie drzewa okolicy przez niego zamieszkaney były jakby poznaczone jego sierścią. Stanowiło to okręg Uaba, którego był wyłącznym panem i władcą.

Pewnego dnia w końcu lata zauważył, że w pobliżu pojawił się jakiś nieproszony gość — inny niedźwiedź o czarnem błyszczącym futrze. Uab strasznie się rozzłościł na intruza. Gdy czarny się zbliżył, Uab zobaczył jego czerwony nos, białą plamę na piersiach i rozerwane jedno ucho, a przytem doleciał go jakiś dziwny zapach.

Nie było wątpliwości, że to był ten sam czarny niedźwiedź, który go napastował niegdyś w borze sosnowym. Ale jakżeż on się zmienił! Dawniej był to olbrzym, przed którym drżał ze strachu, obecnie zaś mógł on, mały Gryzli, zmiażdżyć go uderzeniem łapy. Podsunął się więc bliżej z groźną miną, czarny zaś w okamgnieniu wdrapał się na drzewo. Uab podążył za nim, ale wielkie jego łapy nie mogły nawet uchwycić cienkiego drzewa i po kilku nadaremnych wysiłkach odszedł. Skorzystał z tego czarny i uciekł, a gdy Gryzli po raz wtóry powrócił pod to drzewo, gdzie siedział jego niegdyś nieprzyjaciel, nie było nawet śladu po nim.

Lato miało się ku końcowi, a z nim kończyły się różne przysmaki leśne. Pewnej nocy powędrował więc Uab do dolnej części wąwozu, spodziewając się tam znaleźć coś dobrego. I rzeczywiście, po chwili doleciał go z wiatrem miły zapach — poszedł za nim i znalazł się obok martwego ciała byka. Obok uwijało się kilka koyotów, ale jakież małe wydały się one teraz Uabowi w porównaniu z temi, które widział w dzieciństwie! Jeden z koyotów stał sam

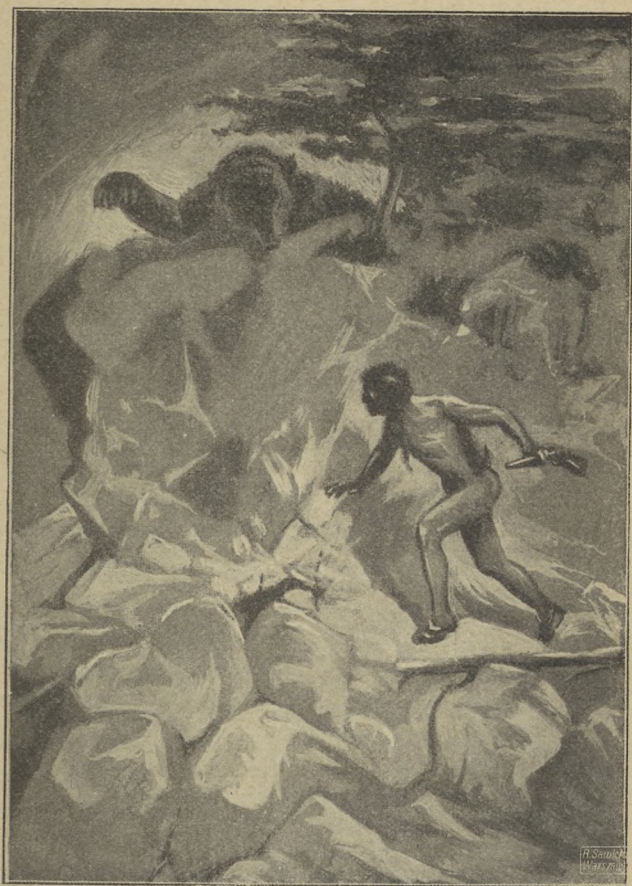
jakby przykuty do miejsca, wykonywając tylko jakieś dziwne skoki tylnymi nogami. Uab podsunął się do niego i powalił go na ziemię, w tej chwili jednak poczuł znany mu zapach żelaznego zatrzasku i cofnąwszy się na drugi koniec padliny, zabrał się z apetytem do uczt. Wtem lekki trzask dał się słyszeć i Uab poczuł jedną ze swych łap przytrzymaną i uwięzioną. Nie rozpaczwał jednak teraz tak jak niegdyś, ale wziął się odrazu do roboty i po chwili uwolnił łapę z uwięzi. Nieufnie już teraz spoglądał na pojętną zdobycz, a poczuwszy przy tem zapach człowieka, porzucił wszystko i uciekł do swego dzikiego zakątka leśnego.

DNI JEGO SIŁY.

I.

Trzecie lato zastało naszego Gryzli wielkim, silnym niedźwiedziem. Miał on futro o pięknej jasnej, szarej barwie i dlatego pewien Indjanin zwany Spauat, zapalony myśliwy, nazwał go „Uab” co znaczyło „biały niedźwiedź.”

Spauat był wielkim znawcą i wystarczyło mu spojrzeć na sosnę, o którą ocierał się niedźwiedź, aby poznać że dolinę Meteteetse zamieszkuje wielki, piękny Gryzli, o futrze srebrzystem. Przeszukał więc cały wąwóz, ale dużo czasu upłynęło, zanim udało mu się celnie strzelić, i biedny Uab otrzymał ranę w ramię. Ryknął przeraźliwie i widać rana bardzo go bolała, bo nie miał zupełnie ochoty stanąć do walki i wołał skryć się w bezpiecznym kąciku, który po długich poszukiwaniach znalazł za małym pagórkiem. Położył się i lizał ranę, i choć go nikt tego nie uczył, wiedział dobrze, że jestto najlepszy sposób leczenia. Przedewszystkiem śliną oczyścił ranę z brudu, liżąc robił pewien masaż, który zmniejszał zapalenie, a mokre włosy utworzyły na ranie warstwę zabezpieczającą ją od zanieczyszczeń



Szedł pewnie i śmiało patrząc wciąż przed siebie, w górę
nie spojrzął ni razu...

zewewnętrznych, kurzu, bakterji. Trudno wymyśleć lepsze leczenie!

Indjanin szedł jednak śladem rannego niedźwiedzia. Ale Gryzli przeczuł to dobrze i nie zwlekając, przeniósł się w inne miejsce.

Ale kiedyś znowu Spauat wystrzelił i zadał nową ranę Uabowi.

Tego było już za wiele! Nienawistny zapach człowieka i jego śmiercionośnej strzelby rozgniewał Uaba i żywo stanął mu w pamięci ów wieczór ostatni spędzony ze swą drogą matką. Teraz jednak nie bał się niczego. Z trudem wdrapał się napowrót w górę, potem zawrócił, odszedł wokół zrab skały i skrył się za nim.

Właśnie w tej chwili szedł śladem jego Indjanin, z nożem za pasem i fuzją w jednym ręku, drugą zaś czepiając się wystających ostrych kamieni. Radość malowała się na jego twarzy — szedł więc pewnie i śmiało, patrząc wciąż przed siebie i pewny, że za chwilę odniesie zwycięstwo. W górę nie spojrział ni razu. Przechodził właśnie pod wystającym zrębem skały, za który skrył się Gryzli.

Niedźwiedź nie miał siły walczyć, ale w chwili gdy Spauat stanął tak blisko, że czuł prawie jego oddech, stanął na swych tylnych łapach i — podniósłszy przednią — uderzył nią całą swą siłą w głowę Indjanina. Ten wydał straszny krzyk i w okamgnieniu padł w przepaść.

O sławnym tym myśliwym nikt więcej nie nie słyszał, a Uab powłókł się dalej, ułożył się potem w bezpiecznym miejscu i lizał swe rany.

II.

Rok za rokiem upływał, a w życiu Uaba nie zaszła żadna wybitna zmiana. Wprawdzie sypiał on teraz coraz krócej w zimie i wstawał wcześniej na wiosnę, ale to było wynikiem tego, że stawał się coraz większy i silniejszy, mocne jego łapy potrafiły go obronić w każdej złej chwili życia, a gęste biało-szare kudły ochraniały od zimna i niepokód. Wkrótce stał się on postrachem wszystkich mieszkańców doliny Meteetse, a nawet pastuszkowie z okolicznych pastwisk opowiadali sobie dziwy o olbrzymim Gryzli.

Nikt jednak nigdy nie słyszał o żonie Uaba. Młode lata przechodziły, a z nimi okresy tęsknoty miłosnej, ale Uab nie znalazł towarzyszk i pozostał sam. Nie jest to dobre w życiu niedźwiedzia. Samotność i sobkostwo wyrabia w zwierzęciu złośliwość i mściwość i czyni go jeszcze bardziej niebezpiecznym.

Nie bał się też nikogo, a nabywszy własnem ciężkiem doświadczeniem znajomość życia, wiedział jak się zachować w każdym wypadku. Jednakże w szóstym roku życia spotkał go niemiły wypadek, który znowu powiększył jego szereg doświadczeń.

Nieomylny węch zaprowadził go pewnego dnia do martwego ciała łosia leżącego w borze. Łoś był tak piękny, że pomimo iż w powietrzu unosił się zapach człowieka i żelaza, Uab nie cofnął się. Obszedł tylko ostrożnie zwierzę na-

około, stanął na tylnich łapach, żeby mu się lepiej przyjrzeć i wreszcie, upewniony że nic mu nie grozi, sięgnął przednią lewą łapą po mięso. Wtem rozległ się znany dobrze Uabowi trzask i łapa jego znowu została złapana w zatrzask. Ale był to wielki zatrzask, stawiany umyślnie na niedźwiedzie.

Gryzli ryknął ze złości i bólu i ciągnął łapę, rzucając się wściekle, wskutek czego zatrzask zacisnął się jeszcze mocniej. Z pianą na pysku zaczął teraz zębami gryźć żelazo, ale wnet przypomniał sobie dawniejsze zdarzenie i, oparłszy się mocno nogami, ciągnął z całych sił łapę uwięzioną. Nic to jednak nie pomogło. Obruszyło jednak podstawę zatrzasku i niedźwiedź postanowił powlec się na górę z tym strasznym ciężarem u łapy. Szedł biedak kulejąc i przystawał co chwila, by spróbować w inny sposób uwolnienia się. Wszystko napróżno! Wreszcie napotkał na drodze przewrócony pień sosny i wpadł na pyszny pomysł. Oparł się mocno o pień i postawiwszy wszystkie trzy nogi na zatrzasku, ciągnął zatrzaśniętą łapę — i, po chwili puściły śrubki, zatrzask się rozluźnił i łapa została oswobodzona. Tylko duży palec pozostał w żelazie i biedny Gryzli musiał znowu myśleć o leczeniu swej nowej rany.

Przygoda ta bardzo rozdrażniła Uaba i jeszcze raz powtarzał sobie, że tam, gdzie jest choćby najłżejszy zapach człowieka i żelaza, to nawet gdyby i prochu nie było, lepiej nie kusić się

na smaczne kąski, lecz uciekać, lub trzymać się zdaleka.

Chory palec nie dokuczał mu bardzo, i wkrótce zagoił się, ale na długi czas Uab pozbawiony był przyjemności łapania mrówek i różnych przysmaków, które znajdował pod wielkimi kamieniami, gdyż robił to zwykle lewą łapą, właśnie tą, która teraz była pozbawiona palca.



III.

Pewnego dnia po długiej nieobecności, Uab zaszedł w niższą część doliny i zobaczył ku wielkiemu zdziwieniu swemu drewniany szałas, jaki zwykle ludzie robią dla siebie. Podszedł bliżej i zamierzał obejść szałas wokół, ale że kierował się właśnie z wiatrem — nie poczuł nic grożącego — i nawet nie zauważył, jak rozległ się strzał, ale poczuł, że został ugodzony w lewą tylną nogę, tę starą sztywną nogę. Odwrócił się i ujrzał człowieka. Gdyby strzał trafił w ramię, Uab byłby bezsilny, ale teraz wiedział co zrobić.

Wielkie, silne łapy, mogące wyrwać drzewo z korzeniem, które jednym uderzeniem zabijały wielkiego byka, pazury, które odłamywały kawały skał jak łupinę — czyżby nie dały sobie rady ze słabym człowiekiem i jego nędznym narzędziem?

Gdy wieczorem powrócił do chaty Miller, towarzysz tego człowieka, zastał go leżącego na

ziemi i zalanego krwią. Na stole zaś leżała karteczka z temi słowami:

„Jestto dzieło niedźwiedzia, zobaczyłem go nad strumieniem i ranilem... Chciałem potem uciec do szałasu, ale dogonił mnie. Boże, jak ja się męczę...”

Było to tak proste. Człowiek chciał zawładnąć państwem niedźwiedzia, nastał na jego życie i sam zginął.

Towarzysz Jacka był tem mocno zgnębiony i postanowił zabić Uaba. Śledził za nim codzień, szukał go, dobrze uzbrojony w lesie, nastawiał zatrzaski — wszystko napróżno. Aż pewnego dnia usłyszał trzask, łomot, głuche echo i ujrzał wielki kamień spadający z góry w dół, a jednocześnie wybiegły z wąwozu dwie przerażone antylopy. Miller myślał na razie, że oberwał się kawałek skały, ale po chwili przekonał się, że to Uab rzucił kamień, pod którym spodziewał się znaleźć mrowisko. Wiatr nie wydał myśliwego, schowany więc za krzakiem ujrzał strasznego niedźwiedzia, jak spokojnie wybierał mrówki, rozsuwając kamienie i kórzenie swą zdrową łapą, przyczym ponuro pomrukiwał, gdy uraził się w ranioną tylną nogę.

— Teraz albo z nim albo ze mną będzie koniec — pomyślał człowiek — wydał lekki gwizd i w chwili gdy niedźwiedź stanął na tylnich łapach, nastawiwszy uszy, strzelił mu prosto w głowę.



Ale w okamgnieniu wielka głowa Uaba podniosła się i widać było że tylko miał lekko zadraśniętą skórę. Dym fuzji wskazał mu miejsce, gdzie stał myśliwy i Gryzli wściekły skoczył na swych trzech zdrowych łapach w jego kierunku.

Miller rzucił broń i wdrapał się na najbliższe drzewo. Uab skakał napróżno wokoło pnia i darł z wściekłością korę zębami i pazurami. Całe cztery godziny czekał pod drzewem a w końcu odszedł, ale z pobliskich zarośli nie spuszczał z oka swego wroga. Miller przesiedział jeszcze godzinę na drzewie, ale widząc, że niedźwiedź nie wraca, zlął ostrożnie z drzewa i rozglądając się wokoło, podniósł fuzję i udał się do domu.

Tego tylko czekał Gryzli. Wyszedł ze swej kryjówki, pogonił za nim i dogoniwszy go, szybko i prawie w okamgnieniu zrobił to, co każdy człowiek uczyniłby niedźwiedziowi.

W jakiś czas potem przyjaciele znaleźli fuzję Millera i ta oraz ślady i szczątki jego ubrania opowiedziały im całe zdarzenie.

Szałas drewniany rozpadł się — nikt go nie zamieszkał, bo nikt nie miał odwagi i ochoty narażać swego życia. Nikt też przez długi czas nie zaglądał do doliny Meteetse, którą wszechwładnie opanował olbrzymi, okrutny niedźwiedź-samotnik Uab.

IV.

Jednakże zjawili się ludzie. Odkryto w górnej części doliny w ziemi złoto i przychodzili

górnicy; rozchodzili się po kilku w górach i kopali, wrzuszali ziemię i skały kilofami i szukali upragnionego kruszcu. Byli to często ludzie starzy, siwi, którzy całe życie spędzili w górach na takim kopaniu. Podobni do niedźwiedzi żyli jak oni, ale zamiast słodkich korzeni, wygrzebywali drogocenny złoty piasek, którego jednak jeść nie mogli. Zdawało się, że rozumieli się dobrze z Uabem. Przy pierwszym spotkaniu wielki Gryzli stanął na tylnich łapach i przyjrzał się swemi małemi zielonemi oczkami uważnie i ciekawie nowym nieznanym.

Starszy z kopaczy rzekł do swego towarzysza

— Zostawmy go w spokoju, to i on nam nic złego nie zrobi.

— Ach, jakież on olbrzymi — odrzekł drugi nieco drżącym głosem.

Może Uab zamierzał rzucić się na ludzi, ale coś go powstrzymało, coś — co nie miało łączności z uczuciem lub rozsądkiem, coś, co tak u niedźwiedzi jak u ludzi jest silniejsze od rozsądku a co na rozstajnych drogach każe się tu lub owdzie skierować — coś, co w chwili złych porywów przynosi upamiętanie i uspokojenie . . .

Naturalnie Uab nie rozumiał mowy ludzi, ale czuł, że oni nie przyszli czyhać na jego życie. Wprawdzie czuć było od nich zapach „człowieka i żelaza”, ale nie w taki okropny sposób, jaki go zawsze rozdrażniał od czasu owego pamiętnego wieczoru, w którym został sierotą.



Przy pierwszym spotkaniu wielki Gryzli stanął na tylnych łapach i przypatrywał się ciekawie nowym swym znajomym.

Ludzie nie poruszali się, więc Gryzli głucho mruknawszy, opuścił się na wszystkie cztery łapy i powędrował w swoją stronę.

Tego samego roku późną jesienią, Uab spotkał czerwono-nosego niedźwiedzia czarnego. Jakżeż ten się przeraził! Bo co prawda Gryzli mógłby mu zmiażdżyć głowę jednym uderzeniem łapy! Ale czarny wdrapał się w okamgnieniu na drzewo i mrucząc patrzył na napastnika, który stanawszy na tylnich łapach darł swemi wielkimi pazurami korę z drzewa i dosięgał nosem wysokości dziewięciu stóp po nad ziemię.

Widok czarnego niedźwiedzia wzbudził w Uabie wspomnienia lasu cedrowego, obfitego w pożywienie. Pozostawił więc przerażonego przeciwnika skulonego na najwyższych gałęziach drzewa i podążył znaną sobie drogą do boru cedrowego, a okrążywszy Groźną górę znalazł się wkrótce wśród jagód i mrówek — dobrych znajomych z czasów dzieciństwa.

Zapomniał jakim to rajem był bór cedrowy: pełen pożywienia, bez górników kopiących ziemię, bez myśliwych z ich bronią, bez moskitów i much, które go tak przez całe lato trapiły, ale pełen słonecznych wyrębów, a obok tego bezpiecznych kryjówek i skał, zasłaniających od wiatrów zimowych. Nadto nie było tam żadnych innych Gryzli, a Baribali (czarnych) nie było się co obawiać.

Uab był bardzo zadowolonym. Przedewszystkiem utarzał z rozkoszą swe wielkie cielsko w ja-

kiejs kałuży i obtarł je potem o pień sosny, znacząc swą wysokość na 9 stóp od ziemi.

Następnych dni posuwał się coraz dalej w gąszcz i wszędzie pozostawiał swe ślady, a jeżeli znalazł na którym drzewie znaki czarnego niedźwiedzia, to łamał drzewo, o ile było suche i cienkie, a gdy natrafiał na silne i młode, to robił znaki swoje powyżej tamtych, zdrapując przytem kawały kory swemi olbrzymimi pazurami.

Bór cedrowy był przez długi czas w posiadaniu czarnych niedźwiedzi, tak, że wiewiórki nauczyły się zakładać swe spichrze zimowe nie jak zwykle na drzewach, gdzie mógł dotrzeć czarny, lecz w norach ziemi lub głęboko pod pogiętymi korzeniami drzew. Tego tylko było potrzeba Uabowi! Po niedługich poszukiwaniach dotarł za pomocą swych wielkich łap uzbrojonych pazurami do tych zapasów, a jeśli napotkał przytem ich właścicielkę, nie wzdragał się schrupać i ją na deser.

Wkrótce wielki Gryzli zawładnął całym bo-rem, tak że gdziekolwiek było się ruszyć, wszędzie widzieć się dawało ostrzeżenie „uciekajcie” w postaci znaków na drzewach, oblepionych błotem i włosami niedźwiedzia.

Wiedział też dobrze Uab, że nie każde miejsce zamieszkania jest dobre na każdą porę roku. Tak np. wczesną wiosną dobre były okęgi łosi i byków, gdyż wtedy można tam było zawsze znaleźć jakie martwe zwierzę, które zmarzło i zginęło w zimie. Z początkiem lata najlepiej

udawać się na pagórki słoneczne, gdzie rośnie dużo roślin z soczystemi smacznymi korzeniami; w środku lata zaś zarośla z jagodami i innymi owocami—przedstawiły prawdziwy raj—a w jesieni lasy sosnowe i cedrowe ze swojemi szyszkami.

Zmieniał więc Uab w ciągu roku miejsce pobytu i rozszerzał swój okręg coraz bardziej. Nie tylko że wypędził wszystkie czarne niedźwiedzie z okolicy, ale napotkawszy gdzieś starego Gryzli, który go niegdyś wygnał z pięknej doliny Byczej, napadł go i zabił.

W jakiś czas potem, jacyś koloniści ze stadem koni chcieli osiedlić się w tej dolinie — ale zanim zdążyli wybudować szałas, niedźwiedź napadł ich, rozpedził przerażonych ludzi i konie na wszystkie strony, i porozwalał rozpoczęte budowlę. Był niezwyciężony! Żadne zwierzę nie śmiało mu teraz zastąpić drogi tak, że wszyscy, nie wyłączając człowieka uznali, że jedynym wszechwładnym władcą doliny Meteetse jest Uab.

Daleko już mu było teraz do tego maleńkiego Uaba, który straciwszy matkę, wałęsał się bezradny po lesie. Obecnie wszystko było na jego usługi — mógł żyć syty i zadowolony. Nawet zatrząsków nie obawiał się, bo liczne doświadczenia nauczyły go dobrze rozpoznawać zapach tych strasznych narzędzi! Chodził więc i szperał po wszystkich zakątkach swego okręgu, bezpieczny i dumny, usuwając z drogi wszystko co mu zawadzało: olbrzymie kamienie przewracał lub strącał z góry, drzewa łamał, spe-

dzając z nich przerażone rysie, nawet wilki drżały przed nim, a największe byki uciekały, a jeśli kiedy głupi młody byczek ufny w swe siły, stanął mu na drodze, to mu dobrze skórę pokrawił, a nawet czasem i pokosztował, zostawiając resztę na pastwę koyotów.

Matka natura uposażyła dobrze swego syna Gryzli. Nie szczędziła mu wprawdzie rozmaitych goryczy, ale i obdarzyła balsamem: po pełnem przygód i przykrości dzieciństwie nastąpił wiek męzki, pełen siły i zwycięstw. Ciężkie były koleje życia Uaba ale doznał do portu obfitego w rozkosze. Płynęło mu ono teraz spokojnie chociaż samotnie i bez towarzyszy — nie doznawał w niem wprawdzie żadnych przyjemności, lecz był szczęśliwy swą niezrównaną siłą i potęgą — ale zarazem stawał się coraz bardziej złośliwym i zaczepnym, gotowym do boju w każdej chwili, pewny swego zwycięstwa i siły.

V.

Każdy przedmiot ma swój właściwy zapach ale dla tych, którzy mają węch. Uab uczył się rozpoznawania zapachów przez całe swe życie i poznał ich w górach mnóstwo.

Każda rzecz również posiada swoisty głos, który jednak tylko ten poznać może, kto się tym interesuje i głosu tego szuka. I tak, jak Uab umiał iść za nęcącym zapachem, tak potrafił odnaleźć głos, który mówił zdaleka: „ja jestem tu!”

Tak np. jagody jałowca, głóg róży, poziomki — wszystkie miały miły cichy głos, który śpiewał: „tu jesteśmy — jagody, jagody.”

Szyszki sosen i cedrów miały znowu gruby, ciężki głos — mówiący: „tu nas znajdziesz — szyszki, szyszki.” A gdy późną wiosną słodkie korzenie zaczęły wyrastać wśród kamieni, zabrzmiał chór głośny: „korzenie słodkie, korzenie dobre.” Uab szedł naturalnie za tymi głosami, a na miejscu obfitej zdobyczy wsłuchiwał się w cichszy jeszcze głos, wychodzący z ziemi: „tutaj jestem smaczny gruby korzeń” albo „ja jestem włóknisty twardy korzeń” i tego omijał Uab, szukając słodkich i soczystych.

W jesieni znowu inne głosy dochodziły do czułych uszu Uaba — to grzyby najrozmaitsze wzywały go na ucztę — ale między nimi słychać było i takie jak muchomora: „nie ruszaj mnie, jeśli chcesz być zdrowym i żywym” — i takiego za nic w świecie nie tknął.

Każde zwierzę, każda roślina, każdy kamień śpiewał Uabowi swą piosnkę, którą on jeden rozumiał. Przedtem jednak radził się zawsze węchu, który dla niego miał większe znaczenie niż głos i słuch. I tak dniem i nocą miał na straży swe zmysły i poznawał wszystko co chciał, a pomijał to co było dla niego wrogiem.



Dla ludzi jest to zupełnie niezrozumiałe, zwłaszcza od czasu gdy zaczęli budować miasta i pierworodzstwo węchu sprzedali za wygodę domowe.

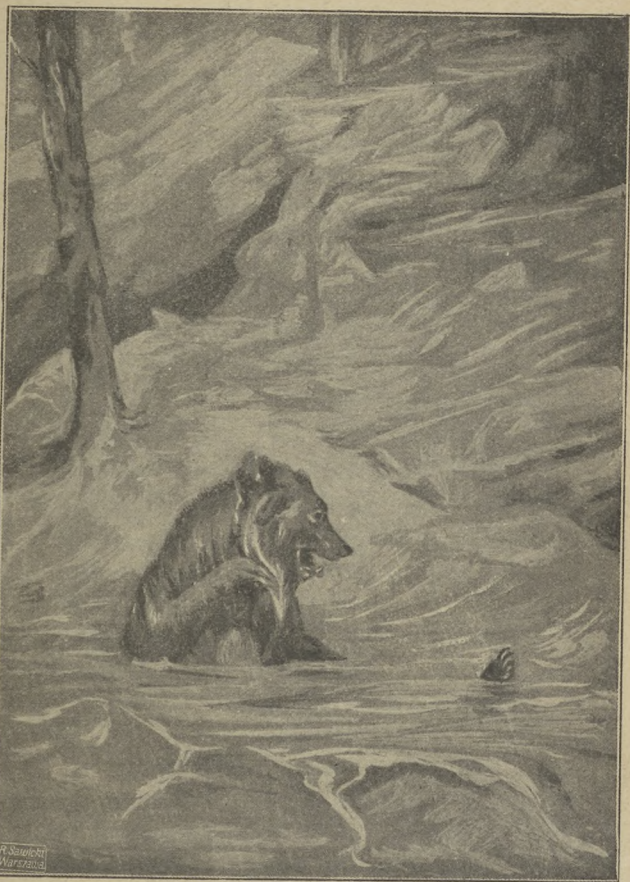
Dla Uaba zaś i wszystkich jemu podobnych węch i zapachy były głównymi kierownikami czynów. Podczas więc gdy jedne zapachy były dlań przyjemne i zapraszały do siebie, drugie były obojętne, lub znowu tak odrażające, że doprowadzały go do wściekłości, albo tak straszne, że uciekał przed nimi. Przedewszystkiem zauważył on niejednokrotnie, że wiatr zachodni wiejący ze szczytów Sosnowego (kanionu) jaru przynosił jakiś dziwny zapach, który czasem był mu obojętny, czasem zaś odrażający — nigdy jednak nie pociągał go. W innych dniach znowu wiatr północny przynosił z za wysokiego łańcucha gór taki straszny zapach, że Uab nie wiedział, gdzie się przed nim ratować.

Na tych wszystkich naukach i doświadczeniach zesłała młodość Uaba i teraz cieszył się swą umiejętnością życia i potęgą — ale jednocześnie zaczęły odzywać się w nim różne dolegliwości. Tak np. często przypominała mu się tylna noga, która w dzieciństwie a później tyle razy była zraniona. Bywało, że po chłodnej nocy lub przy długo trwającej niepogodzie, ledwie mógł chodzić, ciągnąc chorą łapę. Gdy raz tak szedł jęcząc, poczuł z wiatrem zachodnim znowu ten dziwny zapach. Tym razem zastanowił się, bo zdawało mu się, że woń ta mówiła do niego

„chodź” i jednocześnie i w nim odezwał się głos podobny „ide.”

Zapach jedzenia bywa mdły, gdy się jest głodnym, przy pełnym żołądku jednak jest odrażający. Zapewne pociąg do czegoś jest w związku z potrzebami ciała. Uab, nie namyślając się długo, usłuchał głosu, który go teraz nęcił i powlókł się w kierunku tej dziwnej woni, a drapiąc się ostrożnie po wązkiej ścieżce góry i pomrukując, torował sobie drogę wśród gałęzi, które były go po karku i głowie.

Dziwna woń stawała się coraz wyraźniejsza i silniejsza, aż wreszcie przywiodła Uaba w okolice, w której jeszcze nigdy nie był. Wśród lasu ciągnęła się grobla białawego piasku, przy końcu której widać było jamę wypełnioną jakąś żółtawą wodą, i unoszącą się nad nią mgłę. Uab pokręcił nosem podejrzliwie: „jakiż to nadzwyczajny zapach!” Wszedł jednak na groblę i spuścił się ku jamie. Jakiś wąż zastąpił mu drogę, w okamgnieniu zgniół go tak mocnym uderzeniem łapy, że drzewa zadrżały i kawałek skały wiszącej u wierzchołka oberwał się i poleciał w przepaść z odgłosem dalekiego grzmotu. Uab nie zwrócił nawet na to uwagi, tylko szedł prosto do otoczonej mgłą jamy. Była ona wypełniona wodą brudną żółtawą, która wydzielala z siebie drobne bańki i silnie parowała. Niedźwiedź zanurzył w nią swą chorą łapę — woda była ciepła i Uab odczuł bardzo przyjemne wrażenie na skórze. Włożył drugą łapę, potem trzecią i czwartą — i wreszcie wszedł cały i usiadł



A wreszcie wszedł cały i usiadłszy na dnie kałuży rozkoszował się ciepłą wodą . . .

szy na dnie kałuży poruszał się w niej na wszystkie strony, tak że woda rozpryskiwała się daleko, a ciepła para owiewała jego głowę.

Było to źródło siarczane, których mnóstwo znajdowało się w górach Skalistych, ale w okręgu Uaba było tylko to jedno. Szary niedźwiedź rozkoszował się tą ciepłą kąpielą przeszło godzinę i wreszcie, uznawszy, że ma już tego dosyć, wynurzył swe wielkie cielsko z wody i stanął na piaszczystym brzegu. Odrazu poczuł, że mu ta kąpiel posłużyła, czuł się rzeźkim, a noga tylna straciła męczącą sztywność. Otrząsnął więc wodę ze swych gęstych kudłów i położył się na piasku w miejscu najbardziej słonecznym. Po chwili jednak wstał i otarł się o stojące obok drzewo. Trzeba przecież było zostawić znak, aby uniknąć nieporozumień, było bowiem na piasku dużo śladów różnych zwierząt, które prawdopodobnie przychodziły do tego źródła leczyć swe bóle. Cóż to jednak mogło obchodzić wielkiego Gryzli? Wszak widniał teraz na drzewie napis — zrobiony mułem i włosami potężnego władcy:

„Moja kąpiel — z drogi!

U a b.”

Niedźwiedź leżał długo na piasku, wystawiając na działanie promieni słonecznych coraz to inną część ciała, dopóki nie wysechł całkowicie. A gdy zaczął schodzić ścieżką górską, poczuł się całkiem zdrowym, sprężystym, odmłodzonym.

Zapewne w drodze rozmyślał dużo nad cudowną wodą, ale nie mówił: „ja mam niemiłą chorobę zwaną reumatyzmem, przeciw której wskazana jest kuracja siarczanych kąpielí,” lecz: „mam okropne bóle w nogach, a poczułem się lepiej gdy siedziałem w tej cuchnącej kałuży”.

Od tej pory przychodził do niej, ilekroć cierpienia zaczęły mu dokuczać i za każdym razem wracał zdrowszym i silniejszym.

STAROŚĆ I ŚMIERĆ.

I.

Lata przechodziły. Uab nie rósł już więcej—wszak był już dość wielkim, ale stawał się coraz silniejszym, złośliwszym i bardziej jeszcze niebezpiecznym, a szare jego kudły robiły się coraz jaśniejsze i bielsze. Panował teraz nad ogromnym obszarem.

Co rok na wiosnę obchodził go cały i odnawiał znaki na drzewach, zmazane lub zniszczone przez zimowe burze i deszcze. Czynił to jednocześnie z poszukiwaniem pożywienia, którego na wiosnę zawsze był niedostatek; musiał za niem wędrować po wszystkich zakątkach okręgu.

Może być że to znakowanie wiosenne drzew wynikało z potrzeby ciała — bo właśnie na wiosnę wypadało futro zimowe, a przy tej zmianie odzieży swędzenie skóry było tak przykre, że Uab rzucał się na wilgotną ziemię, a potem obcierał grzbiet i głowę o pnie drzew. Jakakolwiek była tego przyczyna — dość wiedzieć — że drzewa dostawały co wiosnę nowe znaki robione przez wszechwładnego Gryzli.

W końcu pojawili się i w okręgu Uaba ludzie. Zbudowano szałas, ale mieszkańcy jego po pierwszym spotkaniu ze „starym towarzyszem” postanowili nie wchodzić mu w drogę, bo bliższa z nim znajomość nie przedstawiała dla nich interesu i nie wróżyła nic dobrego. I nie widywali go nawet w swej okolicy często, pomimo że wszędzie było pełno jego śladów i znaków.

Tylko właściciel kolonji, urodzony myśliwy, bardzo się zainteresował dziejami Uaba. Słyszał o nim cokolwiek już od pułkownika Picketta, ale sam daleko więcej się dowiedział dzięki swej spostrzegawczości i zapałowi myśliwskiemu.

A więc przekonał się, że państwo Uaba sięgało na południe aż do wyższych Widłów, na północy do Cuchnącej wody, i od wąwozu Meeteetse do Suchego szczytu. Dowiedział się także, że stary niedźwiedź znał lepiej wszystkie zastrzaski niedźwiedzie niż sami myśliwi, że umiał je nie tylko omijać, ale nawet potrafił wyciągnąć z nich kawałki mięsa bez wszelkiej dla siebie krzywdy. Wreszcie spostrzegł i to, że w czasie największych upałów znikał zupełnie, tak jak w czasie snu zimowego.

II.

Przed wieloma laty rząd Stanów Zjednoczonych wyznaczył ogromny obszar ziemi, bo wynoszący około 6000 klm. kw. zw. parkiem narodowym Yellewstone, w którym całej przyrodzie

tak roślinnej jak zwierzęcej pozostawił prawo i swobodę istnienia w jej dzikim stanie.

Park ten tworzy płaskowzgórze 2400 m. nad poziomem morza wysokie, poprzerynane dolinami, wśród których rzeka Yellowstone tworzy głęboki jar (kanjon). Park ten otoczony wielkimi górami nie jest zupełnie ogrodzony, tak że zwierzęta mają zupełną swobodę ruchów i mogą chodzić wszędzie i same zdobywają sobie pożywienie.

W tym wielkim zwierzyńcu nie wolno polować, strzelać ani nawet drażnić zwierząt. Nie wolno złapać ptaszka ani ruszyć gniazda, nie wolno używać siekiery ani wędki, młynów zakładać na rzece, ani kopać w ziemi — słowem, człowiek mógł być tam jedynie stróżem pilnującym, by ktoś inny nie naruszył praw parku. Wszystko więc było tam takie, jakie istniało jeszcze przed zjawieniem się człowieka.

Dzике zwierzęta prędko zapoznały się z granicami parku i jego prawami, i nie tylko że nie boją się człowieka ale i między sobą żyją w większej przyjaźni a przynajmniej z większą pobłażliwością odnoszą się jedno do drugiego.

Spokój i obfitość pożywienia jest treścią ziemskiego dobra — to właśnie w całej pełni istnieje w parku Yellowstone, to też zwierzęta ze wszystkich okolic ściągają tu, nieprześladowane i swobodne. zaspakajając bez trudu głód swój i rozmnażając się tak jak nigdzie na ziemi.

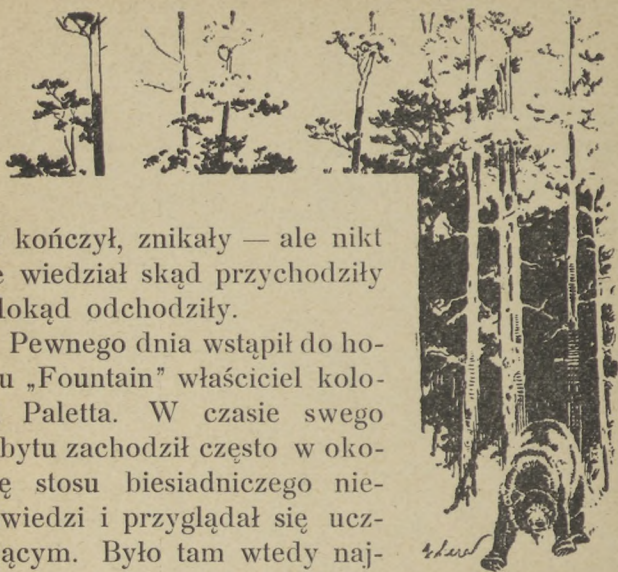
Przedewszystkiem niedźwiedzie miały prawdziwe uczty w okolicy hotelu „Fountain” skąd

wszystkie resztki kuchenne wywożono do lasu na jeden stos w pewnej odległości od hotelu. *)

Codzień stróż hotelowy powiększał nowemi odpadkami stos, a ponieważ rozchodziły się z niego liczne miłe zapachy nęcące nosy niedźwiedzie, więc coraz więcej ich się schodziło i otaczało wspaniały biesiadniczy stół, stróża zaś tego przezwano „kucharzem niedźwiedzim.” Dla gości hotelowych było zaś to widowisko nieład! około tuzina i więcej niedźwiedzi można było zobaczyć, jak razem w zgodzie i poszanowaniu wyszukiwały sobie smaczne kąski, wylizywały puszki od sardynek, kompotów i innych konserw. Można tam było zobaczyć wszystkie gatunki: czarne, brunatne, szare, srebrzyste, wielkie i małe, stare i młode z familjami i samotne — wszystkie, nawet najbardziej złośliwe gromadziły się razem i zajęte jednym celem, przy którym nawet dochodziło czasem do sprzeczki, nie wyrządzały jednak krzywdy nikomu a zwłaszcza nie tknęły człowieka.

Rok za rokiem przechodził, a niedźwiedzie wciąż przychodziły i odchodziły. Wiele przechodniów poznało je, a ludzie hotelowi znali niektóre bardzo dobrze. Przedewszystkim wiedzieli to o nich, że co rok z nastaniem sezonu letniego, w którym hotel był najbardziej odwiedzany, pokazywały się niedźwiedzie również w wielkiej ilości i że gdy ten krótki gorący czas

*) p. tegoż autora «Nowe opowiadania z życia zwierząt» serja I. p. t. «Joch» dzieje małego niedźwiedzia,



się kończył, znikaly — ale nikt nie wiedział skąd przychodziły i dokąd odchodziły.

Pewnego dnia wstąpił do hotelu „Fountain” właściciel kolonii Paletta. W czasie swego pobytu zachodził często w okolicę stosu biesiadniczego niedźwiedzi i przyglądał się uczującym. Było tam wtedy najwięcej niedźwiedzi czarnych, ale uwagę jego zwrócił przede wszystkim wielki srebrzysty Gryzli, który pojawiał się przed samym zachodem słońca.

— Ten szary — objaśniał człowiek z hotelu towarzyszący koloniście — jest największym ze wszystkich Gryzli w parku, ale jest bardzo spokojnego usposobienia, inaczej strach pomyśleć, coby się tu działo!

— Ten?!—zapytał zdziwiony kolonista, w chwili, gdy Gryzli zbliżał się ociężale i całe jego wielkie cielsko wynurzyło się z pośród pni sosen, dążąc do stosu.

— Ten! A czyż to nie jest Uab z Meteets! Jeśli to nie on, to doprawdy niech nie ujrzę wię-

cej niedźwiedzi w mem życiu. Przecież to jest najsilniejszy, najzłośliwszy Gryzli w całej Ameryce.

— Niepodobna — odrzekł stróż — przecież on jest u nas co rok przez lipiec i sierpień — wątpię czyby przychodził z tak daleka!

— Ależ to on! — twierdził stanowczo kolonista. — Już wiem teraz, gdzie nasz Uab przepędza lipiec i sierpień — właśnie w tych miesiącach znika zupełnie z naszej okolicy. Może pan się przekonać — wszak on kuleje i utyka trochę na tylną nogę i nie ma jednego pazura u lewej nogi. Nie ulega wątpliwości, że to on.

— A więc tutaj spędza on lato! Ale nieprzypuszczałem żeby ten stary niegodziwiec potrafił tak żyć spokojnie i zgodnie!

Stary Gryzli był mile widzianym gościem letnim, gdyż zachowywał się bez zarzutu. W pierwszym roku tylko, zanim poznał prawa parku, dał uczuć swe bezwzględne usposobienie. Podszedł on do samego hotelu i znalazłszy drzwi otwarte wszedł wewnątrz, dostał się do sali, gdzie siedzieli goście i stanął na tylnich łapach, ukazując się w całej swej postawie. Naturalnie, przerażeni ludzie, uciekli do swych pokojów. Wtedy niedźwiedź wszedł do kantoru. Urzędnik zaś siedzący tam rzekł:

— Widać że potrzebna jest tobie ta izba, ustępuję więc do drugiej — i przeskoczywszy stół wpadł do biura telefonicznego, zamknąwszy drzwi za sobą. Tutaj wysłał natychmiast do zarządzającego ochroną parku następującą depezę: „Stary Gryzli jest w kantorze hotelu, po

obejściu innych sal hotelowych. Czy wolno strzelić do niego.”

Odpowiedź brzmiała:

„W parku strzelać nie wolno. Można użyć sikawki.”

Tak też zrobiono i wielki szary niedźwiedź, zaskoczony zimną kąpielą, uciekł czempredzej z kantoru, ale po drodze przebiegając przez kuchnię porwał wiszącą tam ćwierć wołowiny i znikł w lesie.

Był to jedyny zatarg, jaki Uab miał z ludźmi.

Prócz tego tylko raz jeszcze naruszył spokój między niedźwiedziami.

Żyła tam w parku niedźwiedzica znana ze swej złośliwości. Miała ona jedynaka, piszczącego, nieznośnego niedźwiadka, za którym krok w krok chodziła i chroniła przed wszelkim widomym i urojonym wrogiem. Niedźwiadek rozpieszczony, był niecierpiany przez inne niedźwiedzie, ale że matka jego odznaczała się obok złośliwości wielką siłą, więc wszyscy czarni jej krewniacy ustępowali jej z drogi. Tylko Gryzli wzbudzał w niej niepokój. Postanowiła go więc przegnać, ale przy pierwszej próbie dostała od starego zawadjaki takiego klapsa potężną łapą, że się przewróciła. Byłby ją może Uab zabił, ale szanował prawa parku, a przytem czarna niedźwiedzica w okamgnieniu wdrapała się na sosnę, na wierzchołku której przywitał ją radosnym piskiem jej ukochany jedynak. Od tej pory czarna unikała spotkania z Uabem, a ten zyskał sobie opinię poważnego niedźwiedzia, nie-

dopuszczającego do nieporządków i bezprawia. Wszyscy przypuszczali, że on pochodzi z jakichś ukrytych zakątków gór, gdzie nieznane są zatrzaski i wystrzały, które niedźwiedzi czynią złośliwymi i mściwymi.

III.

Może niejednemu zdarzało się słyszeć o bardzo złych niedźwiedziach szarych z okolicy „Gorzkich korzeni.” Okolica ta należy do najdzikszych zakątków gór Skalistych. Cała ziemia jest tam poprzerzynana głębokimi wądołami zarosniętymi gęsto krzewami i inną roślinnością. Jestto okolica niemożliwa dla koni i myśliwych, ale zato bardzo wygodna dla niedźwiedzi, które tam znajdują obfitość pożywienia. Mnóstwo jest więc tam tych zwierząt i równie dużo zatrzasków na nie zastawionych.

Gryzli z tych okolic zwano „Gorzkniami.” Znane są one ze swej przebiegłości i umiejętności życia. Jeden taki szary zna więcej zatrzasków niż cały tuzin myśliwych, a o roślinach i korzeniach tamtejszych wiedzą dużo więcej niż cały zespół botaników. Wiedzą gdzie i jakie znaleźć można robaki i owady; na wiorstę odległości potrafią wyczuć nadchodzącego myśliwego i rozpoznać z czem przychodzi: z zatrzaskiem, bronią palną, zatrutem mięsem lub psami, a wszystkie słuchają jednego wielkiego prawa: „Decyduj się szybko i jeśli już co postanowiłeś, to doprowadź to mądrze do końca.” To też jeśli spotkają myśliwego — wtedy

albo uciekają jak mogą najszybciej lub rzucają się na człowieka i trwają w boju do końca.

Gryzli z „Groźnych gór” stanowi zupełnie inny typ. Ten, gdy spotka myśliwego, staje w całej swej wielkości na tylnich łapach i ryczy jak grzmot i w ten sposób daje myśliwemu czas do puszczenia w ruch swego śmiertelnego piorunu; a piorun myśliwego jest gorszy od wszelkich grzmotów. Człowiek z czasem przyzwyczaja się do ryku niedźwiedzia, choć wstrząsa on ziemię i każe drżeć nogom, a stąd dochodzi z zimnym dreszczem do małej kryjówki, gdzie siedzi schowana odwaga człowieka — ale szary wielki niedźwiedź nie może przywyknąć do piorunu i gradu dalekonośnych kul. I to jest przyczyną znikania Gryzli z „Groźnych gór” a także i z powierzchni całej ziemi. Za to u Gryzli z „Gorzkich korzeni” — myśliwi przyzwyczaili się do tego, że nigdy nie mogą wiedzieć, co on zamierza zrobić, ale że gdy co poweźmie, to wykonywa szybko i żwawo. Wszyscy oni znają doskonale tajemnice życia i wbrew wszelkim wysiłkom białych ludzi i rozmnażają się szybko w swych dzikich górach. Ale ponieważ każdy okręg może pomieścić tylko tylu mieszkańców, ilu wyżywić zdoła, więc zawsze nadmierna ilość musi wywędrować w inne okolice.

Zdarzyło się właśnie, że pewien młody łyso-pyski „gorzknik” nie mogąc utrzymać się w swych rodzinnych górach, postanowił szukać szczęścia w dalszych lasach — i — powędrował.

Nie był on ani wielkim, ani silnym — nie byłby bowiem potrzebował opuszczać swego kraju — ale przeszedł dobrą szkołę życia i umiał radzić sobie w każdym wypadku. Jak on wędrował przez góry Łososiowej rzeki i nie zginął tam; jak przeszedł przez żelazne ogrodzenie w dolinie Wężej, gdzie pozostać dłużej nie mógł; jak sam los skierował go ku wschodowi do parku Yellowstone, gdzie mógł swobodnie odpocząć; jak potem dostał się do gór Wężowej rzeki, gdzie było więcej myśliwych niż jagód; jak wreszcie wlaźł na szczyty gór, skąd przyglądał się z odrazą licznej ludzkiej gromadzie w kolonji Jacksona (Dżeksona) — to wszystko nie ma nic wspólnego z życiem Uaba. Ale z chwilą gdy przeszedłszy łańcuch gór Cedrowych i szczelinę Burzliwej rzeki, znalazł się w Bycznych wąwozach — można go wprowadzić do życiorysu Uaba, gdyż wtedy wszedł on w środek życia i państwa władcy doliny Meteetse.

Łysopyski Gorzkniak nie znalazł tu nigdzie ludzkich śladów a natomiast krainę pełną różnego pożywienia. Używał więc uczt sezonowych i rozkoszował się na słonecznych zielonych polankach, ciesząc się ze swego szczęścia niepodzielnego, gdy wtem natrafił na znak Uaba pomieszczony wysoko na pniu sosny.

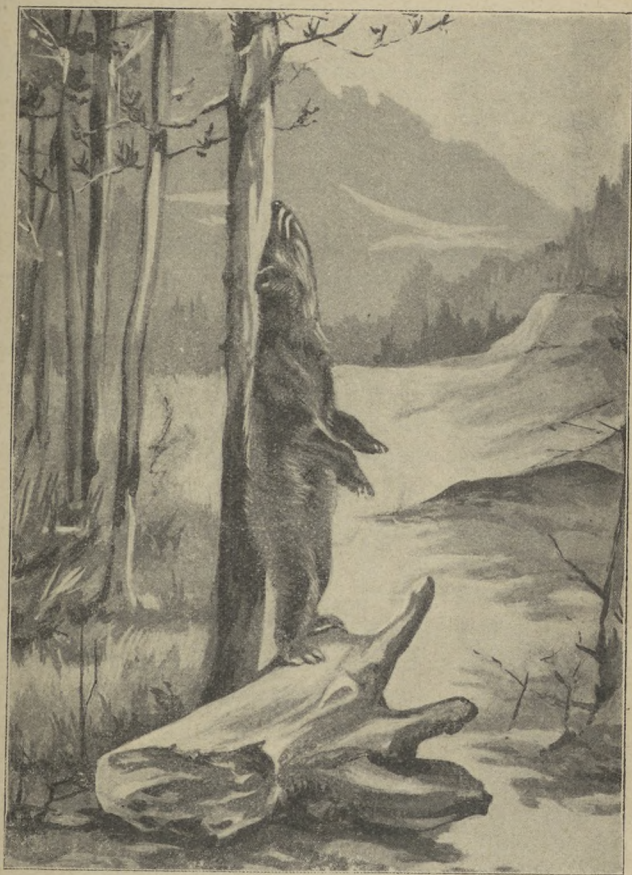
„Wstęp wzbroniony” — brzmiał on w pięknej formie.

Przybysz stanął zdumiony — i przyjrzał się uważnie znakowi. Przymierzył się. Znak był o całą głowę i szyję wyżej od jego najwyższej wysokości.

Zwyczajny niedźwiedź, zobaczywszy taki groźny znak, uciekłby natychmiast, nie czekając nie milego spotkania. Ale łysopyski Gorzkniak powiedział sobie, że góry te muszą go karmić, jako że jest w nich obfity urodzaj i że stąd nie pójdzie, a starego Gryzli postara się unikać. Podniósł się na tylne łapy, rozejrzał uważnie wokół, wietrzył nosem na wszystkie strony i powrócił do rozpoczętej uczy.

W pobliżu leżał przewrócony pień drzewa. Pod takim pniakiem w górach „Gorzkich korzeni” można było zwykle znaleźć gniazdo myszy, to też niedźwiedź podważył go łapą do góry i skrzętnie przeszukał. Myszy nie znalazł, ale poruszony pień stoczył się i zatrzymał przy sośnie, na której był ów groźny napis. Chytra myśl wpadła do głowy młodemu Gorzkniakowi. Spojrzał na znak, potem na stoczony pniak, zmierzył się swemi małemi świńskimi oczkami i — stanął na przytulonym pniaku na swych tylnych nogach, wyprostowawszy się tak, że nosem zrobił znak na korze. Spojrzał w górę: dosięgnął o całą głowę wyżej napisu wielkiego Gryzli! Rzucił się na ziemię, umazał błotem i znowu obtarł grzbiet o korę drzewa, a pazurami zdrapał ponadtem korę. Dzieło było dokonane, a znaczyło to jedno: „wielki niedźwiedź pojawił się w tych stronach i chce zawładnąć okręgiem, wzywa więc każdego przeciwnika do boju i niechybnej śmierci.”

Niewiadomo czy przypadkiem czy umyślnie, ale z chwilą gdy mądry szary Gorzkniak zesko-



Stanął na pniaku na swych tylnich nogach a wyprostowawszy się, nosem zrobił znak na korze o całą głowę wyżej...

czył z pniaka, potoczył się ten dalej, tak że zarty został wszelki ślad jego podstępny, a on sam odszedł w dalsze okolice kanjonu, rozglądając się wciąż za nieznanym wrogiem.

Uab spostrzegł wkrótce ślad intruza i zawrzała w nim cała złość, tak dobrze kryta w parku. Zaczął więc śledzić przybysza, ale ten był równie chytry jak zwinny i nigdy nie przyszło do wzajemnego spotkania. Jednak uciekając przed wszechwładnym Gryzli, wciąż szukał znaków jego na drzewach i wpadłszy raz na dowcipny pomysł, starał się prowadzić dalej swe oszukiwacze dzieło i gdzie tylko więc udało mu się przysunąć do naznaczonego drzewa pniak, kamień, lub gdy mógł wleźć na wystającą gałąź, wszędzie kładł swe znaki powyżej tamtych, a gdy w żaden sposób nie udało mu się zwalczyć wysokości, starał się zrobić to samo na jednej z poblizszych sosen, używając do tego wszelkich niedźwiedziach forteli.

Uab znajdował wszystkie te ślady, a najbardziej go gniewały znaki położone nad jego własnymi. Jakiś ogromny niedźwiedź chciał zawładnąć jego państwem — czyż on mógł dopuścić do tego? Spotkać się z nim i zwalczyć było jego jedynym, najwyższem pragnieniem. Dzień za dniem więc szukał wroga i choć wiatr czasem donosił mu jego woń, dojrzeć nigdzie go nie mógł. Wprawdzie oczy jego nie były już tak ostro widzące i nieraz wszystkie przedmioty, nawet na niedalekiej przestrzeni wydawały mu się jak bezkształtne plamy.

Te ciągle wyczuwanie wroga nie mogło być obojętne dla Uaba; wszak on nie był już tak silnym, a zęby jego i pazury stępiły się. Choć w razie spotkania nie zawahałby się stanąć do walki i wierzył w swe zwycięstwo, jednak rany i różne dolegliwości przypominały mu jego przeżyte lata i nie bez niepokoju myślał o swym młodym, silnym, tajemniczym przeciwniku. Naturalnie to życie w ciągłej obawie i śledzenie nie pozostało bez wpływu na sprężystość jego umysłu i mocno podkopało zdrowie.

IV.

Życie młodego Gorzkniaka było również pełne niepokoju: musiał on ciągle mieć się na baczności — to uciekać, to kryć się, żeby uniknąć spotkania z Uabem, które napewno skończyłoby się jego śmiercią. Ilekroć schowany za zrębem skały, śledził ruchy potężnego zwierza, drżąc ze strachu, żeby wiatr nie zdradził go. Czasem wyratował się tylko dzięki swej bezczelności, a ilekroć strach zapędził go w ucieczce do dziury w jarze, z której nie było wyjścia. Raz uszedł cało tylko dla tego, że znalazł szczelinę, w której wielki Uab nie mógłby się zmieścić. Wciąż jednak z przedziwną wytrwałością, znać drzewa coraz dalej w okolicy.

Nakoniec trafił i do siarczanego źródła. Nie wiedział on po co istnieje, ale postępując konsekwentnie w swem działaniu, usiłował zniszczyć i to. Powrzucał więc do „cuchnącej kałuży” ka-

mieni i piasku, a zobaczywszy na drzewie znak Uaba, stanął na zrębie skały i położył swój znak wyżej o kilka stóp ponad tamtym. Potem zeskoczywszy pospiesznie, rozejrzał się wokół i z niepokojem wietrzył, gdyż posłyszał jakiś szelest. Wtem wiatr przyniósł mu zapach wszechwładnego Gryzli i jednocześnie usłyszał bardzo blisko trzask gałęzi. Mały intruz struchlał i — wokamgnieniu pognał do lasu.

Tak, to był Uab. Szedł właśnie do swej siarczanej kąpieli, gdyż czuł się słabym i zmęczonym, nietylko bowiem dokuczala mu tylna noga, ale przede wszystkim prawe ramię, w którym tkwiły dwie kulki myśliwskie. Przywłókł się na piaszczysty pagórek, kulejąc i stękając, ale na wstępie poczuł zapach wroga. Obejrzał się i ujrzał na przybrzeżnym mule ślady jego łap. Zdawało mu się na razie, że ślady te były małe, ale nie dowierzał już swym mętnym oczom, a gdy w chwilę potem ujrzał świeży znak na drzewie na wysokości, której w żaden sposób nie mógł dosięgnąć, przystanął zaniepokojony. Nos i oczy wskazywały na niedaleką obecność intruza, a choć ślady świadczyły o niewielkiej jego postaci, on był pewien, że będzie miał do czynienia z potężnym, młodym przeciwnikiem. A czuł się dzisiaj tak słabym, że nie miałby odwagi stanąć do nierównej walki, w której spodziewał się być zwyciężonym. Po krótkim więc namyśle zawrócił, nie używszy swej zbawczej kąpieli. Poszedł tą samą drogą, którą przyszedł, jeszcze bardziej posępny i zholały — cofnął się

po raz pierwszy od czasu swego dzieciństwa. Potężny, wszechwładny Gryzli uszedł przed nieznanym wrogiem.

Była to chwila przełomowa w życiu Uaba.

Gdyby zamiast cofać się, Uab poszedł w stronę, skąd woń niebezpiecznego zwierza przychodziła, byłby znalazł o jakie 50 kroków ukrytego w zaroślach chytrego psotnika, który na pół martwy, drżąc jak liść osiki, nie miał odwagi ruszyć się—i byłby od jednego zamachu uśmiercił mizernego prześladowcę. Albo, gdyby chociaż wziął swą zbawienną kąpiel, uwolniłby się od dolegliwości i nabrawszy siły, mógłby żyć spokojnie, nie obawiając się spotkania ze swym tajemniczym wrogiem. Ale Uab przeląkł się i cofnął... Schodził z góry wolno, kierując się do niższego pasma gór Sosnowych — gdy wtem poczuł ten okropny zapach, który znał oddawna, ale za którym nigdy jeszcze nie poszedł, bo nie tylko go nie rozumiał ale miał dotychczas wyraźny do niego wstręt. Tym razem poszedł za nim i znalazł się w małym pustynnym wądole, którego dno założone było mnóstwem kości zwierząt i ich resztkami. Uab domyślił się, że to jest cmentarzysko różnych zwierząt, które tu przychodziły zakończyć swe życie, ale nie wiedział, że u góry wąwozu tego znajdowała się szczelina, z której wydobywał się jakiś jadowity gaz i wypełniał jamę, grożąc śmiercią każdemu, kto tu pragnął spocząć. Uab tego nie wiedział, ale czuł że mu się robi duszno i niemiło i zapragnął czempredzej stamtąd odejść i wtedy to poczuł

całą rozkosz w oddechaniu świeżem sosnowem powietrzem.

Raz ustąpiwszy, potężny Gryzli wpadał w coraz większe nieszczęścia. Przedewszystkiem zaprzestał już całkiem chodzić do siarczanego źródła, a w lesie unikał coraz bardziej świeżych śladów nieznanego przybysza. Wprawdzie czasem uczuwał się znowu silnym i potężnym i ryczał wówczas swym wielkim głosem jak niegdyś w młodości — byłby wtedy napewno zdruzgotał wroga, ale na nieszczęście nigdzie go znaleźć nie mógł. Młody bowiem Gorzkniak wiedział dobrze, co wtedy należy robić — a stary Uab, choć czuł w sobie napływ potęgi, nie mógł z powodu reumatyzmu puścić się w pogoń za śmiałkiem. Tak z dnia na dzień oczekiwał odpowiedniej chwili do walki, ale zawsze stało coś na przeszkodzie. Gdy napadała go złość i moc wielka, prześladowcy nie było w bliskości, gdy zaś poczuł go nosem — czuł się tak słabym i chorym, że wołał dla własnego bezpieczeństwa ustąpić z drogi tajemniczemu wrogowi.

Uab zauważył, że najwięcej śladów intruza było po zachodnim spadku gór Sosnowych, bo też tam była najurodzajniejsza okolica. Chcąc więc uniknąć spotkania, nie pozostawało nic innego, jak ustąpić mu tę najlepszą część okolicy, a samemu zejść w niższe części jaru, gdzie pożywienie nie było już tak obfite.

Tak przechodziły tygodnie. Uab, pozbawiony swych uzdrawiających kąpeli — jedyne ratunku w bólach, stał się formalnym kaleką, stęka-

jącym przy każdym żywszem poruszeniu tylnej lewej nogi i prawego ramienia.

Te ciągle oczekiwanie walki, wyrodziło w nim chorobliwą obawę, która podkopując siły, zmniejszała coraz bardziej odwagę potężnego Gryzli, gdyż odwaga idzie w parze z muskularną siłą. Codzienną jego troską było teraz nie „spotkać i zabić wroga”, ale: „stronić przed nim póty, dopóki nie będzie mu lepiej.” W ten sposób owa pierwsza mała ucieczka stała się początkiem wiecznej ucieczki. Uab schodził coraz dalej i niżej, i coraz mniej miał pożywienia i stawał się coraz mniej zdolnym do zgniecenia wroga.

Wreszcie zeszedł nad rzekę, tam gdzie spędził swe pierwsze dzieciństwo z matką i rodzeństwem. Życie, które teraz tu prowadził było podobne do tamtego w ciągu pierwszych dni swego sieroctwa. Może przyczyny były podobne. Gdyby nie był tak samotnym, byłoby może inaczej.

Pewnego poranku, gdy skwapliwie poszukiwał owadów i nielicznych jagód, któremi nawet ptaki i wiewiórki wzgardziły — posłyszał od zachodniej strony gór jakiś głuchy odgłos spadającego kamienia, a nieco później — wiatr przyniósł ten okropny odrażający zapach. Uab przełazł przez rzekę, przez którą niegdyś tak skakał — i spoczął po drugiej jej stronie zniechęcony: zimna woda szczypała go po przez szerść w stare rany, i wszystko zdawało się przypominać jego całe długie życie. Co teraz począć?

Wprost siebie, niedaleko ujrzał nowe szalasy — tam roіło się od ludzi. Nos jego, ten najwierniejszy przyjaciel, mówił: „zawróć, zawróć i idź w góry.” Uab usłuchał i zawrócił, chociaż tam w górach mógł spotkać swego strasznego wroga. Szedł więc po północnym brzegu Sosnowego wąwozu, kryjąc się i odpoczywając co chwila w zagłębieniach jego lub wśród gąszczu drzew. Z trudnością wchodził na występy skał, po których niegdyś tak zręcznie i szybko skakał. Na połowie drogi obsunęła mu się noga i spadł. Podniósł się i znowu, okrążając niewygodne miejsca, szedł naprzód — ale gdzie? Zdawało się, że nie wątpił już o oddaniu całego swego okręgu nieznanemu strasznemu prześladowcy.

Uab czuł, o ile niedźwiedz czuć może, że jest bezsilnym, opuszczonym, zdetronizowanym starym władcą, który zmuszony był odstąpić swe wielkie państwo młodemu, skierował się więc na zachodnią stronę i los został wyciągnięty. Siła i moc odeszły od jego kiedyś potężnych łap, i nie go już do tych gór nie ciągnęło. Szedł więc i szedł dalej, oglądając się co pewien czas za siebie z obawy, czy go kto nie ściga.

Przed nim rozciągały się pustynne najnieurodzajniejsze nizkie szczyty gór, po za niemi leżał park Yellowstone — tam należy iść. Ale gdy swemi zbolałemi nogami próbował przebyć te skaliste zbocza, poczuł ból... i znowu wiatr zachodni przyniósł tę straszną woń z parowu śmierci, gdzie leżały martwe szczątki zwierząt i zatruwały powietrze. Woń ta działała teraz



Stał jeszcze chwilę przy wejściu...

mile na Uaba i szedł w jej kierunku, ciągniony niewidzialną jej siłą.

Parów ten leżał na drodze jego ucieczki, poszedł więc zwolna w tę stronę. Coraz bliżej, bliżej, aż wreszcie stanął u wejścia cmentarzyska. Na samym brzegu siedział na jakiejś padlinie sęp, ale zdawał się spać snem wiecznym nie dokończywszy uczt. Uab podniósł swój wielki szary łeb ze zwieszającą się siwo białą brodą i zwrócił się w kierunku odrażającego gryzącego powietrza. Zdawało się, że jest mu ono teraz miłszem nad wszystko. Ciało jego pożałowało go. Obiecywało mu uśmierzyć wszystkie bóle i dać sen długi, spokojny, cichy.

Stał tak chwilę u wejścia swego ostatniego przytuliska, a przed nim rozciągało się, jak wysoko i daleko okiem sięgnąć, jego wielkie bezgraniczne prawie królestwo, które niegdyś było jego wyłączną własnością, gdzie panowała jego potęga i siła. Nie było mu równego, któryby odważył się zmierzyć z nim. I jakżeż piękna była jego kraina!

Uab nie zachwycał się jednak nigdy tyle jej pięknnością jak urodzajnością. Żył tam szczęśliwy po pierwszych latach troski — zdobył ją siłą własną. A teraz odchodzi — pozostawiwszy wszystko, opuszcza swój raj, bo opuściły go siły i młodość — ucieka od tego przepysznego rozległego państwa i szuka schronienia małego, cichego, gdzie mógłby zostać na zawsze w wiecznym spokoju.

Tam za górami mógłby też odpocząć spokojnie i żyć bez troski — ale to było tak daleko... daleko... i w dodatku wątpliwy koniec tej ciężkiej wędrówki! A zresztą po co to? Przecież tu bliźutko ma ten parów, gdzie też jest cicho i dobrze. On wiedział to niezawodnie, a nos, ten nieomylny przewodnik mówił: „tutaj, tutaj teraz!”

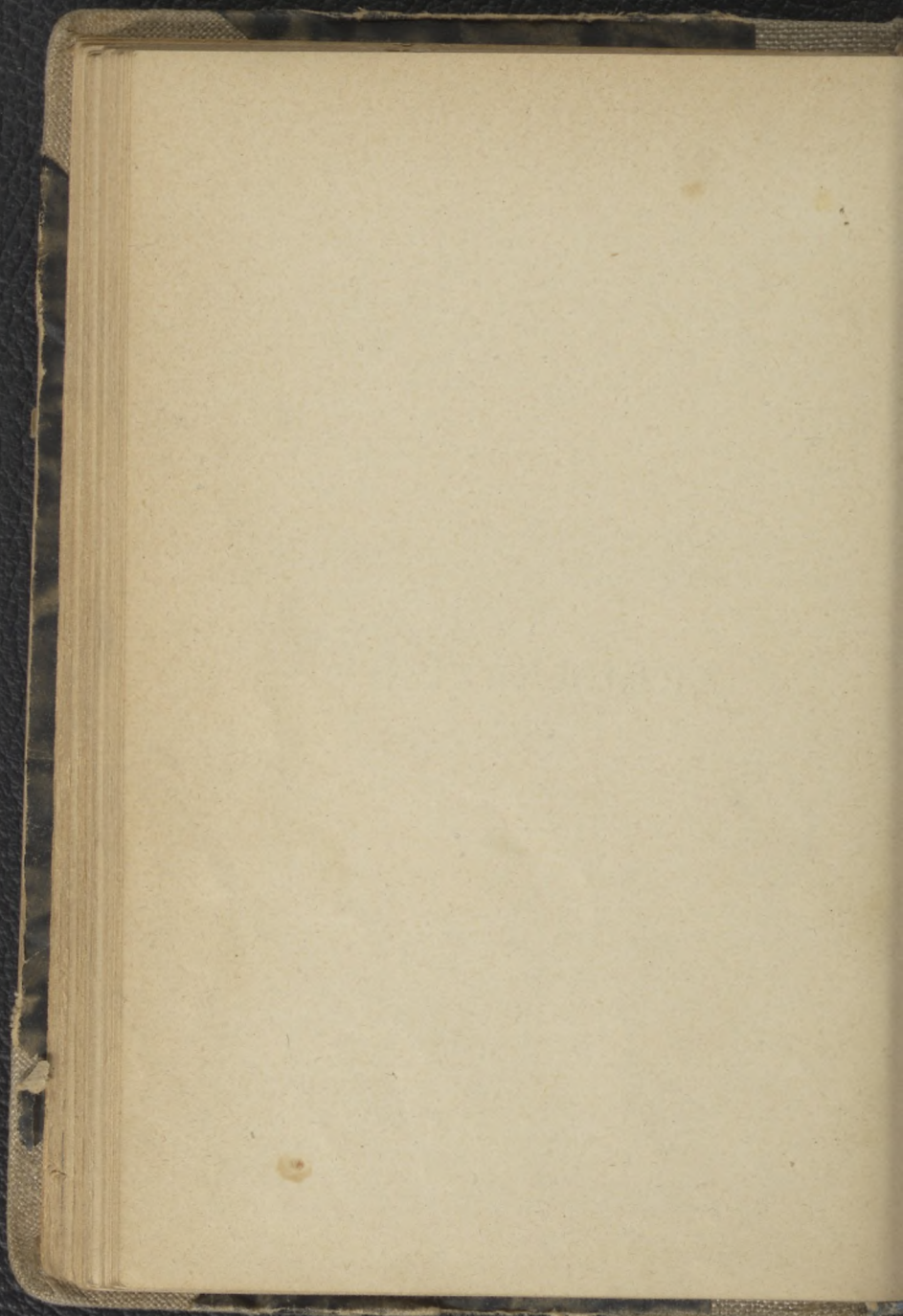
Stał jeszcze chwilę przy wejściu dopóki to dziwne powietrze nie rozpoczęło swego dzieła. Przedtem wierny jego stróż i pocieszyciel kazałby mu uciekać jaknajdalej — a teraz!...

Uab stał jeszcze... przez chwilę opanowało go zwątpienie... Jego nierozłączny przewodnik zamilkł. Ale opanowało go inne uczucie. Anioł śmierci stał tam i wzywał go do siebie. Uab nie mógł tego zrozumieć, a oczy jego były zamglone i nie mogły dojrzeć łązy w oku anioła, ani litości pełnego uśmiechu na jego wargach. Ale on przeczuwał go, słyszał jego ciche wezwania. I, poczuwszy dawną odwagę w sobie, ruszył się żywo z miejsca i krokiem stanowczym wszedł do parowu śmierci. Trujące gazy owionęły go i wypełniły jego wielkie płuca, opanowały bohaterские członki, aż te położyły się same spokojnie na kamieniach i to dzielne serce bić przestało.

Cicho zasnął wszechwładny Gryzli, przytulony do kamienistej ziemi, jak niegdyś maleńki w ramionach matki swej w Dolinie Byczej. Ale tu zasnął na wieki.



SREBRNY LIS



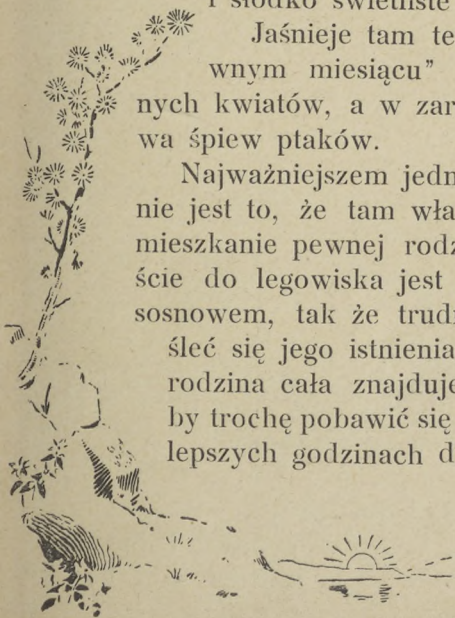
CZEŚĆ I.

Jego pierwsze mieszkanie.

Wysoko na pagórku Goldur, zwróconym ku zachodowi znajduje się mały wyrąb sosnowy. Słońce uniło go sobie i rzuca nań miękko i słodko świetliste promienie.

Jaśniej tam teraz w tym „Śpiewnym miesiącu” mnóstwem pięknych kwiatów, a w zaroślach rozbrzmiewa śpiew ptaków.

Najważniejszym jednak dla nas obecnie jest to, że tam właśnie, znajduje się mieszkanie pewnej rodziny leśnej. Wejście do legowiska jest ukryte w gąszczu sosnowem, tak że trudnoby było domyśleć się jego istnienia, ale w tej chwili rodzina cała znajduje się na dworze, by trochę pobawić się i poskakać w najlepszych godzinach dnia.



Matka stanowi środek grupy—spogląda ona na swą gromadkę spokojnymi oczami, ale z nadwyzczaj naprężoną uwagą. Małe lisięta w wełnistych futerkach figlowały z całym oddaniem się, tak jak to tylko może młode, świeże życie, nie znające większej władzy nad matkę, i wierzące w tę jej siłę i miłość. W niej mieścił się cały ich świat, a więc świat cały był miłością. W jej obecności więc mogły nabawić się do woli — to też prześcigały się w figlach i pomysłach: to łapały muchy, motyle, przeskakiwały jedno przez drugie, pracując z zapałem nad złapaniem końca ogona matki, albo gryząc się wzajemnie, słowem wymysławiając najrozmaitsze zabawy dla uciechy własnej, nie dla popisów.

Radość i życie panowały tutaj bez przerwy.

Najlepszą jednak zabawą była zabawa w piłkę, a piłkę tę stanowiło suche skrzydło kaczki. Rzucaly je wokoło i wydzieraly wzajemnie, tak że skrzydło już kilkanaście razy znajdowało się w zębach każdego; ale najrzęczniejszy z nich był mały lisek, ciemno ubarwiony z czarną przepaską na oczach. Każdemu wyrwał on skrzydło i tak z nim uciekał, że nikt nie mógł mu nadążyć, a zaledwie je puścił, rzucał się w podskokach na ogon matki i schwywszy go, ciągnął póty, aż sam wreszcie przy wielkim podskoku pośliznął się i z pyszczką wypuścił.

W chwili najweselszej zabawy, migła przed oczami matki postać dużego lisa — i małe lisiątka przeszedł lekki dreszcz, po chwili jednak matka uspokoiła się — było to bowiem miłe oblicze



Matka stanowi środek grupy — spogląda na swą gromadkę spokojnemi oczyma...

ojca lisa. Niósł on pożywienie i wszystkie oczy i nosy zwróciły się pożądliwie ku niemu. Położył swą zdobycz opodal na ziemi — był to piżmoszczur, a matka pobiegła go zabrać.

Tradycja powiada, że lis nigdy nie przynosi pożywienia do legowiska, gdy małe są na dworze, a tradycja mówi często prawdę.

Gdy matka zniosła dzieciom przyniesione zwierzę, rzuciły się nań łapczywie, szarpały je, ciągnęły, rwały na kawałki, wydzierają jedno drugiemu z groźnym warczeniem, i tak wykręcały swe główki, aby zdobyć sobie jaknajlepszy kąsek.

Matka patrzyła na tę scenę z miłością i zachwytem, ale jednocześnie uwagę bacznią zwracała na okolicę, na łąki i lasy, gdzie mógł czyhać jakiś wróg ukryty: ludzie z bronią, chłopcy lub psy, orły i sowy. Wszyscy przecież zmówili się przeciw dzieciom lisim. Ona nigdy nie zważała swej czujności, w czem dzielnie dopomagał towarzysz jej mąż, który, chociaż drugorzędny w rodzinie odgrywa rolę i nie bywa dopuszczany do nory, dopóki małe są ślepe i ssą, jednakże był nieustannym dostarczycielem pożywienia i niestrudżonym stróżem.

Właśnie i teraz wśród najweselszej uczty dał się słyszeć z dalekiego pagórka głos ojca: „Yur—yur—yur—yap” — co dowodziło, że w pobliżu jest niebezpieczeństwo.

Gdyby lisiątka były już nawpół dorosłe, wiedziałyby co to znaczy, ale będąc jeszcze tak małe, musiały być kierowane przez matkę, która im wytłomaczyła, że dalekie szczekanie w ci-



chych tonach oznacza groźne niebezpieczeństwo. Zapędziła je więc szybko do legowiska, gdzie w ciemności musiały dokończyć kawałka smacznego zwierzątka, jaki zdołały uchwycić.

* * *

Wśród kolonji Nowej Anglji znajduje się przynajmniej około tysiąca par lisów. Każda para zakłada co rok rodzinę i jest bardzo prawdopodobne, że scena podobna do wyżej opisaney ma miejsce przy każdym legowisku, zwłaszcza w pięknym dniu wiosennym lub letnim.

Niemniej niż stotysięcy razy corocznie powtarzały się te sceny w tej lub innej formie, przyczem lisiątka tak wprawiały swe nosy, a ojciec i matka tak byli przezorni, sprytni i nieustrudzeni w czujności, że żaden człowiek na te stotysięcy razy nie miał szczęścia ujrzenia rodziny lisiej, tej wesołej i figlarnej gromadki i poznania ich wdzięku a zarazem wzruszenia serca swego widokiem tych stworzeń, tak podobnych do nas ze swych uczuć i zabaw.

Jedynym szczęśliwym człowiekiem w okolicy Goldur, był Abner Juckes, i on w dodatku nie był całkowitym człowiekiem, lecz długonogim chłopakiem o piegowatej twarzy, który wdrapał się na drzewo i skrywszy się poza gniazdo wro-

nie, mógł doskonale przyglądać się niepostrzeżony tej lisiej scenie.

Widok, jaki ujrzał wzbudził w nim dreszcz rozkoszy, świadczący o przyszłym naturalście. Najbardziej podobało mu się ciemne lisiątko z przepaską czarną na twarzy i nazwał je Dominem. Przez długą chwilę bawił się figlarnymi zabawami lisiąt, zupełnie przyjaźnie względem nich usposobiony. Nie miał on zamiaru przeszkadzania im, jednakże niechęć stał się przyczyną ukończenia zabawy, a później nawet pewnego smutnego epizodu.

Podobnie jak większość chłopców w fermie, Abner lubił w zimie polować na lisy. Był on dumnym posiadaczem psa, który obiecywał być „perłą.” Chociaż bowiem był dopiero szczeniakiem, był już silny w nogach, wązki w bokach, i szeroki w piersiach. Odznaczał się szczególnie donośnym i dźwięcznym głosem i dzikiem usposobieniem. Dnia tego zamknął go Abner przed wyjściem z domu, ale pies oswobodził się i popędził na poszukiwanie pana i w chwili, gdy zbliżył się do drzewa, na którym siedział Abner, spostrzegł go stojący na czatach ojciec lis i stąd to pochodziły jego ostrzegawcze znaki.

Matka lisica, zapędziwszy swe siedmioro szczeniątek do kryjówki, pozostawiła je, pewna bezpieczeństwa, a sama pobiegła odeprzeć domnianego wroga. Przezornie ukryła swe ślady i po chwili zobaczyła psa, który pomimo całej odwagi wzbudził w niej przyspieszone bicie serca.

Ale nie o sobie myślała ona teraz, pozwoliła psu nawet gonić się, ale w odległości jakiejś wiorsty od legowiska zmyliła ślad podwójnym skokiem, tak że pies przystanął zdziwiony, a ona powróciła do dzieci. Zastała je wszystkie zdrowe i bezpieczne, tylko Domino nie siedział jak zwykle przy wniściciu, lecz skulony w kącie wpakował nos swój w piasek.

Wyjrzał on z kryjówki w chwili, gdy przelatywał okrutny pies i taki dreszcz przeszedł go przez grzbiet aż do końca ogona, że czemprędzej zawrócił do legowiska i skrył się w najciaśniejszy kącik, gdzie zamierzał przeczekać niebezpieczeństwo.



Пієпкóј.

Myśliwi utrzymują, że lis nigdy nie napada kurników, znajdujących się blisko jego mieszkania. Może dlatego, że nie chce ściągnąć zemsty swego najbliższego sąsiada, woli więc szukać pożywienia w dalszych fermach. Zapewne to więc było przyczyną dla której kurniki kolonisty Jukes'a ocalały, podczas gdy zagroda kolonisty Bentona, leżąca dalej była już ograbiana kilkakrotnie.

Stary fermer Benton nie miał już dłużej cierpliwości, i gdy już ćwierć jego pięknych kur

znikła, nie mógł dłużej wytrzymać i postanowił wysledzić zbrodniarza.

Tymczasem następnęj niedzieli Si i Bud Benton, młodzi chłopcy, spacerując po lesie, posłyszeli na pagórku głos psa Juckes'a, na śladach lisa. Chłopcy i psy nie używają tych samych wyrazów, nie przeszkadzali więc sobie wzajemnie. Chłopcy strzegli dolinę na dole, zobaczyli coś na polowaniu i byli bardzo ucieszeni spokojem, z jakim pies zabierał się do rzeczy, podczas gdy lis był już zmęczony gonitwą. Ale właśnie w chwili, gdy tak stali zapatrzeni, ukazał się w poprzek doliny lis z wielką śnieżno białą kurą w pysku. Bez wątpienia była to jedna z drogocennych kur Bentona. Chłopcy bez poruszenia śledzili ruchy lisa i dzięki białości kury mogli go widzieć poprzez gąszcze, gdy wchodził do otworu prowadzącego do nory. W półtorej godziny potem stanęli obaj przy norze pośród masy białych piór biednej ofiary. Gruba żerdź posłużyła im do zsondowania jamy, ale ponieważ ta miała skręty, żerdź nie dosięgła lisiąt, które strasznie przerażone skryły się w najciaśniejszy kącik, podczas gdy rodzice ich, widząc z lasu, co się dzieje, nadaremnie starali się im dopomóc w jakikolwiek sposób.

Lisiątka naprzód myślały, że to jest ich wszechmocna matka, ale wkrótce rozczarowane przekonały się, że były to stworzenia, które tak przstraszyły matkę.

Chociaż legowisko lisa znajdowało się na posiadłości Juckes'a, chłopcy postanowili przyjść na

stępnego dnia i wykopać lisięta. Ale instynkt matki nie próżnował. Spostrzegła zaraz, że mieszkanie ich nie jest w bezpiecznym miejscu, zaczęła więc szukać nowej kryjówki, by przenieść tam swe małe.

Podobno istnieje u niektórych zwierząt zwyczaj, że w razie niebezpieczeństwa ratują tylko jedno dziecko z pomiotu i to jest najnaturalniejszy sposób doboru. Pomiot cały zostawia się na otwartym polu. Po chwili pokazuje się matka i zaczyna zanosić małe do nowego schronienia i wierzy, że najlepszym będzie to, które najpierw wyratuje. Jest w tem pewna racja: oto najsilniejsze i najżywsze włazi zwykle na sam wierzch i najpierw matka go spostrzeża. Tak samo stało się i teraz. Matka lisica wszedłszy do nory, spotkała małego liska, który był prawdopodobnie najżywszy i najsilniejszy ze wszystkich i tego najpierw zaniósła do nowego mieszkania, był to ten z maską na twarzy — tak zwany Domino. Potem wzięła najodważniejszą siostrzyczkę jego, a wreszcie malutkiego dzielnego braciszka. Tymczasem ojciec stał opodal na straży, w ten sposób zdążyli bezpiecznie przenieść tych troje małych.

Gdy ukazali się znowu chłopcy Benton z łopatami, widłami i dragami w celu wykopania rodziny lisiej i zaczęli pracę, po godzinie kopania przy samem wniścieniu napotkali na skałę i nie mogli jej poradzić. Dopiero jeden z chłopców poszedł po dynamit i podłożył. Po chwili rozległ się huk, pagórek zatrzęsł się i odłamy skały

posypały się, tak, że zakryły sobą otwór i zawa-
liły całą norę, grzebiąc w niej pozostałe lisiątka,
skazane na uduszenie. Utworzył się skalisty grób
i chłopcy nie próbując nawet odkopać go —
odeszli.

Gdyby nocy tej był kto na
pagórku, zobaczyłby jak ojciec
i matka lisiąt drapali łapami zie-
mię przy starem legowisku, i
jak usiłowali podnieść kamie-
nie. Następnej nocy można ich
było również spotkać przy pra-
cy, trzeciej nocy przyszła tylko
sama matka — poczem ustały
beznadziejne ich wysiłki.



Nowe mieszkanie.

Nowe mieszkanie rodziny lisiej znajdowało
się o wiorstę dalej — i nie na pagórku jak do-
tychczasowe, ale w dole nad strumieniem, gdzie
było dużo swobody i przestrzeni, gdyż obok roz-
ciągały się pastwiska. Tutaj w dużej norze wy-
chodzącej do strumienia po pochyłości ograni-
czonej skałą, a zakrytej korzeniami osiki i brzo-
zy — zrobili rodzice lisi nową kryjówkę. Dwie
płyty kamienne strzegły wejścia, gdyż lisy wie-
rzyły wciąż, że ratunek ich leży w skale.

Poprzednie mieszkanie ich leżało w lesie sosno-
wym, obecne w małej dolince osinowej. Nad niemi
wówczas szumiały i wzdychały sosny, teraz drża-

ły liście, skrzypiały brzozy, a strumień śpiewał i dzwonił. Zwłaszcza w owym pamiętnym dniu śpiew sosen pozostał dla nich straszmem wspomnieniem, podczas gdy dźwięki osiny i strumienia napełniały je błogim spokojem.

Z jednej strony mieszkania lisiego rozciągała się piękna zielona łąka, oddzielona od strumienia zaroślami jeżynowemi, wybrzeże zaś porastały trzciny, w których woda przestawała na chwilę szemrać i opłukując ich mocne łodygi, płynęła dalej ze śmiechem i wesołością.

Zielona pochyłość była ulubionem miejscem zabaw lisiąt i tutaj odbywały się znane sceny przy powrocie do domu ojca myśliwego obładowanego zdobyczą. To też ziemia była tutaj cała zasiana śladami maleńkich stóp i resztkami po odbywających się bitwach. Lisiątka żyły tu spokojnie i szybko wzrastały, stając się coraz silniejsze; zwłaszcza najstarszy odznaczał się niezwykłą siłą, i w miarę wzrostu ciemniało jego futerko, a ciemna pręga na twarzy stawała się także coraz ciemniejsza.

Rodzice zaczęli teraz wprawiać swą trójkę do polowania. Matka odłączyła je już od piersi i musiały one żywić się już tylko tem co dorosli. Nauka zaczęła się od tego, że ojciec i matka przynieśli jakieś zwierzę świeże i kładli je nie przy drzwiach, lecz w lesie na pewnej odległości od nory, coraz to dalszej — i matka zachęcała je miękkiem nawoływaniem do szukania. Jeśli znalazło, wydawała czuły ton, jakby chciała powiedzieć: „bardzo dobrze” — gdy zaś znaleźć

nie mogło, zachęcała dalej: — „szukaj albo wrócisz głodny.”

Jak one biegały teraz po zaroślach jeżynowych, jak staczały się po miękkiej trawie, jak kołowały tu i tam i węszyły noskami, wsadzając je w każdą dziurę! Jak skakały jeden przez drugiego, gdy wietrzyk przyniósł im jaki miły zapach i zdawał się mówić „chodź tą drogą” — i jak pysznie i szybko nauczyły się poznawać ślady ojca i matki i w pełnym biegu chwytwały ukryte gdzieś pożywienie.

Było to zapoczątkowanie samodzielnego życia i w ten sposób lisiątka nauczyły się prawdziwego polowania.

Największe szczęście w polowaniu miał najstarszy lisek i wskutek tego rósł najszybciej. Najlepsze kęski chwytał z pod oczu rodzeństwa i wszędzie był pierwszym. To też codzień stała się widoczniejsza różnica między nim a resztą rodzeństwa. Dziecięce jego futerko przybierało coraz ciemniejszą barwę, wreszcie stało się ciemno rude, podczas gdy twarz i nogi były całkiem czarne.

Był to koniec lipca. Stare lisy nietylko starały się nauczyć swe małe poszukiwania pożywienia w fermach, ale i umiejętności zachowania się w każdym niebezpieczeństwie. Przytrafiwały się bowiem i tutaj różne przygody. Nieraz np. słyszały lisy złowrogie szczekanie ciemnego psa, kołującego przy ich legowisku, za każdym razem jednak jedno ze starych potrafiło zręcznym figlem zmylić węch wroga i ocalić kryjówkę. Lisiątka

jednak nie liczyły się z niebezpieczeństwem, czuły się bowiem tak swobodne wśród skał nad strumieniem, że stały się nawet za śmiałe, lekcewały tego niezgrabnego nieprzyjaciela.

Pewnego jednak dnia, gdy wszystko troje: Domino, szczupła jego siostra i mały braciszek—taczali się po zielonej łące, poszukując porzuconych przez ojca kęsków, pstry pies wyskoczył na nie z nienacką. Nagłe jego szczekanie przeraziło ich okropnie. Rozpierzchły się przerażone, ale najmłodszy nie był dość zwinny i znalazł się w wielkiej paszczy psa, który w okamgnieniu zgniótł silnemi swemi szczękami wątle ciało lisiatka i popędził z niem do domu, gdzie u nóg pana swego złożył zdobycz, oczekując potem cierpliwie na zasłużoną pochwałę.

Zmartwienie przychodzi zwykle w parze. Oto następnego dnia, gdy ojciec lis wracał do domu ze świeżo upolowaną kaczką, napadła go zgraja psów w sposób zupełnie mu nowy. Skierował się w uliczkę ogrodzoną wysokim płotem, ale nie mógł wdrapać się na niego z kaczką w pysku i wypuścił ją, psy jednak popędziły za nim dalej. Jakaż to była gonitwa! po ulicach, ścieżkach, dziedzińcach,—aż wreszcie nadszedł śmiertelny koniec.

Ale rodzina lisia wiedziała tyle tylko, że ojciec wyszedłszy z domu na polowanie więcej nie wrócił, a żałoba ich chociaż prawdziwa, była krótkotrwała i nie miała tej cechy, jaka bywa, gdy się patrzy na tragiczny koniec kogoś ukochanego. Odtąd żyła matka sama ze swem dwoj-

giem dzieci w osinowej dolinie i dźwigała cały ciężar wychowania na swych barkach bez strachu.

W sierpniu zaczęły lisięta chodzić za nią na dalekie polowania i same już zdobywały sobie pożywienie. We wrześniu młoda lisiczka była już tak duża jak matka, a Domino jeszcze większy i silniejszy od niej, i ubrany w czarne lśniące futro.

Dziwne uczucie zapanowało między siostrą i bratem oraz między matką i synem, następnie przyszła zupełna między nimi obojętność, a w końcu matka i siostra zaczęły bać się i unikać wielkiego brata.

Matka z córką żyły dalej spokojnie, ale węzły rodzinne zostały zerwane i wszyscy troje zdawali się unikać spotkania — aż wielki, czarny lis zupełnie gotowy do samodzielnego życia porzucił dolinę osikową, unosząc wdzięczne wspomnienia lat dziecińczych, i przy śpiewie strumienia powędrował w świat, by rozpocząć swe samotne życie.



Nowy wygląd i nowe życie.

Dzień ten był dla niego początkiem nowego całkiem życia. Wydostawszy się poza zarośla osinowe ujrzał nowy świat i jednocześnie poczuł, że teraz własną tylko siłą musi zdobywać warunki życia i że wszystko polega na nim samym. Odważnie

patrzył w przyszłość i poznając różne właściwości życia, stawał się coraz mądrzejszy i zwiniejszy; spryt jego, odwaga, dzielność i piękność wzrastały z dnia na dzień.

Wkrótce po opuszczeniu rodzinnego domu miał on na polowaniu wypadek, który szybkość jego wystawił na bardzo ciężką próbę i pokazał, że nogi jego są słabsze od sprytu, a najlepszymi przyjaciółmi w chwili niebezpieczeństwa jest rozum i wiedza — przyjaciółmi jakich dotychczas jeszcze nie znał.

Goniony przez swą psów, biegał wokoło skalistych pagórków, aż mu się nogi pokrwawiły i poobijały. Był to wilgotny, mglisty dzień, tak że z wielkim wysiłkiem udało mu się oddalić od wroga i zawlec się nad brzeg strumienia, by wymoczyć w nim swą brudną, zmęczoną, potłuczoną i zakrwawioną nogę. Chodził po płytkim brzegu i rozkoszował się ochładzającą wodą, przeszedł tak ze ćwierć wiorsty spokojnie, ale w tem znowu posłyszał w bliskości głos psa, który zwęszył jego ślady. Lisek skoczył instynktownie w zarośla wikliny, które tworzyły małą wysepkę na strumieniu i w ten sposób uratował się, gdyż pies leciał wzdłuż strumienia i zgubił zapach, i napróżno biegał tam i napowrót, aż w końcu zawrócił do domu okrutnie zmęczony.

Może lisek nie zdawał sobie sprawy, że woda zgubiła jego ślad, ale pojął, że strumień jest dobrem miejscem wobec gnębiącego go wroga. Sprawdził to później niejednokrotnie w różnych okolicznościach.

Po drugiej stronie strumienia, nieco dalej znajdowała się duża łacha piasku, który nie zachowywał śladów, a więc nic nie mógł powiedzieć. Gdy zaś nadeszła zima ze ślizkim lodem na powierzchni wody, przekonał się, że może uciekać płynąc na kawałkach cienkiej kry, podczas gdy pies zanurzał się w nurtach zimnej wody.

Ale najgłówniejszą pomoc dawał mu długi szeregi parów, przez który przepływał strumień po opuszczeniu pagórków. Tu ciągnęła się wzdłuż rzeki ścieżka, wąziutka tak, że ledwie wystarczająca na łapy lisie, ale stanowczo za wązka na wielkie nogi psa, kończąca się okrągłą skałą, na którą wspiąwszy się, mógł odrazu dotrzeć do lasu leżącego przy drodze.

Wreszcie poznał, że jeśli gdzieindziej polowanie się nie udaje, nad rzeką, może zawsze znaleźć coś do pożywienia w wodzie. Była to jakaś smaczna ryba, albo ptak, albo wreszcie żaba; dość, że nigdy tu nie doznał głodu i doszedł do następującego wniosku: „wzdłuż strumienia jest bardzo wygodne miejsce przebywania i tu należy pozostać.” Strumień stał się jego najlepszym przyjacielem.

Tu nastąpiła wewnętrzna zmiana w młodym lisiku, tu były zarazem szanse jego powodzenia w życiu. Nie potrzebował on teraz niczyjej pomocy, sam stanowił o swem życiu — sam budował swój los, i rosnąc w siłę i rozum, stawał się magnetycznym środkiem wszystkich chciwych oczu myśliwych, stawiających dziesięciokrotną wartość za jego życie.

Chłodne noce jesienne wymagały ciepłego grubego futra, i rzeczywiście jakaś tajemnicza władza czyniła to futro codzień bardziej puszyste, codzień bardziej lśniące i codzień ciemniejsze, dopóki nie znikły wszystkie ślady rude i szare, pozostałości z dziecięcego wieku.

A ci, co widzieli te zmiany w pokryciu lisa, mawiali: „czyż nie jest to zapowiedź piękności? czyżby ten dziwny lis był przeznaczony na Srebrnego lisa?” Tylko znawcy tajemnic północnych lasów mogą zrozumieć to magiczne słowo. Srebrny lis — to nie jest oddzielny gatunek, lecz tylko pewien kaprys rudej rasy.

Rodzice jego są najzwyczajniejsze rude lisy, tylko dziwaczna natura uposaża hojnie jedno z potomstwa, dając mu nietylko piękną postać i oryginalne futro, ale i rozum i spryt, zapewniające mu powodzenie w tem niebezpiecznym życiu, obfitem w najrozmaitsze przygody.

Ale niczem była wszelka siła wobec tej pysznej sukni, tak wytwornej w stylu i barwie — tego miękkiego futra lśniącego czarnego, jakby osypanego delikatnym szronem. Jestto najbardziej cenione ze wszystkich futer, najbardziej pożądane przez znawców, słowem najszlachetniejsze i najcenniejsze futro jakie istnieje. Jest to istotnie szata królewska, stanowiąca ozdobę nawet cesarskiego tronu. Największem szczęściem myśliwych jest zdobycie takiego skarbu; nie przychodzi to im z łatwością, gdyż zmyślność, spryt i siła nóg zwierza stoją na straży jego wspania-

łości, tak że niewielu ma szczęście zdobycia tego klejnotu leśnego.

Srebrne lisy podlegają jeszcze pewnemu stopniowaniu w piękności i myśliwi mają dla nich rozmaite nazwy wyrażone w specjalnym ich języku — począwszy od zwykłego „srebrnego” aż do najdelikatniejszego, „djamentowego.”

Właściwości te z trudnością dają się spoznać w lecie, a młody lis w swem dziecięcym futrze wygląda na zupełnie zwykłego lisa. Dopiero ze zbliżeniem się zimy pojawiają się cechy piękna i świetnego uposażenia. Złota jesień ze swemi mroźnymi nocami jest tą mistrzynią przekształcającą tego zwykłego lisa w wybrańca losu. Takim był Domino. Zgrabna, wysmukła jego postać stała się ozdobą lasu; ciemne futro połyskiwało zdala srebrzysto, piękny puszysty ogon biały na końcu, dodawał mu wdzięku, a czarna pręga na twarzy okolonej srebrzystemi włosami, powiększała jego powagę, błyszczące zaś, jak dwie gwiazdy, oczy, świadczyły o jego rozumie i sprycie. Ktoby więc widział to małe lisiątko bawiące się z rodzeństwem na pagórku w maju, nie poznałby go w listopadzie z pewnością i nie uwierzyłby, że ten mały rudy z czarną maską Domino jest teraz w zimowej swej szacie największą ozdobą lasu i jest znany jako wspaniały Srebrny lis.

Piękność i bestja.

Wkrótce rozeszła się wiadomość, że okolica Goldur jest siedliskiem Srebrnego lisa. Ten genialny twór natury, był widywany niejednokrotnie, a Juckes utrzymywał, że pies jego Hekla poznał się z nim dobrze na wyścigach i dlatego lis nie pokazuje się tak często, że został już dobrze poczęstowany. Sąsiedzi jego jednak byli innego mniemania, i śmieli się, że to lis zakpił sobie z pstrego psa i zwyciężył go w gonitwach, zmyliwszy mu drogę jakimś pomysłowym figlem.

Hekla miała głos bardzo donośny, tak że podczas spokojnej nocy można było słyszeć ją z odległości kilku kilometrów, a była tak samowolna, że nie zwracała uwagi na żadne nawoływania i urządziła polowania według własnego planu i na własną rękę.

Chłopy Juckes'a uważali ją za nadzwyczajnego psa — za wzór doskonałości, a sąsiedzi twierdzili, że jestto mieszaniec dwóch ras, z których każdej wziął coś charakterystycznego. Bądź co bądź, był to wielki, rączy półrasowiec ze szczególnym głosem, którego, gdy kto go posłyszał, nigdy nie mógł zapomnieć. Poraz pierwszy słyszałem szczekanie to na wiosnę, gdy Hekla była zamknięta w stodole, ale tak utkwiał mi w pamięci ten metaliczny dźwięk, że słyszałem go w mem uchu przez długi czas.

Gdy raz w jesieni wałęsałem się po pagórku Goldur, uderzył mnie ten sam dziwny głos i od-

razu poznałem, że to Hekla była na czyimś tropie. Przystanąłem i słuchałem. Po chwili postąłem lekki szelest wśród liści i ukazała się postać jakiegoś zwierzęcia, nie mniejsza od czarnego lisa. Zwierz biegł szybko i swobodnie, ale naraz przystanął i obrócił się. Był oddalony odemnie zaledwie na pięćdziesiąt kroków, ale mnie nie widział, ja zaś go widziałem doskonale i wiedziałem czem go zwabić, przyłożyłem grzbiet ręki do ust i ssąc go, wydałem głuchy pisk.

Lis odwrócił się szybko i skierował się ku mnie, potem skoczył jak kot i stanął na jakieś dwadzieścia kroków w pozie tak wdzięcznej, o jakiej tylko marzyć można: z głową podniesioną, ogonem zakręconym, łapami podniesionymi jakby do uchwycenia mniemanej zdobyczy, jaką spodziewał się po zasłyszonym pisku znaleźć. A jakież okrycie miał on! Srebrzysto czarny błysk przechodził po całym ciele aż do białej kity ogona, a srebrzyste włosy zwieszające się u czoła okalały jak promienie żółte głębokie jego oczy.

Zdaje mi się, że nigdy nie widziałem tak cudownego stworzenia i pomyślałem sobie, że to musi być Srebrny lis z Goldur. Stałem nieruchomie, cichuteńko, tak cicho jak i lis, który nawet nie przypuszczał, że tuż przed nim stoi człowiek. Wtem rozległo się donośne szczekanie Hekli i lis popędził chyłkiem i cicho dalej. Po chwili znowu zapisałem i lis przystanął i mogłem dalej podziwiać wdzięczną pozę pięknego zwierzęcia — ale niedługo to trwało, bo



Skoczył i stanął w pozie tak wdzięcznej, o jakiej tylko marzyć można...

zdradziłem się lekkim poruszeniem i w okamgnieniu lis znikł mi z oczu.

Po 10 minutach nowe zwierzę ukazało się na scenie: wielkimi susami depcząc szeleszczące liście, przedzierając się przez gęste krzaki, pojawił się na polanie pies — przystanął ciężko dysząc i poszedł dalej, zwolna, z oczami utkwionymi w ziemię, węsząc świeży ślad lisa. Zmienił co chwila kierunek, tak że odrazu poznać można było, że prowadzi polowanie sam, z gorliwością nadzwyczajną, tak jak nadzwyczajnym i niezwykłym był mieszkaniec pagórków Goldur.

Niepojętem jest, w jaki sposób to wielkie niezgrabne zwierzę węszyło bez przerwy ziemię i postępowało wytrwale za każdym zwrotem śladów lisa. Zdawało się, że pies mógł opowiedzieć jaką drogą lis wędruje, chociaż go oczami nie widział.

Gwizdnąłem na psa, ale nawet nie słyszał, tylko wciąż węszył i szedł naprzód, dopóki nie skłoniłem go do zaprzestania tego, stanąwszy przy nim. Ale jakież miał on wówczas złe oczy i nastroszoną grzywę? Ja byłem także sam zapalonym myśliwym lisów i umiałem dobrze cenić psy lisie — ale dzisiaj ta wspaniała postać, którą przed chwilą widziałem, prześladowana przez tego niezmordowanego, bez serca i sumienia cerbera — wzbudziła we mnie uczucia takie, jakie daje widok małego ptaszka śpiewającego, duszonego przez jadowitego węża. Tradycyjne przymierze między człowiekiem a psem zostało w tej chwili zerwane i całe moje serce stanęło po stronie Srebrzystego lisa.



He k l a.

Zimowe życie Domina.

Nadeszła zima a z nią polowania na lisy urządzone przez mieszkańców z fermy, polowania, w których używano jedynie trzech albo czterech psów do gonienia lisa — wogóle bez broni.

Raz urządzono prawdziwe polowanie ze sforą psów, wtenczas Domino cofnął się w zarośla rosnące wzdłuż rzeki, i korzystając ze swej umiejętności w biegu, w który wprawił się znakomicie, uszedł pogoni, zmyliwszy ślady.

W tych ciągłych ucieczkach i prześladowaniach, nabył on bardzo ważną naukę, mianowicie — panowania nad sobą. Starał się nic sobie nie robić choćby z najstraszliwszego szczekania psów, słuchał go bez strachu i tak potrafił się opanować, że głos psa wzbudzał w nim jeszcze większą odwagę i siłę.

Żył zwyczajnem życiem lisa samotnego, nie zamieszkując nory (lisy nie używają nor w czasie zimy), sypiając na otwartych miejscach, a ciepłe jego futro i puszysty ogon ochraniały go od zimna, zaś czujne zmysły zabezpieczały przed niebezpieczeństwem.

Zasypiał na cały dzień, gdyż zwyczajem lisów jest, przespać dzień w pełnem słońcu, a noc spędzić



dzać na polowaniu. Gdy zmrok zapadł po zachodzie słońca, Domino szedł zdobywać swój codzienny chleb, co udawało mu się znakomicie, dzięki wrodzonemu instyktowi i nabytemu doświadczeniu.

Błędem jest mniemać, że dzikie zwierzęta mogą widzieć w nocy podczas zupełnej ciemności. One także potrzebują światła, nie tyle co człowiek, ale w każdym razie cośkolwiek i mogą iść po omacku lepiej i prędzej. Nie lubią także jaskrawego światła południowego, a najlepszy czas dla nich jest: półzmrok poranny i wieczorny, światło księżyca, albo blask gwiazd, lub gdy śnieg leży na ziemi,—czują się one wtedy najlepiej.

A więc gdy słońce zachodziło i nastął miły zmrok, Domino wychodził ze swego dziennego ukrycia i udawał się na polowanie.

Leciał więc kłusem przeciw wiatrowi, zatrzymując się co chwila przy każdej obiecującej gęstwinie zarośli lub sitowatych bagnach. W miejscach bardziej wydutnych, skąd mógł mieć widok na większą przestrzeń, np. na kamieniach lub kopcach, przystawał i rozglądał się, czy jaki inny lis nie poluje w pobliżu. Bo lisy, tak jak psy lub wilki mają pewien wspólny sposób wybierania i oznaczania posterunków wywiadowczych, które codziennie odwiedzają.

Nasz lis miał doskonały punkt obserwacyjny wzdłuż szczytów pagórków, stąd bowiem miał widok otwarty na obydwie strony, przytem mógł odczuć każdy wietrzyk, obiecujący mu coś do-

brego, i słyszeć każdy szelest liści lub gałązek; szedł więc tą zwykłą drogą i przystawał co chwila nieruchomie, by lepiej uchwycić wszelkie szmery lub też ślizgał się i przysadał jak kot dla lepszych poszukiwań. Czasem wdrapywał się na jaki pochyłony pień i robił stamtąd skok jak kozioł skalny. Tej nocy wycieczka jego była dalsza, gdyż chciał uniknąć prześladowającego go psa.

Wśród lisów istnieją też pewne zasady i systemy, mianowicie — ponieważ podwórka ferm przedstawiają bardzo ponętne źródło zapasów, mają więc zwykle jednego albo dwóch stałych pensjonarzy z rodu lisiego. Domino wędrował więc z jednej takiej swojej fermy do drugiej, unikając spotkania z innym lisem.

Były dwie metody zbliżania się niepostrzeżenie. Jedna polegała na tem, żeby w razie otwartego wejścia schować się w bezpiecznem miejscu, z zachowaniem jaknajwiększej ciszy, — druga zasadzała się na przestraszeniu psa, wtedy lis stawał na pewnej odległości i czekał wyzywająco. Jeśli pies wyskoczył ku niemu — uciekał, jeśli zaś nic nie odpowiadał na to wezwanie, wiedział, że znajduje się na podwórzu, ale go nie słyszy, ani czuje, podpełzał więc wtedy cichutko do kurnika, gdzie szperał i grabił ile się dało.

Na takim polowaniu największą zdobyczą jest tłuste kurczę capnięte zręcznie za kark. Nie zawsze jednak to się udawało i nieraz trzeba było zadowolnić się okruchami chleba, rzucane-

go kurom, albo martwym szczurem, wyrzuconym z pułapki, a nieraz nie był od tego, by wyciągnąć jaki kęs z koryta prosiąt, zdarzało się nawet, że musiał zaspakajać głód swój otrębami, któremi karmiono świnie. Czasem jednak nie udało mu się zdobyć pożywienia, tak że zwykle pięć dobrych posiłków na tydzień wystarczyć mu musiało, by bez szkody dla ciała i sił przeżyć zimę.



Domino znajduje towarzyszkę.

Żadne dzikie zwierzę nie włóczy się po okolicy na chybił trafił. Wszystkie mają jakiś okrąg, w którym mieszkają, polują i bronią do niego dostępu każdemu obcemu przybyszowi. Z wielu obserwacji wiadomo, że okrąg lisi obejmuje zwykle promienie na 2—3 kilometry odległe od środkowego punktu. Bardzo jest jednak prawdopodobnem, że nie zawsze jeden lis jest wyłącznym posiadaczem okręgu, zdarza się, że inny okrąg lisi może weń wnikać i wkrótce zaznają się oba jakby sąsiedzi, poznają swój wygład i zapach, ślady i zwykle przechodzą jeden

obok drugiego obojętnie. Inna sprawa, gdy przybysz zupełnie obcy ukaże się w okręgu. Jestto już naruszenie prawa. Albowiem:

— „Siła jest prawem; licz się z nią albo walcz.”

Gdy śnieżny księżyc zaczął się zmniejszać, Domino przy całej swej sile i sławie poczuł się nagle bardzo samotnym, coś jakby tęsknota opadowała go. I od chwili tej coś go ciągnęło do osiedlenia się w jakimś bezpiecznym miejscu, niedaleko jakiegoś podwórka, gdzieby psy nie były niebezpiecznymi. Stawał teraz przy świetle księżycy na pagórku i wydawał przeciągłe żałosne dźwięki, które uczeni nazywają szczekaniem psiolisim, a myśliwi krzykiem samotnika.

Yap, yap, yap — yurrr — yeow

Yap, yap, yap, yap, yurrr — yeow.

Rozlegało się i rozbrzmiewało w powietrzu, objając się echem o zarośla i drzewa.

Posyłał więc głos swój w dal nawet w nocy księżycowej i myślał, że jestto tylko instynktowny wybuch, któremu łatwiej jest uledez niż unikać; nie cofał się więc przed tą wrodzoną potrzebą, ale odczuwał samotność swą jeszcze silniej po wydaniu tego żalosego głosu.

Był to właśnie, mówiąc w ludzkim języku miesiąc zwany lutym. Zima miała się ku końcowi, i dał łagodnie ciepły, wilgotny wiatr południowy, jakby już powiew wiosny, który w każdym sercu obudzał jakieś tęsknoty i pożądania...

Yap, yap, yap, yap, yurrr — yeow

Yap, yap, yap, yap, yurrr — yeow.

Znowu śpiewał Srebrny lis, coraz to żałośniej i czulej, a czarna jego postać z czujnie nastawionemi uszami z rozszerzonymi źrenicami błyszczała na białym śniegu. Wtem ujrzał jakiś cień na białem polu. Domino nateżył słuch i utkwiał wzrok swój w zbliżające się stworzenie i nagle ujrzał drugi cień i gdy rozpoznał miękkie kroki na śniegu... skoczył za niemi...

Człowiek poznaje swych sąsiadów z wyglądu, przy czem łatwo może pomylić się co do tożsamości osoby. Lisy mają daleko lepszy sposób rozpoznawczy, mianowicie poznają swych sąsiadów głównie po zapachu ich stóp i ciała, jaki ślady wydają, a także i po wyglądzie. Nie mogą więc nigdy zmylić się, gdyż zawsze chociaż jedna z tych cech pozostaje właściwa danemu zwierzęciu.

Srebrny lis wiedział więc, co robi. W kilka sekund znalazł ślad drugiego cienia, a nieomylny jego nos powiedział, że „jestto ślad płomienego lisa” żyjącego w okolicy „Shawbon.” Lis ten miał tu oddawna prawo polowania, Domino zostawił go więc i poszedł w kierunku śladu pierwszego cienia. Odnalazł go, powęszył i zapalna jego krew wzburzyła się w okamgnieniu. Był to ślad jakiegoś obcego lisa, intruza w jego okręgu, postanowił więc go wypędzić. Ale gdy biegął po polu i wąchał ślady, gniew stopniowo opuszczał go. Inne uczucie wstępowało w jego serce. Był on samotny, samotniejszy niż kiedykolwiek, bardziej popędliwy niż dotychczas, przytem jego nieomylny, cudowny przewodnik—

nos zdawał się mu szeptać: „Spiesz się! To jest to za czem tęsknisz — to jest ślad — lisicy.”

Domino poskoczył żwawo naprzód, ale zbliżył się tylko bardziej do śladów tamtego lisa. Widać obydwaj szli w tym samym kierunku i szukali tych samych śladów. Nowe uczucie o władnęło Domina! Przed chwilą przechodził koło śladu sąsiada obojętnie — obecnie jakąż zmianą! Złośliwa nienawiść opanowała go i stanął, najżywszy grzywę, poczuwszy dreszcz od uszu przez grzbiet aż do nasady ogona.

Domino musiał przejść trzy czy cztery polany zanim dopędził obojga przybyszów. Nie było między nimi ani walki, ani pokoju, ani nic znaczącego.

Nieznajomy przybysz, szczupła czerwona lisica z piękną elegancką białą kryzą, biegła naprzód wąską drożyną a płomienny lis gonił ją i żwawo dopędzał, wtedy odwróciła się i chciała go chwycić zębami; lis zrobił skok w tył ale wcale nie okazywał ochoty do walki, [przeciwnie poszli razem, zygzakowaną ścieżką.

Domino poczuł silną żądzę pomieszana z okrutną złością i zawiścią. Nagle poczuł, że ma jakieś prawo do osoby Białokryzki i nie wiele mu było potrzeba, by spostrzec, że ona nie unika go więcej niż rywała, zwrócił się więc do niego z dzikim pomrukiem.

Ten podniósł ogon, skurczył się i, warcząc, pokazał szereg zębów.

Przez chwilę stali obaj naprzeciwko siebie.

Młoda lisica uważała, że lepiej na ten czas

odsunąć się na bok, uciekła więc, a oba lisy pogoniły za nią ostro, ale Domino był pierwszy przy uciekającej. Stanęła i warknęła ale nie zbyt groźnie.

Płomienny był po drugiej stronie.



Obecnie oboje, t. j. Białokryzka i Domino grozili mu. Rywale natarli na siebie w złości. Płomienny wystąpił pierwszy i zamierzył się na Srebrnego zębami. Domino stał nad nim, ale nie bał się niczego. Tymczasem lisica pobiegła znowu dalej. Obaj puścili się za nią, dogonili i lecieli razem z nią, jeden z jednej, drugi z drugiej strony, mruczając groźnie i spoglądając na siebie z nienawiścią.

Ależ czyż serce kobiecie może oprzeć się, gdy ma przed sobą piękność i siłę połączone w jednej osobie?

Więc gdy tak kłusowali po polach, odsuwała się od Płomiennego, a zbliżała się troszeczkę do Srebrnego lisa. Wszyscy troje przystanęli i szykowali się do dalszej walki, ale z jednej strony było dwoje, a z drugiej tylko jeden, a wysoki czarny lis zakrył sobą swą towarzyszkę, stanąwszy dumnie na swych wysokich nogach. Wstrząsnął swą kryzą srebrzystą, podniósł ogon, mruknął groźnie, pokazawszy błyszczące rzędy ostrych

zębów, podszedł nieugięty ku płomiennemu, a Białokryzka przytuliła się do niego.

Płomienny uznał wtedy, że wszystko skończone, że jest zwyciężony... odwrócił się i zły popędził dalej.

Było to wesele Domina, zaślubiny Srebrnego lisa z Białokryzą lisicą. Ten jego tajemniczy przewodnik, który wiódł go tutaj, nie omylił go...

Każdy potrzebuje drugiego. Bez miłości życie nie nie warto. W tem zjednoczeniu dwóch istot jest podwójna siła, którą zwalcza się wszelkie przeciwności i idzie naprzód.

CZEŚĆ II.

Wiosna.

Wiosna zajaśniała na szczytach Goldur, piękna, słoneczna wiosna, ze swemi ciepłemi promieniami słońca, z ciemnymi od topniejącego śniegu zboczami, niespokojnymi rwąciami strumieniami, z tym trzepotem i świstem z tym świergotem i przeróżnymi odgłosami, które są właściwe tylko wiosnie.

Kuropatwy, wiewiórki i inne wczesne zwierzęta rozpoczęły już żyć na nowo, a miłośnicy zwierząt cieszą się, że wszechmatka natura zaczęła już rozdawać swe hojne dary.

Był to czas zalecań się, wzajemnych pożądań i poszukiwań się, tak w lesie, jak w jeziorze, na łące i polu. Dowodziło to nietylko życia pełnego ale i przyjścia nowych żyć.

Wszystko to znajdowało szeroki oddźwięk w sercu Domina i Snieżnokryzki. Miłość opanowała ich całkowicie, to wielkie, zapalne uczucie znane dobrze człowiekowi. Z początku bar-

dzo gorące, przybladło z czasem i zamieniło się w bardziej stałe uczucie przyjaźni. Domino i Śnieżnokryzka nie byli tylko małżonkami ale i przyjaciółmi na całe życie — taki jest bowiem zwyczaj u najszlachetniejszych stworzeń, taki jest i u lisów.

Gdy pierwszy stopniały śnieg dał początek małutkiemu strumyczkowi, młoda para lisia poszła w świat czegoś pilnie szukając. Szła kłusem i szukała. Naprzód szła Śnieżnokryzka i gorliwie rozglądała się, za nią postępował posłusznie Domino. Przyszli na piaszczystą polanę leżącą ze wschodniej strony pagórka Goldur i przystanęli. Znaleźli tu jednak znaki innego lisa, które im powiedziały:

— „Každy obcy musi stąd uciekać”
i poszli dalej.

Przeszli przez wyższy szczyt Goldur, gdzie leżał głęboki śnieg i zawrócili na drugą stronę rzeki, gdzie znajdowała się osikowa dolinka, ta sama, w której Domino spędził swe dzieciństwo. Kotlinka ta wydawała się liscie najodpowiedniejsza do pozostania; tu znalazła to, czego szukała. Węszyła tu i tam, aż wreszcie w gąszczu leszczyny zaczęła kopać norę. Gruba warstwa śniegu i liści pokrywała ziemię, tak że z trudnością dostała się do środka. Nie odstąpiła jednak od roboty, bo instynkt czy jakiś wewnętrzny przewodnik mówił jej, że to jest jedyne miejsce dobre do kopania; wszędzie indziej ziemia była zmarznięta jeszcze i twarda.



Snieżnokryzka.

Na wierzchołku sąsiedniego pagórka stał Domino i pilnie stróżował. Po godzinnem kopaniu Śnieżnokryzka zaprzestała roboty i Domino zajął jej miejsce. Pracowali tak przez długi czas.

W kilka dni nora została skończona, długi tunel schodzący w dół, potem rozszerzający się w komorę, która z przeciwnej strony przechodziła znowu w tunel z bocznem zagłębieniem, tworzącem dość obszerną komórkę. Tunel zaś ciągnął się dalej, że dosięgał zmarzniętego gruntu, gdzie na razie się kończył.

Następnych dni lisica skrobała zmarzniętą skorupę ziemi ponad tunelem. Codziennie miękła ona coraz bardziej, w końcu pękła i widać było otwór tunelu. Zaokrągliła go i rozszerzyła tak, że powstało bardzo wygodne wniście, otoczone kupką trawy. Nie było tam wcale ziemi, a jednak tak było dobrze okryte, że niepodobna było go dostrzec, a gdy trawa zaczęła rosnąć, utworzył się nad niem zielony pagórek.

Pożywienia nie brakło teraz lisom i pewnego dnia, gdy oboje byli dobrze nasyceni, trafiło się lisicy upolować dziką kaczkę, która wałęsała się po lesie, nie zjadła jej, lecz wciągnęła do tunelu i schowała do bocznej komórki.

Młoda para starała się teraz bardzo, aby nie być spostrzeżoną w bliskości nory. Nieraz Śnieżnokryzka brnęła przez strumień, aby nie pozostawiać śladów na ziemi, któreby zdradziły ich mieszkanie. Nieraz też Domino leżał na płask pod jakim kłosem, albo przykucnął w trawie, podczas gdy chłopcy z fermy bawili się

obok, nie przypuszczając nawet, że znajdują się tak blisko lisa. Od tego czasu Srebrny lis stał się bardziej skryty i niedowierzający.

Aż tu pewnego dnia zdarzył się dziwny wypadek. Domino zobaczył zdaleka zbliżającą się postać człowieka. Nie był to myśliwy, tylko jakieś młode stworzenie w krótkiej sukience, z pod której wyglądały tylko dolne części nóg. W rękę niosło koszyczek.

Domino nie poczuł strachu, tylko lekki niepokój. Wprawdzie nie mógł on wiedzieć, że to była tylko dziewczynka, która, wracając ze szkoły zbierała jagody jałowca, ale nie poczuł strachu nawet, gdy zbliżyła się, i przystanął cichutko... Jakieś wewnętrzne przecucie, tak częste u zwierząt, zdawało się mówić: „to jest łagodny człowiek, to jest przyjacielska istota.”

Kierowany jakimś dziwnym nieznanym mu uczuciem szedł śmiało i spokojnie naprzeciw dziewczynki.

Ta przystanąła i patrzyła ze zdziwieniem na dzikiego zwierza. Jakieś ciepłe uczucie nappełniło jej serduszko, postąpiła naprzód i pogłaskała jego błyszczące futro: lis dał się głaskać i patrzył na dziecko czule. Coś ciągnęło oboje ku sobie...

Ale niestety! Przyjaźń ich została zerwana, zanim zdołała się nawiązać! Mały piesek dziewczynki nadbiegł, i zobaczywszy lisa rzucił się energicznie naprzód, szczekając zajadle, a lis w zręcznych skokach oddalił się i znikł dziecku z oczu.



Dziewczynka powróciwszy do domu, opowiedziała o tem dziwnem spotkaniu z błyszczącym lisem, o jego pięknych żółtych, dobrych oczach, ale nikt, tak młody jak stary, nie chciał temu wierzyć — pozostała więc cała przygoda tylko między dzieckiem i Srebrnym lisem.

Wielkie zdarzenie.

Nastał księżyc trawiasty, następujący zwykle po księżycu wronim. Wszędzie zaczęła budzić się natura, napełniając hojnemi obietnicami lasy, łąki, rzeki, powietrze. Wszędzie zapowiadało się nowe życie, nastał czas tajemnic i radości.

W Śnieżnokryzce także zaszła zmiana. Zaczęła unikać Domina, a gdy ten próbował towarzyszyć jej do nory, broniła mu tego, dzikie rzucając na niego spojrzenia. Srebrny lis stawał zaniepokojony, ale że lisy umieją szanować wolę małżonki, która musiała mieć do takiego zachowania poważny powód, odstąpił bez oporu i oddalił się, po rycersku znosząc ciężkie prawo.

W czasie tym zaszło wielkie zdarzenie.

Gdzie i jaki jest początek miłości i czułości matki, jaką ona otacza swe nowonarodzone dziecko? Kto kieruje jej ręką, gdy je prowadzi? Kto uczy ją pielęgnować je, karmić, okrywać i strzec przed niebezpieczeństwem? Czyż tę wiedzę posiada się z książek pisanych przez głowy uczone? A skąd że wie to samo dzika matka? Skąd wiedziała o tem nasza lisia mateczka?



Ona odwróciła nieco uszy, ale nie odezwała się, jakby go zupełnie nie zauważyła...

Zajrzyjmy do jej ciemnej nory, gdzie rozwinęła ona teraz całą swą wiedzę, nie nabytą nauką ani doświadczeniem.

Pięcioro malutkich lisiąt, niekształtnych, obrzydliwych według człowieka istotek, wypełniało dużą komorę a zarazem serce Śnieżnokryzki. Mała matka stała nad tem dziwem w zachwyceciu, zakrywało jej to cały świat i zaspokajało wszelkie pożądanja. Te drobne maleństwa opanowały całą jej istotę i miłość, i zmieniły zupełnie tryb życia.

Upłynęło wiele godzin, zanim zdecydowała się pozostawić je same i to tylko w tym celu, aby pobiec do strumyka, ugasić pragnienie i ochłodzić się. Domino leżał niedaleko na brzegu i czekał. Ona odwróciła nieco uszy, ale nie odezwała się, jakby zupełnie go nie zauważyła. On przyczał się, położywszy głowę w trawie, a ona oddaliła się do nory.

Pierwszego dnia Śnieżnokryzka nie chciała nic jeść. Następnego dnia poczuła głód, ale bynajmniej nie miała ochoty polować. Ale właściwie poco polować? Przecież nie bez celu leżała obok w spiżarni dzika kaczka. Czyż instynkt matki nie był dość przezorny? W ten sposób zaspokoila pierwszy głód.

Następnego dnia, gdy znowu zaczął jej dokuczać brak pożywienia, poszła ku wyjściu i znalazła nieopodal kilka świeżo zabitych myszy. Czyż były one przeznaczone dla małych? Kto wie? W każdym razie to było pewne, że będą stanowiły pożywienie maleństw, gdyż matka po-

żarła je z apetytem. Od tego czasu każdego dnia znajdowała pożywienie przed wejściem do nory albo na pagórku trawiastym lub ukryte wśród liści opodal.

Po dziewięciu dniach lisiątka przestały być ślepymi. Otworzyły oczy i poruszały się żywiej. Mniej teraz piszczały i matka mogła oddalać się spokojniej a i Domino mógł się do nich zbliżyć bez obawy odpędzenia. W kilka dni potem został on nawet przyjęty do rodziny jako ojciec.

Zaczął się teraz dla Srebrnego lisa czas nowych doświadczeń i nieznanych mu dotąd radości i trosk. Czuł że kochał swe małe i serce biło mu radośnie przy każdym zbliżeniu.

Są różne stopnie ojcowskiej miłości u lisów, począwszy od obojętności aż do nadzwyczajnej troskliwości, równej matczynej. Domino, należący do szlachetnej rasy, i w swych ojcowskich obowiązkach i uczuciach odpowiadał godnie temu swemu pochodzeniu. Może być, że nigdy przedtem dzieci lisie nie bywały tak pilnowane i nie stanowiły przedmiotu takich zabiegów jak te pięciorko, które urodziły się tej wiosny w dolinie osikowej—potomstwo Śnieżnokryzki i Srebrnego lisa.

Gdy już lisiątka miały miesiąc, wyszły poraz pierwszy z nory, by wygrzać się na słońcu. Poruszały się miękko i cicho. Pięc małych ciałek podobnych do prosiąt, pokrytych wełnistym futerkiem.

Nie było w nich nic pięknego, ale coś pociągającego i wdzięcznego, co cechuje takie ma-

te, bezradne istotki i gdyby kto mógł zobaczyć tę całą gromadkę, miałyby widok wymarzony.

Nic dziwnego, że wzbudzały one w rodzicach swych nieprzepartą chęć położenia się przy nich, popieszczenia się i przytulenia do ich miękkich ciałek, tak jak to robią rodzice człowieczy.

Zaczęły się teraz powtarzać sceny z dziecięcych czasów Domina. Te same figle, te same skoki i zabawy.

Z każdym dniem lisiątka stawały się większe i smuklejsze, podobne coraz bardziej do lisów, a czułość rodziców dosięgła szczytu.

Były to dni radości i uciechy. Były to małe radości spokojnych niebios i lekkich wietrzyków, wielkie radości życia i mocy, gwałtowne radości myśliwego, gdy zwierzyna jest obfita i dościga jej w tryumfie, wreszcie radości tego, kogo się kocha.

To były radości Domina i jego żony.

Radość jednak rzadko bywa niczem niezamąconą, zdaje się, że jest to koniecznym prawem, że podczas radosnej uczt przesuwa się od czasu do czasu cień śmierci lub nieszczęścia, i szczęśliwy ten, obok którego tylko się przesunął.



Dawniejszy wróg.

Pewnego dnia Domino powrócił do domu z obfitą zdobyczą.

Pięć malutkich czarnych nosków, dziesięć paciorkowatych ocząt tkwiących w wełnistych główkach wyglądało z otworu nory i śledziło ruchy ojca, a raczej zwierzątka, które niósł w pysku.

Nagle dało się słyszeć przenikliwe szczekanie jakiegoś psa, i Domino zatrwożony, przystanął, nadsluchując. Nie mylił się, był to głos dawnego jego wroga, znany mu dobrze prześladowca.

Bez wątpienia nieprzyjaciel podejdzie do ich mieszkania. Domino, nie czekając więc, dusząc bojaźń w piersi, poskoczył naprzeciw psu, podczas gdy matka pilnowała dzieci.

Rozpoczęła się walka i gonitwa podobna do wielu innych, ale bardziej zajadła i cięższa, gdyż Hekla była teraz w pełni sił i stała się jeszcze bardziej zaciekle i szybką. Z początku pies trzymał się śladów Śnieżnokryzki, ale Domino umyślnie pokazał się mu sam i zwabił wroga do siebie.

Obydwaj celowali w biegu i straszna gonitwa trwała przeszło godzinę. Domino miał już dosyć i chciał jakimś figlem odwieść psa, tak jak to czynił dawniej, ale teraz nie było to tak łatwo.



Hekla nauczyła się rozmaitych zwrotów i była świetnym tropicielem. Pierwszy i drugi podstęp Srebrnego lisa nie udał się. Wtem przypomniał on sobie wążką perć (ścieżynę), ciągnącą się wzdłuż skały podwodnej, w miejscu gdzie ta opuszczała pagórki, i tam zaciągnął swego niezwalzonego prześladowcę.

Był to traf, czy plan — któż może wiedzieć? Gonitwa odbywała się więc teraz w pobliżu skały podwodnej. Srebrny lis w swem gęstem futrze skoczył do wody i zdawało się, że przestał się spieszyć. Hekla poszła za nim i robiąc wielkie wysiłki, dysząc i sapiąc przebrnęła wodę.

Dosięgli teraz szerokiej ścieżki. Domino zwołnił nagle biegu... pies widział teraz swą ofiarę z blizkiej odległości. Cztery skoki dzieliło ich od siebie, ale tu ścieżka zaczęła się zwążyć. Pies był tak blisko, że teraz mógł dokładnie widzieć tego,

kogo tak pragnął. Drugi krok, a powolny lis znajdzie się w jego mocy; ale tu właśnie zaczynała się skała podwodna, ostra krawędź szerokości piędzi i Hekla wielka, barczysta pędziła na nią na oślep, runęła na ostrą krawędź, odbiła się i wyjąc z bólu, cała rozbita i zakrwawiona wpadła do lodowatego strumienia, podczas gdy czarny lis pewnie stojąc na nogach, zdawał się czekać chwili pogrążenia się psa w wodzie.



Strumyk w tej skalistej gardzieli jest najdzikszy i najbystrzejszy nawet w lecie. Na wiosnę zaś, gdy wody z gór napływają, rwie i huczy jak otwarta śluza. To też pies, pomimo całej swej siły i wielkości był podrzucany jak piłka; przerażenie i rozpacz ogarnęły go, walczył jednak z trwogą o życie całemi siłami.

Dwa kilometry w dół przebył w ten sposób; przez dwa pełne kilometry niosła go bystra woda i obijała o sterczące skały, porywała go w wiry, aż wreszcie wyrzuciła na płaskim brzegu, pokaleczonego i zniekształconego.

Nie wrócił on tej nocy do domu.

Nie gonił tej wiosny za śladami lisa.

Pięć czarnych nosków, dziesięć paciorkowatych ocząt, pięć niewinnych wełnistych główek wyglądało z nory, pięć wesołych miękkich ciątek tulano się po łące, nieustraszone, gdyż ojciec ich był wszechwładnym, a komora ich w dolinie osikowej była miejscem szczęśliwego, spokojnego wypoczynku.

Daniel.

Lato dosięgło swego szczytu, a różany księżyc największego swego blasku. Lisiątka rosły zdumiewająco szybko i pięknie. Dwa z nich miały futerka ołowiano-czarne, co doskonale odpowiadało ich szlachetnemu pochodzeniu i obiecywało przyszłą moc. Śnieżnokryzka i Domino usiłowali teraz przynosić do domu żywe zdobycze, aby małe ich mogły nauczyć się polować.

Każdy dzień przynosił nowe jakieś wrażenie, jakieś nowe zdarzenie i wystawiał na próby ich czujność i zwinność. Każde polowanie nauczyło ich czegoś nowego i było probierzem ich siły i prawie każdego dnia narażało ich na hazardowne czyny, przy których można było stracić życie, ale które czyniły Domina codzien ważniejszym, mądrzejszym i pomysłowszym.

Pagórki Goldur były dobrem miejscem polowania na leśne kurki i Domino często tam się waleśał. Pewnego dnia, gdy przedzierał się przez gęste paprocie, poczuł jakiś nieznaną zapach dochodzący od długiego szerokiego zwierzęcia leżącego w trawie. Było ono jasno-czerwonawo-brunatne i pokryte białymi plamkami.

„W pustyni nie każde spotkanie jest przyjacielskie.”

Domino instynktownie stanął w słup, wlepiwszy oczy w obce stworzenie, gotów do skoku w bok, jeśli zaszłaby tego potrzeba. Białe kropkowane zwierzę leżało cichutko jak martwe, z głową wyciągniętą na ziemi, uszami leżąciami, i patrzyło przerażone na lisa wielkimi, okrągłymi, błyszcząciami oczami.

Daniele są rzadkością w tych stronach, dlatego też Domino nie miał o nich pojęcia i nie wiedział czem się tu kierować. Narazie zaś tyle tylko wiedział, że przytulone do ziemi zwierzę więcej go się bało niż on jego, zaniechał więc strachu, a opanowany całą ciekawością, zrobił krok ku danielowi. Ten nie poruszył się nawet ani oddychał. Lis postąpił drugi krok, ale da-



Domino opanowany ciekawością zrobił krok ku przytulone-
mu do ziemi danielowi.

niel wciąż leżał, jeszcze jeden krok i przeskoczywszy lekko kępkę trawy, Domino stanął w pełnem świetle.

W okamgnieniu to niby martwe stworzenie zerwało się i skoczywszy niezgrabnie na swych długich nogach w paproć, wydawało żałosny, lękliwy dźwięk: mek—mek, mek—k—k—k.

Domino poskoczył za niem, wiedziony ciekawością i rozbawiony tym nieznanym mu głosem.

Wtem dał się słyszeć odgłos kopyt i po chwili ukazała się matka daniela. Sierść jej najeżyła się na grzbiecie, zielone oczy jej błyszczały złośliwie i Domino przekonał się, że to jest zwykła forma, w jakiej codzien zbliża się niebezpieczeństwo. Skoczył więc w bok, ale sarna biegła za nim, wydając krótkie, dzikie parsknięcia i uderzając ostremi kopytkami o ziemię. Była dziesięć razy większa od lisa, a biegła szybko jak wiatr. Dopędziła go wkrótce i złowrogo wierzgnęła przednimi nogami. Srebrny lis skoczył w bok, sarna jednak podskoczyła ku niemu, ale lis ponownym zręcznym skokiem uratował się od uderzenia; sarna nie dała za wygrane, i zamiast cieszyć się, że dziecko jej jest nienaruszone i zdrowe, była zdecydowana, bezbronna prawie, zabić lisa, którego posądzała, że usiłował tknąć jej jelonka.

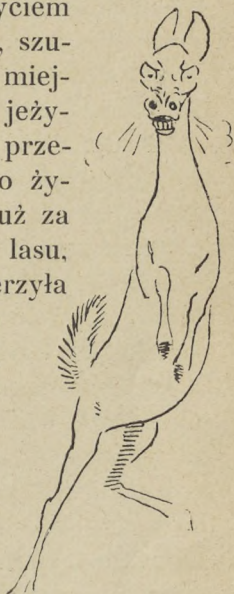
Pędziła więc lisa po przez jeżyny i gęste paprocie, zachodząc mu wciąż drogę w postawie grożącej i ze złośliwym parskaniem, rosnąc coraz więcej w pasji niż w siłach. Jeżyny przeszkadzały lisowi dosięgnąć jej wysokiej postaci, zre-

szłą nie usiłował tego i zdawał się cieszyć, że jest goniony.

Przez półgodziny trwała ta gonitwa bez jakiegokolwiek zmiany, jasnym jednak było, że podczas gdy Domino brał górę w stu atakach, wystarczyło jedno hybienie w skoku, a spotkałby go ciężki koniec. Jedno uderzenie kopyta wystarczyłoby do pożegnania się z życiem na zawsze. Bacząc na jej ruchy, szukał jednocześnie bezpieczniejszego miejsca. Dotarłszy do końca zarośli jeżynowych, zrobił susa w otwartą przestrzeń pod lasem. Był to skok o życie, gdyż sarna znajdowała się tuż za nim i zaledwie dosięgnął gęstego lasu, ona z furją rozjuszonej matki uderzyła przednimi kopytami. Ucierpiał na tem jednak tylko pień drzewa, z poza którego patrzył na nią szycerco lis.

Dało mu to jednak nowe doświadczenie, nową lekcję, którą miał zapamiętać:

— „Obcy jest zawsze wrogiem.”



Czarodziejka.

Ludzie zakładają rozmaite zatrzaski na zwierzęta, ale nie wszyscy robią to umiejętnie — do takich należeli chłopcy Benton. Stawiali oni łapki przez cały rok, ale mieli o nich bardzo małe pojęcie, tak że najczęściej popełniali jakiś błąd,

a zwłaszcza w przywiązywaniu przynęty, tak że lisy nawet z najmniejszym poczuciem węchu nie omieszkały ich odkryć i otaczały je lekceważeniem i wzgardą.

Wokoło zatrzasku Bentona były trzy niezawodne znaki ostrzegawcze dla lisów: zapach żelaza, zapach rąk ludzkich i zapach śladów nóg. Wprawdzie ślady ich były rozrzucone, ale przez ciągłe chodzenie wciąż się odnawiały, a zapach żelaza stawał się silniejszy przy każdym najdrobniejszym deszczu.

Domino odnalazł szybko wszystkie ukryte zatrzaski w jego okręgu i umiał podejść do nich każdej chwili w dzień i w nocy z daleko większą precyzją niż sami chłopcy Benton. Często podchodził z bliska by się im dobrze przypatrzyć i nawet czasem podsunął jakiś kamyk lub gałązkę na znak swych odwiedzin.

W tym czasie przyjechał do farmera Benton jakiś stary leśnik z północy i dał chłopcom różne wskazówki oraz przywiózł jakiś płyn złożony z rozmaitych roślinnych olejków i tłuszczu bobrowego, co miało być wkładane do zatrzasku zapewne z odpowiednimi ceremonjami i tajemniczymi słowami. Kropelka tego uroku miała zwabić całą gromadę lisów i zciągnąć ich do zdradzieckiej pułapki.

Poszli więc młodzi Benton uzbrojeni we flakonik do swych zatrzasków i pokropili wszystkie tym strasznym płynem. Napozór słaby ten zapach dla człowieka, miał być dla lisów czemś pociągającym. Ale i człowiek nie był na niego

obojętny: kropla np. pozostała na ubraniu chłopca pobudzała wszystkich do kichania, a ojciec jego musiał przy stole sięść na drugim końcu, bo aż mu się słabo robiło.

Dla Domina zaś wrażliwego nosa zapach ten, niesiony przez wiatr był czemś nadzwyczajnem. Wydawał mu się tajemniczym, ale nie wstrętnym, a nawet ciągnął go, jak zabłąkanego w nocy wędrowca ciągnie promyk światła, lub marzyciela wabi rzewna muzyka i pogrąża w jeszcze większą zadumę.

Gdy nadszedł wieczór, Domino wybrał się na swe zwykłe polowanie, skierował się w stronę nęcącej woni i popędził ku niej bez namysłu.

Na odległości przeszło kilometra znajdowało się miejsce oddawna mu znane: para kroków ludzkich i rąk, zapach żelaza, a od czasu do czasu lekka woń złapanego w zatrask jakiego głupiego ptaka. Miejsce to było dla niego zawsze przedmiotem wzgardy. Dzisiaj zmieniło się wszystko. Tak jak obłok dymu oświetlony zachodzącem słońcem przybiera kształt niebotycznych gór pokrytych złotem i purpurą, tak i ten czar stawał się potężny, gdy przez nozdrza doszedł do mózgu i uśpił zmysł sternika, kierującego dotychczas jego kołem życia.

Srebrny lis, bujając swym hebanowym nosem, szedł bez przerwy pod wiatr. Zapach działał tak jak eter, uspakajając jego nerwy i pobudzając obieg krwi. Oh! jakież rozkoszne dreszcze przechodziły go! Miał on wrażenie padających kropli deszczu lub powiewu wiatru wiosennego,

to znowu jakiegoś niezaspokojonego głodu i wielu, wielu innych uciech. Słowem opanowała go jakaś błogość, zamykająca przed nim rzeczywistość i odsuwała wszelkie panowanie nad sobą.

Domino z drżącymi nozdrzami, bijącym sercem, chrapliwym oddechem, z napół przymkniętymi oczami—szedł upojony czarownym zapachem. Był tuż przy ukrytym zatrzasku. Znał go dobrze i unikał, ale teraz odurzony, zaczął wykonywać jakieś dziwne ruchy, świadczące o zaniknięciu u niego wszelkiej samokontroli. Teraz pragnął on być jaknajbliżej, pożył dotknięcia się zdradzieckiego przedmiotu, ślizgał się więc ku niemu i tarzał swój piękny grzbiet na brudnej ziemi, i okrywał się cały brudnym pyłem. Lecz wśród tego sennego szału nagle coś trzasło. Niemiłosierne żelazne szczęki chwyciły go za kark i zatopiły się w gęstym srebrnym futrze. Domino obudził się. Zachwył i czar znikł w okamgnieniu i ustąpił miejsca zwykłemu zwierzęcemu instynktowi. Zerwał się na równe nogi, wyciągnął giętki kark, żelazne szczęki otworzyły się i Srebrny lis uwolnił się.

Gdyby to był zatrzask na łapy, wyrok jego byłby już zatwierdzony. Ale teraz skoczył swobodny i odzyskawszy zupełną przytomność, pożył przeciw wiatru na swe zwykłe polowanie. Gdyby to był lis słabej woli, z pewnością powróciłby do tego czarodziejskiego miejsca, ale Domino dobrze wrył sobie w pamięć grozę ukrytą w czarownej przynęcie.

Od tej pory magiczna woń łączyła się u niego z pojęciem śmiertelnych uścisków stalowych szczęk.

Miododajny bodiak.

Czarujące krople nie odniosły pożądanego skutku, a wreszcie chłopcy zaczęli zaniedbywać się w pilnowaniu zatrzasków i stary leśnik zniecierpliwiony sam zabrał się do roboty.

Przedewszystkiem zaprzestano zakładać łapki w bliskości podwórza fermy, gdyż to groziło ruiną, codzień bowiem łapały się to kury, to gołębie, koty a nawet psy. Przeniesiono więc je do lasu, a jednocześnie stary leśnik porobił w nich pewne zmiany, mianowicie okopcił żelazo zapalonym drewnem cedrowym przez co zabity został zapach żelaza i pokryta woń czarująca, następnie wyjął zatrzask z miejsca, gdzie był umocowany i zagrzebał go w piasku, a niedaleko stamtąd położył kilka kawałków zabitej kury.

— „Krew kurza jest najlepszym wabikiem dla lisów” — rzekł stary i zatarłszy swe ślady okopconem drewnem, odszedł, pewny zwycięstwa.

W kilka dni potem przechodził tamtędy nocą Domino. Już na kilkaset kroków poczuł woń krwi kurzej i zaczął zbliżać się do tego miejsca, narazie z wielką ostrożnością, czołgając się powolnie po ziemi. Z rozchyłonymi nozdrzami i czujnymi zmysłami szedł pod wiatr. Zapach kury stawał się coraz bardziej wyraźnym. Nie był z nim zmieszany ani zapach żelaza, ani śladów ludzkich, ale tylko ostry zapach dymu czy kopciewu dolatywał chwilami, a dym mógł pochodzić tylko od człowieka. Domino zastanowił się,

ale po chwili wiatr się zmienił i zapach dymu znikł, pozostał zaś tylko nęcący zapach ciała kurczęcia i napełniał go nieodpartem pożądaniem. Postąpił trzy kroki naprzód.

Drżyj, teraz, stróżu dzikich zwierząt, drżyj o los jego!

Domino wyciągnął nos i węszył przenikliwie. Nie, napewno nie było tu woni ludzkiej, to było czekające na niego pożywienie, którego tak bardzo potrzebował, pożywienie, które niejednokrotnie przynosił szczęśliwy do domu. Ale znowu doleciał go ostrzegawczy zapach dymu i odszedł instynktownie na bok. Ale po chwili zawrócił i stawiając wolniutko swe kształtne nogi na zdradzieckiej, napozór nietkniętej ziemi, szedł do upragnionego celu. Wtem... trzask... i Srebrny lis był więźniem, ale nie za futro na karku jak poprzednim razem, lecz za łapę. Teraz naprawdę był złapany.

Napróżno ciągnął łapę i prostował się, napróżno usiłował zębami rozerwać nienawistne żelazo. Mocne szczęki trzymały go, wrzynały się w ciało i wszelkie jego wysiłki osiągały wręcz przeciwny skutek, wpijając żelazo coraz głębiej. Godzina za godziną upływały na beznadziejnych, osłabiających próbach. Cały dzień następny przeleżał uwięziony, drżąc na całym ciele, prawie bezwładny, a gdy poczuł odrobinę sił, rzucał się wściekły na zimne nieugięte żelazo, tał zębami drzewce, do którego było przymocowane. I tak przeżył dzień, robiąc wciąż nowe wysiłki, oczekując nadejścia jakiegś żywej istoty, obawiając

się zarazem tej żywej istoty, spodziewając się śmierci, i bojąc się jej i znowu chcąc jej...

I znowu nadeszła noc.

O obrońco dzikiej zwierzyny, przybądź, pomóż! Po co te męki i nieskończone konanie?

Wszak prawem przyrodzonym dla zwierząt powinna być nagła śmierć.

I noc przeszła — długa, męcząca noc...

Wczesnym rankiem dały się słyszeć jakieś kroki i nowy strach i nadzieja ogarnęły Domina. Może to był człowiek, a może żona jego Śnieżnokryzka. Kto wie — może to ona go szukała i wiedziona węchem tu go znajdzie... i biedny lis, czekał z bijącym sercem.

Kroki były coraz bliższe, podniósł głowę i ujrzał przed sobą nie człowieka, nie Śnieżnokryzkę, ale nową grozę, nowe niebezpieczeństwo, strasznego swego wroga, matkę danielicę, ze swym małym jelonkiem.

Lis leżał cichutko jak martwy, spodziewając się ujść jej oczom. Ale oczy jej jak i nos były bardzo czułe. Już go ujrzała, przystanąła, grzywa jej się najeżyła, nozdrza wzdęły, a oczy błyszczały złowrogo jak dwie zielone gwiazdy. Parsknęła i sapiąc zbliżyła się do żelaza. Poznała Domina, był on cały w jej mocy, a jej jedyną myślą, zgnieść go. Mając pewne zwycięstwo na widoku, skoczyła we właściwy sposób, wysoko w powietrze, a potem z całą siłą rzuciła swe przednie nogi ku dołowi. Lis usunął się nieco w bok, a rozwścieczona sarna kierując w niego, chybiła i trafiła kopytami w za-

trzask. Stalowe szczęki puściły nagle i Domino był wolny!

Zebrawszy wszystkie swe siły leciał naprzód, kierował do płota, ale ten był teraz dla niego za wysoki i nie mógł go przeskoczyć. Słaby i chory skrył się i przesiedział cichutko, podczas gdy sarna latała wściekła wokoło, a za nią biegła becząc mały daniel. Gdy wszystko ucichło, Domino powędrował powoli, utykając, ku swej norze.

Straszna ta przygoda powiększyła ogromnie zasób wiedzy i doświadczenia Srebrnego lisa. Od dnia tego, aż do końca życia, nie tylko unikał zapachu żelaza i ludzi, ale przekonawszy się, że każdy obcy jest wrogiem, unikał każdej nowej woni, jako nowej zapowiedzi śmiertelnych męczarni.

Latem i ludzkie stworzenie.

Latem Domino walczył się często koło domu pewnego kolonisty, leżącego na najwyższym pagórku. Był to stary domek, otoczony sadem i ogrodem, ogrodzonym drewnianym płotem. Można było z łatwością zbliżyć się do niego niepostrzeżenie i Domino, rozglądając się uważnie i węsząc wszędzie, dotarł do płotu i przelazł do ogrodu przez dziurę wygrzebaną przez kury.

Przeszedłszy przez zagony ziemniaków, przedarł się przez gęste zarośla porzeczek i malin i przystanął zaciekawiony: tam w podwórzu ujrzał jakieś stworzenie czarne, błyszczące, siedzące jakby nieruchomie. Lis utkwiał oczy w nowe zja-

wisko i powoli zaczął sunąć się ku niemu. Po najeżonym pęczku czarnych włosów znajdujących się u podstawy ogona, można było poznać wzruszenie jakie opanowało Srebrnego lisa na widok cennej zwierzyny. Drżąc przystawał co chwila, ale gdy tak niepewny siebie wpatrywał się w cel swych pożądań, usłyszał obok jakiś głos i odwróciwszy głowę, ujrzał znajomą mu dziewczynkę z koszykiem.

— O, jesteś lisku — rzekła przyjaźnie — a ja myślałam, że spotkało cię jakie nieszczęście.

Domino nie rozumiał słów jej, ale poczuł że mu nie grozi od tego ludzkiego stworzenia żadne niebezpieczeństwo. Odwrócił się do dziewczynki i stał spokojnie z głową pochyloną ku niej.

Ona postąpiła ku niemu, wzywając go słodko i łagodnie ku sobie.

Lis postąpił parę kroków naprzód.

Dziewczynka pogłaskała go, ale bliskość domu przestraszała go i chciał zawrócić, wtedy ona rzuciła mu coś z koszyka.

Domino powąchał, uznał, że jest to coś dobrego, porwał w zęby i zawrócił z powrotem.

Wieczorem dziewczynka zapytała ojca:

— Tatusiu, gdybyś miał indyczkę siedzącą na jajach, jakbyś odpędził od gniazda lisa, nie zrobiwszy mu krzywdy?

— Położyłbym wokoło gniazda kawałki żelaza i żaden lis nie będzie śmiał zbliżyć się.

Dziewczynka znalazła kilka ogni w łańcucha, połamane kawałki pługa i podkowę końską i położyła wokoło gniazda indyczki te rzeczy, bę-

dące jakoby symbolem przyjaźni, pracowitości i szczęścia.

W kilka dni potem Domino powrócił po upatrzonego ptaka. Nie miał on intencji zrobienia jakiejś przykrości ludzkiemu stworzeniu, nie, przyszedł we własnym interesie, wiedziony potrzebami żołądka. Ale zanim indyczka wszczęła alarm, nos i oczy Domina krzyczały naprzód ostrzegawczo przed żelazną wonią. Zbliżył się jednak z drugiej strony, a że i tu spotkało go to samo, nie badał więcej i zawrócił.

Tak, poszedł, ale następnego dnia ojciec dziewczynki rzekł:

— Córeczko, widziałem świeże ślady lisie tego rana wśród zagonów ziemniaków.

Domino powstrzymany w schwyтaniu indyczki, znalazł sobie inny skarb, kurę siedzącą na jajach. Zamiana ta podobała mu się, i szybko uniósł kurę do lasu, zagrzebał ją w liście, a sam powrócił do gniazda po jaja. Wyniósł je wszystkie do lasu, jedno po drugim i pochował w różnych miejscach, naznaczywszy je poprzednio specjalną cieczą, wydzielaną z pewnego gruczołu, tak żeby inne lisy poznały, iż jestto własność prywatna. Potem odszukał zagrzebaną kurę i zaniósł ją do domu, jaja zaś pozostawił w ukryciu. Przeszły one szereg zmian, zanim je lis spotrzebował, ale na głód stanowiły dla niego zawsze pożyteczną zdobycz.

Nie były to jedyne zapasy, które Domino zrobił, bo chociaż lisy przeważnie ich nie robią, może dlatego że są zawsze w potrzebie

i nigdy nie mają obfitości pożywienia, jednak ten wyższego umysłu lis był przezorny i myślał o przyszłości.

Tak np. pewnego dnia w jesieni oczy jego spoczęły na pięknych gronach głogu, które nadzwyczajnie obrodziły w tym roku. Zerwał parę i zjadł, ale nie był bardzo niemi zachwycony, może dlatego, że był dnia tego dość syty, jednakże zrywał je z przyjemnością i rzucał na ziemię. Z początku układał je w kupkę, ale potem instynkt gromadzenia przemówił w nim i Domino zagrzebał całą tę kupkę w liście i naznaczył swem piżmem poblizkie drzewko. W czasie głodu ta kupka jagód mogła stanowić dla niego nadzwyczajną potrawę, odszukaną w zaspie śnieżnej.

Domina rodzina.

Kulejąc na jedną nogę Domino nie mógł tego lata odbywać wielkich polowań, połączonych z szybkim biegiem; na szczęście, wielki jego wróg Hekla był również kaleką. Mógł on zapracować tylko na swe życie, ale matka natura, była hojna, miał więc pomimo to dobre zdobycze i każdy dzień przynosił mu jakąś żywą ofiarę. Czasem była to tylko żaba, która dawała młodym liskom chwile pysznej zabawy, zanim została przez którego na dobre złapana, to znowu mała myszka polna, chowająca się między liście, tak że lisiątka dobrze sobie noski powalały piaskiem i wytarły o trawę, zanim ją schwytały.

Raz jednak przyniósł jakiś nowy przedmiot nauki, który wywarł wielki efekt na małych lis-kach. Oto włócząc się nad brzegiem rzeki we mgłę porannej, Domino ujrzał jakieś zwierzątko. Najpierw w płytkiej wodzie, a potem w nadbrzeżnem błocie, gdzie siedząc roztwierało zręcznie muszle i wyjadało z niej małże. Ostre jego, żółte zęby ślizgały się po muszli z wielkim zapałem i hałasem. Był to piźmoszczur. Zajęty tak swą robotą, nie słyszał nawet zbliżającego się cicho lisa, dopóki ten nie schwycił go za kark. Napróżno usiłował wydostać się z mocnych szczęk lisa, napróżno piszczał, kopał łapkami i wyszczerzał swe dłutowate ząbki. Lis trzymał go mocno i pomimo wszystko zaniósł go żywego do nory.

Zwykłem swem „chur—chur—chur” zawezwał swą rodzinę i gdy wszystkie lisiątka wytoczyły się na ziemię, puścił swą zdobycz. Liski skoczyły na piźmoszczura jeden po drugim, ale nie schwyciły go, bo ten stanął odważnie do boju. Rzucił się i zaczął zębami lisięta, a te skakały wokoło niego, jak psy wokoło niedźwiedzia. To jedno, to drugie posuwało się naprzód, szciekając, aż wreszcie wysunął się jeden lisek i pomimo, że piźmoszczur dotknął go zębami nie uciekł lecz wziął się do walki. Nie był on większy od piźmoszczura, ani też większy od swych braci, ale poczuł w sobie jakiś dziwny przypływ siły. Dwaj mali przeciwnicy zetknęli się, a inne lisiątka stanęły wokoło. Zaczął się pojedynek. Lisek instynktownie szukał u przeciwnika t. zw.



Napróżno usiłował wydostać się z mocnych szczęk lisa...

miejsca życia i chytrze czekał sposobności, aż wreszcie schwycił go za gardło. Po chwili piżmoszczur leżał martwy i zwycięzca zabrał się z rodzeństwem do uczty.



Matka i ojciec przyglądali się tej scenie. Dlaczego nie probowali wmieszać się w tę walkę? Dlaczego ojciec nie zabił piżmoszczura przed przyniesieniem go do domu? Zanim odpowiemy na te pytania, zastanówmy się, dlaczego wśród ludzi ojciec zadaje swemu synowi pracę wymagającą wysiłku?

Lisek ten nie był większy od innych, był tylko ciemniejszy. Rosnąc stawał się on podobny do ojca i zapewne w przyszłości stał się bohaterem w dziejach doliny Shawban.

Księżyc „grzmotny” przeszedł bez wielkich wrażeń, a lisiątka rosły pomyślnie. Niektóre z nich były podobne do matki, drugie bardziej do ojca. Jednocześnie węzły rodzinne zaczęły się rozluźniać. Najpierw wielki brat, potem siostry probowały same oddzielnego życia, czasem kilka dni nie byli w domu i stawali się coraz bardziej obojętni względem siebie i rodziców, a gdy nadszedł księżyc „czerwony” wszystkie liski rozproszyły się po świecie. Domino i Śnieżnokryzka pozostali znowu sami w norze. Cza-

sem razem, czasem każde oddzielnie spędzało dni, ale zawsze powracali do siebie i pomagali jedno drugiemu. Byli złączeni ze sobą na całe życie. Dzieci ich zapomniały o nich i oni o dzieciach; ale sami dzielili ze sobą wszelkie losy życia.

W jesieni zgoiła się łapa Domina i znowu był on chyżym lisem pagórków Goldur. Zawsze w pogotowiu do gonitwy, do ucieczki i polowania, czuł znowu w sobie siłę i moc. Nie było lisa w całej okolicy, któryby mógł dorównać mu w biegu, nie było psa, którego by się obawiał. Oddech jego był potężny, nogi szybkie i tegie, tak że mógł dosięgnąć wszystkiego co chciał i cieszyć się swą chyżością. Szybkość bowiem zachowuje rasę i tylko zręczny i chyży wędrowiec lubi niebezpieczne wędrowki. Nic więc dziwnego, że Domino ukochał polowania i lubił narażać się na niebezpieczeństwa.

W ten sposób nieodstępny, nieomylny stróż jego zamiarów prowadził go zawsze tam, gdzie mógł wypróbować siłę i szybkość, będące jakby przepowiednią tego zbliżającego się dnia okrutnego, w którym siła przeciw sile, szybkość przeciw szybkości, życie przeciw życiu, w którym śmiertelny wróg jego zakołysze się z nim na wadze życia.



CZĘŚĆ III.

Nowe próby i tryumf.



Każdej wiosny i jesieni przeciągały przez pagórki Goldur gromady trębaczy długoszyich, prujące z hałasem powietrze, — stada dzikich gęsi. Nie zatrzymywały się długo, ale wszędzie znaleźli się myśliwi podążający za gęsim ciągiem.

Domino wiedział instynktownie, że jest to dobra zwierzyna, ale nie mógł jej złapać. Pewnego dnia zdarzyło mu się szczęście: znalazł świeżo zabitego ptaka. Zapewne trafiony kulą uciekł i padł w drodze, a Domino i Śnieżnokryzka mieli pyszną ucztę.

Gęsi popasały zwykle na polu i na bagnach i nieraz Domino chciał się podkraść, ale czujność ich i zwinność były niezmierne i ile razy lis był już bliźutko, podnosiły się szybko na

skrzydłach i po chwili zeglowały na szerokiem jeziorze.

Teraz mógł Domino nauczyć się nowych sposobów polowania i obław na otwartej przestrzeni, a duchowy jego rozwój stawał na coraz wyższym stopniu, w miarę jak wynajdywał różnego rodzaju zasadzki i, gdy nadeszła jesień ze swemi zwyczajnymi ciągami gęsi, zaczął się dla lisów szereg niezwykłych prób i doświadczeń.

Małe stadko gęsi w wędrówce swej zatrzymało się na ściernisku obok rzeki Shawban, w okręgu Domina. Srebrny lis i Śnieżnokryzka byli razem tego dnia na polowaniu. Czołgali się wzdłuż rzeki, wśród zarośli i wokoło pola, ale wszystkie gęsi trzymały się otwartej, płaskiej przestrzeni i lisy nie mogły ich podejść, gdyż za każdym razem wlatywały gromadnie w górę.

Wreszcie Domino wpadł na pomysł, którego mógłby pozazdrościć niejeden myśliwy. Oto schował się w zaroślach znajdujących się na jednym końcu pola, a Śnieżnokryzka poszła na drugą stronę i wałęsając się tam na otwartem miejscu, wykonywała różne dziwaczne ruchy tulała się po ziemi, skakała, przewracała koziółki, kładła się na ziemi na płask, wymachując komicznie ogonem.

Gęsi przyglądały się temu dziwnemu stworzeniu z wyciągniętymi szyjami.

Cicho posuwała się po ziemi Śnieżnokryzka, przewracając się i tocząc. Gęsi nie obawiały się jej, wiedząc że lis jest daleko a ciekawość ich wzmagala się, i zamieniły się wszystkie w jeden


słup, tymczasem lisica podsunęła się trochę bliżej, a że gęsi nie poruszały się, toczyła się coraz to bliżej, bliżej, aż wreszcie stary gęsior, najbardziej podejrzliwy zauważył, że to może być jakieś chytre podejście, i nie mówiąc nic, nie podnosząc alarmu, odsunął się sam na kilka kroków od toczącego się stworzenia. Druga gęś, pewnie jego żona, poruszyła się za nim, a lisica cichuteńko posuwała się za nimi, tocząc się po ściernisku jak kłębek suchej trawy lub jakaś inna uruchomiona kupa zielska.

Tak, to było bardzo zabawne, ale stary długoszyjec nie miał ochoty podziwiać tego. Poruszał się wciąż naprzód, a przy każdym zbliżeniu się tajemniczej istoty, przyspieszał kroku. Gonitwa ta trwała kilkadziesiąt minut: gęsior przebrnął w ten sposób całe ściernisko i znalazłszy się na jego końcu zamierzał wlecieć w powietrze, gdy wtem wyskoczył z ukrycia Domino, i szybciej od jastrzębia chwycił długoszyjca za gardło, zanim ten zdążył spostrzec niebezpieczeństwo.

Było to wspaniałe ukoronowanie ich trudów myśliwskich, nagroda za dowcip i wytrwałość, radość i zaspokojenie pierwotnych instynktów.

Było to najlepsze polowanie, jakie Srebrny lis i Śnieżnokryzka urządzili razem. To wspólne działanie doprowadziło świetne dzieło do końca, to też coraz częściej działali w ten sposób i węzły ich życia zacieśniały się coraz silniej. Lisie związki są bardzo trwałe, ale ten był największy jaki mógł istnieć między nimi.

Ceremonja duchowa.



Księżyc „szalony” zaświtał nad lasami po księżycu „listopadowym.” Był to czas błędnych wędrówek zwierząt, tęsknot bezmiernych i przygnębienia bez przyczyny, czas szaleństw przemijających i błąkań bez celu.

Niektóre stworzenia nie ulegały wpływom tego „szalonego” księżyca (miesiąc listopad). Domino jednak popadł w ten dziwny nastrój i chodził niespokojny. Często przesiadywał na wierzchołku jakiego odkrytego pagórka, podnosił łeb do góry i wydawał tęskne tony:

Yap, yap, yap — yurr — yurr!

Śnieżnokryzka poczuła też podobne podszepty, ale oboje unikali siebie. Gdy raz w nocy w czasie ostatniej kwadry księżyca Domino zawył swą tęskną pieśń, usłyszał z daleka odpowiedź, odłączył się szybko od Śnieżnokryzki i pobiegł w kierunku najwyższego szczytu pagórków Goldur.

Była tutaj szeroka otwarta przestrzeń oświetlona księżycem. Domino przystanął chwilę w cieniu i czekał. W tem zwrócił baczną uwagę na jakąś postać lisią zjawiającą się po drugiej stronie pagórka. Jakiś lis czołgał się o jakie dwadzieścia kroków oddalony od niego — była to Śnieżnokryzka. I inne lisy przybliżyły się tu ostrożnie. Siadły wszystkie wokół, twarzami ku sobie zwrócone i patrzyły mileząco w księżyc.



Siadły wszystkie w koło, twarzami ku sobie zwrócone i patrzyły milcząco w księżyc...

Domino pierwszy zawył całym gardłem i podniósłszy ogon obszedł pagórek wokoło. Inne zrobiły to samo. Obchodzili kołem, a z piersi ich wydobywała się namiętna pieśń przechodząca z gwałtownego wrzenia w cichy, tkliwy jęk. Kilka razy przeszli tak jeden koło drugiego, ale Domino i Śnieżnokryzka spotykali się jak zupełnie obcy. Gdy księżyc zaszedł, ucichł śpiew, i każdy powędrował do swego domu.

Mała to była uroczystość, ale całkiem duchowa, bo żadne nie myślało wtedy ani o miłości, ani o pożywieniu lub słońcu, zmierz yli tylko siebie, mieli pewną rozkosz „przebywania razem.”

Są to sprawy, które zapewne znamy, a które tem są głębsze, im wyższa istota.

Morderca owiec.

Nadeszła i przeszła zima ze swemi ciężkimi trudami dla leśnych myśliwych. Domino ze swą żoną przebył ją szczęśliwie dzięki swej przeczności i przyzwyczajeniu robienia zapasów; wprawdzie owoce i ryby nie stanowiły wyszukanego pożywienia, ale uchroniły ich od głodowej śmierci.

Potem przeszedł również czas miłości, zbliżała się wiosna, i Domino chodził wciąż na dalekie poszukiwania, aż raz, wracając do domu stał się świadkiem strasznej zbrodni. Inny lis przeszedłby może koło tego bez zastanowienia, ale Domino był mądrym lisem. Przystanął więc na pagórku, podniósł łeb i zobaczył zagrodę,

okalającą wyrąb w lesie. Spojrzał ciekawie przez płot: stado owiec biegło tu jak szalone, a za nimi leciał wielki ciężki pies i schwycił jedną z nich. Na ziemi leżały dwie czy trzy owce martwe, a w czasie gdy Domino patrzył, zła bestja ciągnęła nową. Pies złapał owcę za gardło, powalił i rozdzierał póty, aż wytrysnęła ciepła krew. Potem brał drugą i trzecią. Nie zgroza, ale ciekawość i zdumienie przykuły Domina do miejsca.

Hekla, bo ona to była, zabierała się właśnie do nowego okrutnego ataku, gdy rozległ się wystrzał ze strzelby i kula uderzyła o płaską skałę, tuż nad głową mordercy.

Kto powiedziałyby, że pies niema sumienia?

Kto śmiałyby opowiadać, że dokonał on zbrodni?

Krwawy tchórz wiedział dobrze, co robić: uciekł czempredzej skrycie i schronił się, niewidziany przez nikogo, a pan jego nigdy nie usłyszał, że jest obciążony taką zbrodnią.

Domino uciekł także po przez pola, ale został dostrzeżony. Pasterz nadszedł i zobaczył dwanaście owiec nieżywych na ziemi, dostrzegł uciekającego lisa, ale nie dojrzał śladów psa, bo przeleknione stado roztratowało je kopytami.

Okolicznościowe świadectwo było oczywiste. Wiele owiec zginęło tej wiosny, pasterz więc przysięgając lisom śmiertelną zemstę, ułożył sobie plan działania.

Naprzód wyszukał sobie współników, którym też poginęło wiele owiec w marcu, a chociaż byli tacy, którzy utrzymywali, że widzieli szero-

kie psie ślady na miejscu mordu, jednakże wielu posądzało o zbrodnię tę tylko lisy, a przede wszystkim twierdzili, że nie zrobił tego żaden inny, tylko Srebrny lis. Tem ohotniej przyłączyli się do wspólnego uplanowanego polowania.

Obrońca Śnieżnokryzki.



Ludność porzecza Shawban była cała w ruchu. Organizowano wielkie polowanie na lisy. Wybierali się na nie ludzie, którzy potracili w tym roku owce i posądzało o te straty lisy; szli nań chłopcy dla sportu; i szli wszyscy, gdyż chcieli zdobyć Srebrnego lisa. Każdy był pewien swego szczęścia i zwycięstwa i każdy chwalił się i cieszył naprzód posiadaniem skóry upragnionego zwierza.

— Przyszedł na niego koniec. Niezawodnie futro będzie moje i t. d. — szły opowiadania i nadzieje.

Kolonista Juckes nie brał udziału w tych planach. Nie stracił on owiec w ostatnich czasach a i nie łączyła go żadna przyjaźń z farmerem Benton, który właśnie polowanie to urządzał.

Abner Juckes był zaproszony na inne polowanie, więc i Hekla nie należała do tej sfory psów.

Były tam jednak inne psy lisie należące również do strasznych ganiaczy. Każdy człowiek

dostał strzelbę pewnego gatunku i wskazówki jak urządzić, ażeby zabić lisa z jaknajmniejszą stratą naboii. Stawiło się dwudziestu chłopców. Cała ta kompanja z czterema wielkimi psami wybrała się pewnego dnia marcowego nad rzeką Shawban, gdzie przedewszystkiem ułożono plan działania.

Tymczasem szczęśliwa para lisia nic nie wiedziała o ludzkich zamiarach i zajęta była swemi sprawami.

Lisy wogóle robią sobie co rok nową norę, ale czasem wracają do starej, o ile dobrze się im tam działo i nie groziło żadne niebezpieczeństwo, a nawet łączyły się z nią miłe wspomnienia. Dzięki nadzwyczajnej czujności Domina i Śnieżnokryżki nora ich w dolince osikowej nie została dotychczas odkryta przez żadnego wroga i dlatego powrócili oni do niej teraz spokojnie i zaczęli szykować ją dla spodziewanego nowego potomstwa. Byli jednak zawsze bardzo przezorni i nie przebywali tu nigdy na widoku, polując zawsze na otwartej przestrzeni.

Właśnie Śnieżnokryżka wałęsała się wzdłuż koryta rzeki, gdy psy znalazły jej ślady i z głośnym szczekaniem leciały za niemi. Chłopcy nie gonili ich, tylko rozstawili się na różnych punktach, a plan ich polegał na tem, żeby okrążyć lisa i zamknąć mu drogę tak, że będzie musiał przelecieć przez plac polowania, a wtedy do przelatującego strzelić. Lisy bowiem mają zwyczaj biec dokoła swego okręgu.

Głośne szczekanie psów dało sygnał do rozpoczęcia polowania i chłopcy stanęli na najwyższych miejscach, skąd mogli widzieć wszystko i uważali że tam jest najlepszy punkt do strzelania.

Śnieżnokryzka wzięła najbliższe koło, wśród zarośli okalających strumyk Bentona. Nie podejrzewając nic złego, przecinała koło w różnych kierunkach, co wstrzymywało psy, tembardziej, że leciała tak szybko, iż ślady jej zdążyły nieco ostygnąć, zanim psy je poczuły.

Dzień był wilgotny a ciepły, wiatr topił śnieg, który grubą warstwą zaścielał ziemię. Strumyk zamienił się w rwący potok, śnieg w błoto i lisica rzucała się w różne strony w szybkich skokach. Psy wiedzione węchem, leciały za nią, a długie ich nogi dawały im przewagę.

Śnieżnokryzka nie ustawała w biegu, ale szybkość jej malała, a skoki jej stawały się coraz drobniejsze. Dotąd wymykała się strzelcom, ale teraz coraz bardziej stawało się widoczne, że tak długo nie wytrzyma. Śnieg topniał coraz bardziej, przygrzewany słońcem i ogon lisicy zaczął opadać na dół.

Ogon jest wiernym wyrazicielem stanu sił lisa. Silny, mocny lis trzyma zawsze w czasie gonitwy ogon do góry, gdy zaś zaczyna tracić siły i odwagę, koniec ogona opada nieco, a w dniu śnieżno-wilgotnym zwiesza się nisko. W końcu ciągnie go po błocie, staje się brzemieniem przyspieszającym koniec. Mocna dusza przetrzyma to, słaba pada na drodze.

Snieżnokryzce nigdy nie brakło odwagi, ale teraz śnieg był taki gruby i miękki, a ona za kilka dni miała zostać matką kilkorga lisiąt! Cóż dziwnego, że siły ją opuszczały, a dusza zdawała się uciekać?

Znowu chciała przeskoczyć strumyk, stąpając po pochylonych konarach drzew, ale wtem nogą się jej pośliznęła i wpadła w wodę. Umiała ona naturalnie pływać doskonale, ale teraz, cała przemoczona nie mogła podołać. Straciła wszelką nadzieję i wydostawszy się z trudem na drugi brzeg wydała desperacki krzyk... Zabrzmiała odpowiedź — krótkie, ostre szczeknięcie psa — ale w tejże chwili ukazał się Domino. Pełen siły i odwagi pędził szybciej od jastrzębia, dotykając zaledwie śniegu.

Ona nie miała siły opowiedzieć mu swą doległość, ale nie potrzeba było tego. Przecztał ją i jako szlachetny, kochający towarzysz, pędził za jej śladem, by przyjść jej z pomocą. Zawrócił teraz na spotkanie psów. Nie miał on zamiaru poświęcić się, ale czuł w sobie potężną moc i ufając swym siłom, zwrócił więc z całą świadomością uwagę psów na siebie, podczas gdy ona powróciła do domu.

Probierz silnego ducha.

Domino leciał pół kilometra w powrotnym kierunku, a zgraja psów była już bardzo blisko, tylko trzysta jardów dzieliło ich, tylko dwieście

yardów i lis przystanął, poczem zaczął kłusować daleko od miejsca, gdzie były ślady jego żony.

Zawahał się... dlaczego? Przecież stanął na widoku! Czyżby życzył sobie, żeby go spostrzeżono, czy też sam chciał widzieć swych prześladowców — nie wiadomo, ale skutek był ten sam. Z odległości stu pięćdziesięciu yardów zobaczyli się wzajemnie, Zgraja wydała głośną wrzawę na jego widok i opuściwszy tor pędziła na lisa, a ten żwawo umknął.

Ale na miejscu tem pozostał zapach jego i psy poczuły, że mają przed sobą ślady potężnego lisa, nie zaś węższej lisicy. Teraz doznali instynktownie poczucia, że zaczyna się prawidłowa gonitwa.

Domino biegł powolnie, gdyż chciał się upewnić czy jest goniony, pokazywał się więc co chwila i teraz, gdy gonitwa była napewno za nim, skierował się daleko od drogi, którądy biegła lisica. Skrzyżował otwartą przestrzeń. Myśliwi mieli zapewne lunety, musiała więc zapanaować dzika radość wśród nich, gdy rozeszła się wiadomość, że zwierzę które obserwują jest Srebrnym lisem. Chłopcy znali dobrze okolicę i ustawieni w rozmaitych punktach mogli działać swobodnie.

Ale jest coś, co kocha dzikie stworzenia, coś co w braku lepszej nazwy można nazwać „aniołem stróżem” i tym razem była nim cisza w powietrzu, przy której słyhać było najodleglejszy głos, ona to była jego ratunkiem.

Raz jeden był w niebezpieczeństwie: pilnując by psy nie podbiegły zbyt blisko, nie zwrócić uwagi na ostrzegawczy wiatr i w chwilę potem głuchy odgłos i palący zapach strzału ocknął go. Jeden śrut dosięgnął jego boku i zranił go, ale nie głęboko, zadrasnął tylko skórę. Nie widział myśliwych, ale zrozumiał teraz, że trzeba się i z nimi liczyć.

I teraz to Srebrny lis wysilił całą swą moc i czujność — badał każdy znak ostrzegawczy, a zbawca jego czuwał nad nim.

Jedynym pragnieniem Domina było dostać się na szczyty pagórków i ich się trzymać. Przebywszy trzy kilometry, zwrócił się nagle przez otwartą szeroką drogę i natrafił na linię kolejową i biegł po niej daleko. Przeszedł pociąg i minął go, a lis biegł po szynach aż do miejsca, gdzie się rozwidłały. Biegając tak długo, pozbył się strachu przed pogonią i zawrócił w kierunku swego domu, zmęczony, z bolącym bokiem, ale z ogonem do góry, jak przystało na zwycięzcę w takiej ciężkiej walce. Przecinał więc okolicę leżącą ponad Shawban i głodny zamierzał poszukać sobie czego w lesie, gdy nagle posłyszał dźwięki, na które zadrżało jego serce, i okalając pagórek spostrzegł sforę psów, inną, całkiem nową zgrają, złożoną najmniej z trzydziestu sztuk z tuzinem konnych jeźdźców, a dzika głośna wrzawa jaka dochodziła, była niechybnym dowodem, że cała ta sfora znalazła ślady lisa i zamierza gonić za nim.

Był czas że on pożądał takiej gonitwy, ale teraz jakaż ta była nieuczciwa!

Zmęczony, głodny, z obolałymi od wielogodzinnej gonitwy nogami, z dokuczającą kłującą raną — o jakże potrzebował odpoczynku!

Ale teraz w końcu było to prawdziwe polowanie, tu nie było broni, to miała być tylko gonitwa, nie morderstwo.

Domino nie znał dobrze tych pagórków; leżały one daleko od jego zwykłego okręgu. Jego pagórki znajdowały się na odległości kilku kilometrów, a tam znowu stał na każdym punkcie obserwacyjnym myśliwy, cieszący się z przybycia nowej sfory naganiaczy.

Był to najnędrniejszy bieg, jaki kiedykolwiek odbywał, ale zarazem najcięższa próba na jaką wystawiona była jego siła i szybkość.

Gonitwa odbywała się wciąż wokoło pagórków, Domino biegł stąpając pewnie i bezustanku. Ale palące słońce zamieniło wszystek śnieg w lesie w grzązkie błoto, każdy rów był teraz pełen lodowato zimnej wody, każdy potok był rwący i mroźny. W warstwach lodu potworzyły się kałuże, i wielki puszysty ogon Srebrnego lisa, ten wysoko wzniesiony sztandar mocy, który każdego innego dnia powiewał z siłą w górze, dzisiaj powalany błotem ledwie się wznosił, a z niego kapiała kroplami woda.

Wyczerpany i przemoczony, prześladowany lis tęsknił jedynie do nocy, do miłej, przyjemnej nocy. Czy wiedział dlaczego? Czyżby miał jasne pojęcie o tem, że noc oznacza mróz, a mróz

oznacza zamarzną skorupę lodu, która by dała lisowi kilka godzin czasu, zanimby psy mogły po niej biec. Noc istotnie przyniosłaby ocalenie.

Brodził więc dalej wokół pagórków; nadzwyczajna jego szybkość zmalała do połowy, ale i psy były także umęczone. Śnieg i chłód wyczerpał i myśliwych. Pozostało tylko paru.

Sfora psów zbliżała się coraz bardziej, a on nie mógł wykręcić się. Zeszedł więc z drogi; najrozsądniej było ustąpić im z drogi. Brnął więc i brnął bez przerwy, coraz wolniej i słabiej, wzdymając boki, robiąc krótkie skoki, dysząc i kulejąc, byle dalej, dalej.

Przeszedł koło jednej fermy, przeszedł koło drugiej, ale przededrzwiemi trzeciej zobaczył młode ludzkie stworzenie z koszyczkiem.

Co to jest za instynkt u dzikich zwierząt szukać w nieszczęściu pomocy u wyższej potęgi?

Skąd pochodzi ten nieprzeparty popęd w ostatecznej godzinie?

Srebrny lis usłuchał naglej swej myśli, skoczył łagodnie ku dziewczynce i przyczołgał się do jej stóp. Ona pochwyciła go i zaciągnęła bez oporu do domu, poczem zatrzasnęła bramę przed sforą ujadających demonów. W koło domu latały one i szczekały i wyły przeraźliwie.

Nadszedł myśliwy, przyszedł fermer.

— On jest nasz, on należy do naszych psów, one mają prawo do niego, bo one go tu zapędziły — rzekł myśliwy.

— On jest w moim domu, a więc teraz jest mój — odpowiedział fermer, nie mając właści-

wie pojęcia kim jest rzeczywiście ten zabłocony, uszargany zbieg.

Ale fermier stracił w ostatnich czasach wiele kur i miał swe słabostki. Łatwo dał się więc zadowolnić, tembardziej, że zwierz wyglądał na chorego i bezwartościowego, a myśliwy powiedział, że chce nabyć tego lisa.

Tu odezwała się dziewczynka:

— On jest mój — krzyknęła — to jest mój przyjaciel, ja znam go oddawna! Wy chcecie go zabić!

Fermer zawachał się.

— My damy mu piękną zabawę — rzekł myśliwy.

Fermer odszedł, nie chciał więcej patrzeć na to. Uciekające dzikie zwierzę, które szukało ratunku w jego domu, mógł on szybko zapomnieć, ale nie mógł zagłuszyć dzwoniących mu w uszach słów dziecka: „to jest mój przyjaciel. Oh, tatu-siu, oni chcą go zabić, oh, tato, tato!”

I nietylko to jedno serce ojca rozdzierało się na żalną skargę dziecka!

Rzeka i noc.

Ale uprowadzili go i o ćwierć kilometra drogi puścili „na piękną zabawę” jak mówili. Trzydzieści silnych psów na jednego bezbronnego lisa.

Cała dolina zabrzmiała ujadaniem rozszalałej sfory. I znowu brodził po miękkim, głębokim

śniegu, wyprzedzając daleko psy. Leciał w dół doliny Bentona z szumiącym ruczajem, po zboczach pagórków, aż przebiegł koło jakiejś fermy, skąd w chwilę potem wyskoczył wielki pies i przyłączył się do gromady. Wysoki, szczupły młodzieniec przywoływał go przyjaznym wezwaniem, ale ten nie słuchał. Abner Juckes, gdyż on to był właśnie, poszedł więc za nim.

Jakąż szansę mógł mieć teraz Srebrny lis?

Jedną, jedyną tylko, t. j. nadejście nocy. Gdybyż ona przyniosła mróz. Ale wieczorem wiał ciepły wiatr. Pod wpływem tego wiatru topniał lód i rzeka płynęła wartko, unosząc kawały kry, która pokrywała koryto od brzegu do brzegu, podnosząc się, wzdymając i tracąc o siebie z głośnym szelestem. Słońce zachodziło, rzucając swe promienie na lodowate bryły. Był to widok wspaniały, przypominający koniec wielkiego, szlachetnego życia. Ale żaden pies ani myśliwy nie przystanęli, by się temu przyjrzeć.

Psy leciały ciężko dysząc i sapiąc, z jezoramai wywieszonymi, z oczami zaczerwienionymi. Daleko od nich na czele leciał nowy pies, nieproszony, zapalony naganiacz, a przed nim, nieco dalej Srebrny lis. Piękna jego szata była powalana błotem, wspaniała kiść ogona mokra i zaszargana mułem, a nogi jego chore, poobijane, zostawiały krwawe ślady. Był wyczerpany i zmęczony jak nigdy dotychczas. Mógł on po ścieżce przybrzeżnej dotrzeć wreszcie do swej nory, ale szlachetny instynkt mówił mu „nie idź.” Te-

raz przedstawiało mu się położenie straszniejsze, niż kiedykolwiek przeżywał. Zebrał powracające siły, przebiegając koło potężnej rzeki. Dawna jego szybkość powróciła na chwilę, tak że wyprzedził znacznie całą tę ziejącą stórę psów, ale gdy zbliżył się do kamieniołomu, rozległ się straszny, mosiężny, potężny głos Hekli.

Kto mógłby zmierzyć szybkość skoku, z jaką może lecieć uciekający?

To tylko jest wiadomo: zawrócił i szedł wzdłuż koryta rzeki, w dół z biegiem szumiącej wody, naprzeciw błyszczącego zachodniego słońca. Nadzieja go opuściła, ale szedł, czarna jego postać zachwiała się, wiedział, że musi umrzeć, ale bał się o swe życie.

Młody, szczupły myśliwy, jedyny będący w tej okolicy, nadszedł i ujrzawszy tę scenę przystanął, utkwivszy wzrok w poruszające się plamy oświetlone słońcem.

O rzeko, błyszcząca purpurą i złotem pod purpurowem i złotem niebem, rzeko niosąca bryły przejrzyste lodu!

Rzeko, któraś przed latami była zbawczynią jego, odsuń teraz śmierć od niego!

Teraz jest pora nad porami. Trzydzieści skonów czyha na niego, trzydzieści potworów śledzi jego ślad, a ślad jest po słabych, konających skokach. O rzeko doliny osikowej, czyż chcesz zamienić się w zdrajcę w tej strasznej, ostatecznej godzinie, czyż nie zamierzasz uwolnić go od wrogów?

Ale wielka rzeka płynie — potężna, nieubłagana. Oh! — jakaż okrutna!

I noc nie nadchodziła, lecz wciąż wahała się. I jakgdyby na zgnębienie ofiary rozległ się tryumfujący okrzyk ścigających, który odbił się piekielnem echem o uszy ściganego. Był całkiem chory. Kita jego, ten sztandar wolności, nie mógł już dłużej wznosić się do góry, ale mokry i ciężki zwisał, zagrażając jego mocy; wolno szedł teraz wzdłuż gorejącego słońcem wybrzeża. Psy, węsząc zwycięstwo, nadbiegły w podskokach, ujadając szalone. Ku nim szło wolno zabłocone, poranione stworzenie, ale nie pokonany zbieg, lecz w chwale i tryumfie dający się pojmać bohater.

Szedł naprzód, a każdy punkt potoku był jak pułapka. Rzeka jego zdradziła go, a sfora psów zamknęła. Hekła, wyładowując cały swój myśliwski zapal, pierwsza zagroziła mu odwrót.

Widok na cały ten plac walki był otwarty: szerokie wybrzeże z jednym zbiegiem, szerokie pole z ujadającą skaczącą sforą; wielka wezbrana rzeka pokryta krą lodową, płynącą z szumem i niosącą śmierć. Tu serce słabe może odrazu zginać, silne tylko jest w stanie wytrzymać.

Rycząca zgraja psów z Hekłą na czele dotarła wreszcie do wybrzeża i była już tuż blisko... Szumiąca rzeka śpiewała i płynęła przez olszynową dolinę. Białe psy pstrzyły wybrzeże, tak jak białe kry lodowe pstrzyły wodę. Jedne i drugie poruszały się razem jak pod jednym hasłem złączone — parły na wspólną ofiarę...



Kra pchnięta siłą skoku popłynęła z nurtem rzeki.

Bryły lodu ścieśnione piętrzyły się coraz bardziej i wreszcie olbrzymia masa otarła się o brzeg i sycząc i hucząc zatrzymała się na niem.

Wtem lis przystanął, jakby tknięty nagłą myślą: lepiej szukać śmierci w rzece, tej rzece, która była dotychczas jego przyjaciółką. Skoczył na jedną bryłę lodową, z tej na drugą, aż do ostatniej, a gdy przystanął, kra pchnięta siłą skoku, popłynęła z nurtem rzeki i ciemną wodą poniosła na białej bryle lodu czarnego lisa, skurzonego przerażonego,—płynęła po ciemnej, szerokiej fali.

Sfóra psów na brzegu zawyla wściekle, a Hekla rzuciła się na zbitą masę kry i skoczyła na sam jej koniec w chwili, gdy jej ofiara żeglowała już po wzburzonej fali. Na lodzie grzmiała swą porażką i nienawiścią, nie bacząc na nic i nic nie wiedząc, a rzeka nieubłagana i niepowstrzymana, płynęła dalej, unosząc ze sobą bryłę lodu z tym, kto na niej stał. I tak razem poddali się losowi ścigany lis i ścigający pies. Płynęli w dół w blasku zachodzącego słońca, a na wybrzeżu pędziła sfóra i stał młody myśliwy.

Jakiś wieśniak wracał z innego polowania i skierował strzelbę na lisa; młody myśliwy odrzucił mu strzelbę w bok i krzyknął surowo, potem wydał przeciągły gwizd, który wprowadził sforę psów w wątpliwość.

Dotarli zakrętu rzeki i tam młodzieniec i psy wlepiwszy wzrok w purpurę słońca i w purpurę rzeki, która unosiła błyszczące kry lodowe i na nich dwie żywe istoty.

Mgła wieczorna powiększała tajemniczość rzeki, a promienie słoneczne zniżając się i przebijając przez mgłę zamieniały lód, rzekę i Srebrnego lisa w złoto, aż rwąca fala uniosła go, a ciemne niebo zakryło widok całkowicie.

Dzielne serce zbiega nie wydało krzyku, a nocny wiatr przyniósł tylko rozpaczliwe wycie psa, w którym czuć było strach przed śmiercią.

— Żegnaj cię, stary przyjacielu — rzekł młodzieniec — żegnaj cię, najstarszy psie jaki żył kiedykolwiek! — głos jego brzmiał surowo — żegnaj cię, Srebrny lisie! Śmierć twoja jest równie bohaterską, jak było życie. Pragnąłem wyratować was obydwuch, ale jakąż śmierć wybraliście! Żegnaj was!

Abner nie widział nic więcej, a sfora psów stała na brzegu drżąc i skomląc.

Zmrok zapadł, myśliwy nic już nie mógł dojrzeć, ale były inne oczy, które patrzyły na dalszą scenę.

Strumień był teraz końcowym punktem dzikiego polowania i na nim zaszły poważne zmiany.

Bryły lodowe ze swemi ofiarami płynęły bez przerwy, ale zmienił się ich układ; to zakręcił, to wir podrzucał krę, aż wreszcie brzeżne bryły wypłynęły na środek rzeki, a środkowe na wybrzeże. Biały lodowy rumak, unoszący Srebrnego lisa, otarł się nagle o skałę i w Domina wstąpiła nadzieja. Skoczył, zebrawszy wszystkie swe siły i przebrnąwszy ciemną, niebezpieczną falę, zalewającą wybrzeże, stanął na suchym lądzie.

Rzeka, zbawczyni jego młodości, nie zawiodła go, rzeka — świadek jego tryumfów.

A tam, zdaleka, ze środka rzeki, rozległa się długo brzmiąca skarga psa, który widział swą zgubę.

Tak jak mgła zakryła najokropniejszy widok, tak szum wody zagłuszył krzyk i rzeka jedynie zachowała tajemnicę tej chwili i kryje ją po dziś dzień.

Księżyc róż.

Trzy lata przepłynęły nad rzeką Shawban.

Był właśnie błogosławiony miesiąc czerwiec i zaświecił księżyc róż. Nie było wówczas piękniejszej doliny nad dolinę Olabee, leżącą nad tą rzeką.

Dwoje zakochanych spacerowało w dolinie, rozkoszując się pięknem. Młodzieniec szczupły i niebieskooka dziewczyna. Wspomnienia z Guldur przywiązały do nich nazwy: pan Hekli i dziewczyna z ogrodu. Przyszli tu podziwiać zachód słońca i pozostali długo jeszcze potem.

I cicho szli koło siebie, a serca ich powierzały sobie tajemnice, snuły radości i nadzieje. Wpatrzeni w ostatnie blaski słońca, ujrzeli nagle jakiś cień.

Na kwiecistym pagórku, niedaleko nich, zjawiła się matka lisica i zwoływała cicho swą działwę. Napuszyła swą śnieżnobiałą kryzę i gdy z całą troskliwością baczyła na małe lisiątka, zbliżyła się inna postać i zatrzymawszy się chwili-

łę wśród zarośli, podeszła ku niej i Srebrny lis, wielki, potężny, złożył pomiędzy gromadkę dzieci, jakieś zaduszone zwierzątko.

Młodzieniec patrzył zdumiony. Ścisnął rękę dziewczyny i wyszeptał:

— Patrz, to on jest, on żyje. Od owej strasznej chwili na rzece, nigdy go już nie widziałem!

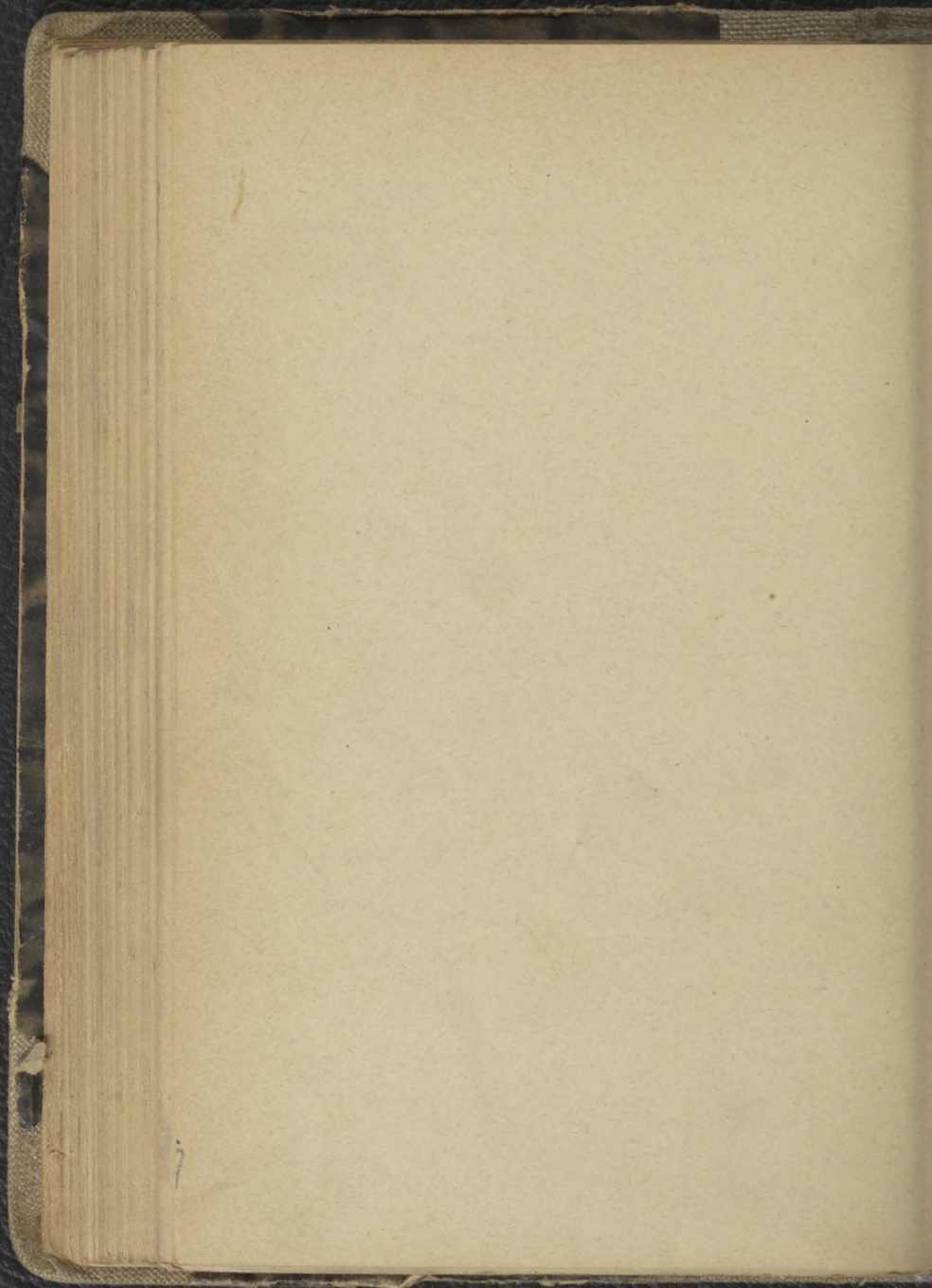
Naraz ostatni, niespodziewany promień słońca przedarł się przez szczelinę skały i oświetliwszy pagórek, odszedł jako znak zwycięstwa i spokoju.

A purpurowy żar rozlał się na niebie i w dolinie, gdzie rozbrzmiewała pieśń Shawbana, stara, droga pieśń spokoju i szczęścia.





DZIELNY ROGACZ
BARAN GÓRSKI



I.

Spoglądam na pagórkowate płaskowzgórze, leżące daleko na północy Stanów Zjednoczonych.

Szarość i purpurę skał przerywają bogate, ciepłe tony barwne, świeżo zrodzone tony wiosny górskiej, najprawdziwszej wiosny w świecie, gdyż tylko tam, gdzie jest prawdziwa zima, bywa i prawdziwa wiosna.

Ciemność jest miarą światła.

Zdaje się, że natura, odmówiwszy ludziom przez długie sześć miesięcy rozkoszy swych, przyznaje się teraz do winy i chce wynagrodzić ten czas smutku wspaniałemi blaskami wiosennemi.

Półroczne powstrzymanie się od przyjemności opłaca jednym dobrowolnym datkiem, a dzień wypłaty przypada na koniec maja. Wtedy świętuje wiosna wielkie święto — radosny karnawał!

Nawet pustynny szczyt Parany, sterczący ponad północnym stokiem, przybrał weselszy wygląd. Wielką ilością kwiatów, które natura mogłaby wydać przez sześć przebytych miesięcy, ozdabia teraz wszystkie zakątki górskie, przeważa jednak wśród nich tylko jeden gatunek,

wszędzie bowiem, gdzie okiem sięgnąć, ścielą się łąbiny czerwone, zlewając się w wspólny ton z purpurowemi chmurami.

Ale i w końcu maja podmucha często zimny wiatr, a ścięta powierzchnia wód świadczy o nocnych przymrozkach.

Dmie „biały” wiatr... Ciemne chmury wznoszą się i znowu wiruje śnieg ponad szczytami, ponad pasmem gór i pokrywa kwiaty górskie białym całunem ponurym, szaro białym, staje się znowu widno i drobne kwiatki przemalowują się na białe. Tylko łąbiny wystają swemi sztywnymi łodygami ponad śnieg. Schylają głowy pod ciężarem śniegu, ale szybko strząsają go, w czym pomaga im niemało ten sam ostry wiatr i dumnie wznoszą głowę jak przystoi ich królewskiej purpurze. Nagle śnieg przestaje padać, rozchylają się zasłony chmur i ukazuje się niebieskie niebo i słońce, oświetlające wspaniale śnieżne szczyty i purpurowe łąki.

Wśród tych plam śnieżnych i purpurowych, wiją się dwa długie ślady.

II.

Śnieg wiosenny oddaje doskonale tropy zwierząt — wiedział o tem dobrze stary myśliwy, Scotty Macdonald, przewiesił więc swą strzelbę przez ramię i poszedł w kierunku śladów stad baranów górskich. Nie o widok mu szło, przeciwnie, nie go nie obchodziły białe śnieżne stoki, przerywane łąkami łąbinu. Dopiero, gdy

zbliżył się do podwójnych śladów baranich na nowym śniegu, spojrzął wokoło siebie uważnie i badawczo. Od pierwszego wejrzenia mógł je odczytać: były to ślady kopyt dwóch dorosłych owiec górskich, które nosami do wiatru zwrócone, przechodziły tędy. Potem zauważył, że owce były niespokojne, ale nie przestraszone i że znajdują się godzinę drogi przed nim.

W wędrowce swej pokładały się one w osłoniętych miejscach na krótką chwilę, ale zaraz się podnosiły i szły naprzód — nie wiedzione głodem napewno, bo przecież miały pożywienia masę wokoło i nie ruszały go nawet.

Ostrożnie szedł Scotty naprzód: mierzył odległość oczami i wcale nie wchodził w ślady owiec. Naraz spostrzegł małe zagłębienie pokryte łubinem, z którego wyskoczyły obydwie owce.

Zdjął strzelbę i byłby może zabił jedną z nich, gdyby bystre jego oko nie dojrzało jeszcze w porę dwóch małych jagniątek, które tylko co urodzone ledwie trzymały się na chwiejnych nogach i zdawały się wahać, czy zbliżyć się do obcego człowieka, czy iść za matkami.

Owce tymczasem ostrzegały swe małe przenikliwym bekiem i powróciły w łukowatych podskokach.

Teraz już nie wzdragały się dłużej jagniątka — czuły, że należą do tych, które podobne były do nich z wyglądu i zapachu i poszły za matkami.



Z pewnością mógłby Scotty zabić owcę jedną albo wszystkie razem, gdyż był oddalony zaledwie o 30 metrów, ale przemogła tu wrodzona człowiekowi chęć „złapać żywe”, i nie myśląc o tem, co z niemi później zrobi, powiesił strzelbę na drzewie i pobiegł za jagniętami.

A przez ten czas przerażone matki udzieliły swego strachu małym, tak że te nie wąpiły już, że muszą strzec się obcego i gdy zbliżył się bardzo, odskoczyły tak szybko, że ich nie schwycił.

Nie miały jeszcze godziny życia, a już uposażone były w instynkt, którym umiały się kierować. I chociaż nie poruszały się tak zwinnie na nogach jak stare, jednakże podążały wciąż za matkami. Te zaś, widząc grożące niebezpieczeństwo, trwożliwemi głosami starały się je zachęcać do szybszego ruchu.

Podniecane beczeniem matek i gwałtownemi ruchami człowieka, jagnięta posuwały się, ale po bujnej łące łubinowej ślizgały się im nogi — dopiero poczwały się na siłach, stanawszy na nagiej skale, do której wreszcie doprowadziły je owce.

Nagie zręby skał, przedzielone szczelinami — to był żywioł owiec. Małe ich czarne kopytka chwytaly się zrębów skały i stały na niej mocno i bezpiecznie, a odpocząwszy chwileczkę znikły wraz z małemi wśród fantastycznych szczytów gór Baranich.

Szczęściem dla nich, że Scotty zostawił strzelbę na drzewie, bo przecież mógłby w jednej chwili położyć trupem wszystkie owce. Wprawdzie pośpieszył po broń, ale zanim wrócił, opu-

ściła się mgła, która ścieląc się po okolicy, zupełnie widok załoniła.

Ten sam biały wiatr, który przymroził w zdradzieckim śniegu ślady i uczynił widocznymi tropy zwierząt, czem wystawił je na największe niebezpieczeństwo, zesłał teraz mgłę, która zakryła je przed wzrokiem ludzkim i zabójczą bronią.

Scottemu nie pozostawało teraz nic innego, jak pozostawić rodzinę owczą w bezpiecznych górach.

— A to małe djabliki, szelmy mądre, ani chwycić ich nie mogłem, a przecież nie mają one jeszcze godziny — mrucał, odchodząc.

Resztę dnia spędził na nadaremnym poszukiwaniu i bezskutecznym strzelaniu, wreszcie powrócił do domu i zaspokoił głód wielkim kawałem chleba z szynką.

III.

Poszarpane zręby skalne nie stanowią najlepszej ojczyzny owiec, ale bardzo bezpieczne miejsce schronienia. To też matki, z chwilą kiedy się tu znalazły, nie odczuwały już strachu i następnych dni uważały bardzo, aby przy paszeniu się na łące, nie odsuwać się zbyt od tych szczelin.

Jagniątka rozwijały się bardzo szybko, tak że po tygodniu mogły już dorównać w chodzie matkom, gdy w razie grożącego niebezpieczeństwa te podążały do bezpiecznych kryjówek,

Wkrótce śnieg zniknął ze szczytów, wszędzie zieleniła się trawa i różnobarwne kwiaty. Wszędzie była więc obfitość pożywienia, ku wielkiej radości jagniątek, które, zadowolone, machając ogonkami, łykały smaczne mleczo.

Jedno z jagniąt miało biały nosek, drugie zaś, nieco większe, odznaczało się spiczastymi rożkami, które pokazały się na zgrabnym jego łebku już w kilka dni po urodzeniu.

Oba wesole i pełne życia, bawiły się ze sobą, kręcąc się wokoło matek i skacząc przez dzień cały. Gdy jedno pobiegło gdzie, zaraz drugie doganiało je w podskokach i bodło rożkami — i tak podążały razem na pagórek kamienisty, gdzie zaraz rozpoczynały znany wśród owiec „taniec burzowy.” Jedno z jagniąt stawało na szczycie małego pagórka i tutaj, uderzając kopytkami o ziemię i wstrząsając swą okrągłą główką, zdawało się zawiadamiać, że jest w posiadaniu góry i nie obawia się żadnego napadu. Drugie nie dało czekać na siebie. Po chwili obie okrągłe wehniście główki, ze złożonemi ku tyłowi różowemi uszkami, stykały się z sobą, a niewinne ich piwne oczy, poruszały się dziko. Napierały wzajemnie na siebie i przyciskały do ziemi, aż w końcu jedno z nich przysiadło na kolanach, ale wnet podniósłszy się, wierzgnęło w górę kopytkami, jakby chciało powiedzieć:

— Co tam wart jest twój zamek! — Ale w tej chwili skoczyło na drugi kamień lub wzgórek i stanowczem, bystrzem spojrzeniem objawwszy go w posiadanie, czekało zaczepki,



Oba wesołe i pełne życia, bawiły się ze sobą, kręcąc się
wokół matek...

I znowu rozpoczynała się walka.

Przy tych zabiegach gimnastycznych zwykle brał górę Białonosek, bo był większy i tęższy, zaś przy wyścigach zwyciężał zwykle Rogaczek. Był on niezmordowany w ruchach; od rana do wieczora w ciągłych podskokach i jeszcze mu było mało.

W nocy spały jagniątka przytulone do macetek swych, w bezpiecznym kątku, gdzie dosięgały ich i grzały pierwsze promienie słońca porannego. Rogaczek był pierwszy na nogach, Białonosek zaś lubił wygody; leżał więc póty skulony, dopóki matka nie zbudziła go i nie zapędziła do codziennych zajęć.

Miał on oprócz białego noska, białą plamę na szyi; jestto wprawdzie właściwością wszystkich owiec górskich, ale u Białonoska była ona szczególnie duża i znaczna, a dla Rogaczka była tak ponętna, że nie mógł nigdy przejść obok niego, aby go nie chwycić za szyję. Sprawiało mu to specjalną przyjemność, gdy mógł obudzić swego przyjaciela uderzeniem głowy właśnie w tę białą plamę.

Owce górskie żyją przeważnie w stadach — im liczniejsze są stada, tem więcej oczu widzi niebezpieczeństwo. Myśliwi jednak tak skrętnie uprzętały góry Łubinowe z ich mieszkańców, że zaledwie po kilka lub kilkanaście sztuk pozostawało w stadzie, a największe liczyło najwyżej trzydzieści głów. Najbardziej niezmordowanym w prześladowaniu owiec był Scotty. Dach jego chaty był cały pokryty rogami owiec, a pół izby

zajmowały skóry owcze, czekające na kupców.

W połowie czerwca nieraz można go było spotkać ze strzelbą w ręku, czyhającego na jagnięta, gdyż dla niego czas polowania trwał przez cały rok; za każdym razem jednak czujne matki zobaczyły go zdaleka i albo w okamgnieniu uciekły, albo krótkim, gwiżdżącym dźwiękiem dawały swym dzieciom znak, by się nie poruszały.

Wtedy jagniętka stały nieruchome jak kamienie, jakby wiedziały, że każde najlżejsze poruszenie, grozi im niechybną śmiercią. Potem zaś, gdy nieprzyjaciel, niezauważywszy ich, skierował się w inną stronę, uciekały co sił starczyło.

Ale pewnego dnia, gdy przechodziły przez las sosnowy, poczuły jakiś nieznaną zapach. Zatrzymały się, żeby się przekonać co to było, gdy nagle zeskoczyło jakieś zwierzę ze skały wprost na matkę Białonoska i przewróciło ją na ziemię.

Przerażony Rogaczek uciekł ze swą matką, a rosomak — gdyż on to był — położył wkrótce koniec życiu swej ofiary, potem skoczył na samego Białonoska, który stał obok jakby skamieniały ze strachu — i jego również położył niemiłosiernie trupem obok matki.

IV.

Matka Rogaczka była średniej wielkości owcą, ale silnie zbudowana. Rogi jej były dłuższe i ostrzejsze, niż u zwykłych owiec i miały kształt włóczni. Posiadała też zdrowy rozum owczarski — i spostrzegłszy, że okolica, w której ży-

ła, stała się niebezpieczną, postanowiła z niej wywędrować, zwłaszcza po ostatnim tragicznym wypadku.

Czemprowadziła więc zbiegła ze stoku Baraniej góry, a za nią pędził Rogaczek; co chwila jednak zatrzymywała się i stawała w nieruchomej postawie, podobna do omszonej skały i badała okolicę. W ten sposób udało jej się nawet raz uratować przed czujnym wzrokiem starego myśliwca.

Ku wieczorowi, gdy zatrzymała się nad wodną granicą, ujrzała na górze jakieś poruszające się postacie. Zaciekawiona przyglądała się im uważnie i przekonała się, że to były owce, szare z białymi plamami z tyłu i z przodu, w paskowanych pończochach. Podeszła więc bliżej, przeciw wiatrowi i skrzyżowała trop nieznanym. Nie omyliła się: były to ślady dwu wielkich gruborogich owiec. Ślady te powiedziały jej dalej, że były to barany.

Według zwyczaju, owce górskie żyją oddzielnymi stadami — barany same, a owce z jagniętami także osobno. Wolno im poszukiwać się wzajemnie i żyć razem tylko w początkach zimy, wtedy jest czas ich miłości i wesel, potem unikają siebie.

Matka Rogaczka, którą nazwiemy Włóczniorką, była jednak bardzo rada, że dostała się w okolicę owczą i spokojnie przeskoczyła strumyk. W nocy znalazła schronienie w jakiejś jaskini, a następnego dnia powędrowała dalej, pasąc się po drodze. Po chwili poczuła zapach,

który ją skłonił do pójścia za nim i wkrótce przekonała się, że była w pobliżu stada matek z jagniętami. Idąc śladami, znalazła się niedługo tak blisko, że mogła nawet im się dobrze przypatrzeć. Było ich wszystkich razem dwanaście. Głowa jej wystawała ponad skalny występ, widziała więc wszystko, nie będąc spostrzeżoną. Ale gdy Rogaczek wychylił swą okrągłą główkę, żeby coś zobaczyć, jedna z czujnych matek w stadzie posłyszała szelest i wydała znaczący gwizd, poczem wszystkie owce zamieniły się w nieruchome słupy, zwrócone oczami w kierunku niebezpieczeństwa. Teraz wystąpiła śmiało Włócznioróżka, wskutek czego całe stado pogalopowało na lewo, podczas gdy ona z Rogaczkiem zwrócili się na prawo.

Zmieniły się więc kierunki ich węszenia i stado poznało przeciwniczkę. Wtedy odłączyła się od stada matka przodownica i stanęła naprzeciw Włócznioróżki. Węszyły się i bacznie przyglądały. Przodownica tupnęła nogą, a Włócznioróżka przyjęła postawę bojowniczą. Posuwały się ku sobie z głowami pochylonemi, z rogami nastawionemi, wreszcie natarły — i Włócznioróżka przebiła swym ostrym rogiem ucho przeciwniczki. Cios ten był decydujący i przodownica wróciła do stada, straciwszy chęć do dalszej walki. Włócznioróżka poszła za nią, a Rogaczek, zdziwiony bar-



dzo tem, co zaszło, szedł tuż niedaleko. Stado zawróciło i wzięło się do ucieczki, ale że nowoprzybyła w żaden sposób nie chciała ustąpić, owce otoczyły ją ściśle i w ten sposób została przyjeta do ich gromady.

Z nią więc ceremonia przyjęcia była załatwiona, ale i Rogaczek musiał przejść także jedną próbę. W stadzie było 7—8 jagniąt, przeważnie starszych i większych od Rogaczka, które, na równi ze wszystkimi zwierzętami czuły się w obowiązku zwyciężenia przybysza, choćby tylko dlatego, że był obcy. Pierwszy przedsmak przyjęcia otrzymał Rogaczek w postaci niespodziewanego kuksańca w szyję, w to samo miejsce, w które sam Białonoskowi podobne robił niespodzianki. Ale teraz to było całkiem co innego, wcale nie wydało mu się śmieszne i skoczył podniecony na przeciwnika, ale gdziekolwiek się zwrócił, wszędzie stało jakieś jagnię gotowe do odporu, tak że wreszcie biedny Rogaczek udał się pod opiekę matki.

Dokuczanie takie małemu przybyszowi trwało i przez resztę dnia, ku wielkiej uciechu stadka. Rogaczek, znalazłszy się pierwszy raz w tak licznej gromadzie, nie wiedział, co z sobą robić, bronił się jak umiał, ale zręczność jego i wszystkie znane mu sposoby nic tu nie znaczyły.

Drugiego dnia chciały jagniątka rozpocząć zabawę na nowo. Największy z nich i najsilniejszy rozpoczął pierwszy. Był to baranek krępy i grubo o małych, pokręconych rogach, wskutek których nazwiemy go Krętorożkiem. Właśnie zbli-

żył się w chwili, gdy Rogaczek wstał i wierzgnął tylnymi nogami, jak to jest zwyczajem owiec, napadł go więc z całej siły, tak że Rogaczek potoczył się, zaraz jednak powstał i rozwścieczony stanął naprzeciw. Wokamgnieniu dwie wełniste główki natarły na siebie i tak się tłukły jak dwie piłki. Walka szła na serjo. Z początku Rogaczek musiał ustępować; Krętorożek brał górę, ale w końcu pierwszy tak zręcznie trafił przeciwnika z zakręconemi mocnemi rożkami, że ten cofnął się i uciekł. Inne jagnięta, przypatrując się tej walce, uznały przybysza za godnego członka towarzystwa i przyjąwszy go, zakończyły czas próby.

V.

Często wydają się dziwnymi i niewłaściwymi rozmaite prawa jakimi się ludzka społeczność kieruje i uważa się je za wymysł tyranji. Niektóre jednak z nich są tak stare, że zanim były u ludzi, istniały już u wszystkich dzikich zwierząt, rozwijając się zależnie od ich instynktu.

Gdy się ukaże np. kura lub kogut na podwórzu, w tej chwili szuka sobie miejsca najdogodniejszego, a wybór zależy zwykle od zręczności i siły.

Każde zwierzę ma oddawna wyznaczone stanowisko i żadne nie może przeskoczyć odrazu kilku stopni i wywyższyć się ponad inne bez walki i przewycięzania różnych przeciwności. Ale raz zwyciężywszy, nie da się usunąć z drogi.

Bez wątpienia decydującymi w tej walce są: siła, zręczność i odwaga, ale w wielu razach ważniejszy jest rozum czyli instynkt.

Jakie zwierzę obejmuje zwykle przewodnictwo w stadzie? Niekoniecznie musi to być najsilniejsze lub najgroźniejsze. Wybór przewodnika nie odbywa się u zwierząt tak jak u ludzi — lecz przez porównywanie zalet jednego, stopniowo się wyróżnia. To zwierzę więc staje się przewodnikiem, które potrafi jaknajszczęśliwiej stado prowadzić, i tego wtedy całe stado słucha. Wybór jest jednomyślny, a kto nie chce się stosować, ten ma wolną drogę przed sobą. U wielu zwierząt przewodnikiem jest nie samiec, lecz najstarsza samica. Do tych należą i owce górskie.

Stado owiec, o którym mowa, składało się z sześciu czy siedmiu matek z jagniętami, z których trzy czy cztery były jednoroczne, a jeden dwuletni baranek, wielce obiecujący, bardzo dumny ze swych rogów, które właśnie zaczęły mu wyrastać.

Przewodnictwo objęła tu stara, przebiegła matka, nie ta, która stoczyła walkę z Włócznie-rożką, ale całkiem małe zwierzątko o grubych, krótkich rogach, matka znanego nam już Kręto-rożka.

U owiec przodownica nie jest władczynią, której zawsze słuchać trzeba, ale tylko mądrą przewodniczką, której opiece i ostrożności bezpiecznie i z całym spokojem zaufać można. Możemy więc zupełnie trafnie nazwać ją „Mądrą.”

Włócznioróżka była bardzo żywa, w pełni młodzieńczych sił, zastanawiająca się, przebiegła, bystra, wiecznie czujna i na straży. Przynajmniej przy każdym trzecim kroku podnosiła głowę i śledziła, a gdy tylko spostrzegła co obcego lub podejrzanego, to póty badała, aż poznała, co to jest i dopiero upewniona o bezpieczeństwie zabierała się do paszenia, przedtem zaś przeciągłym sapnięciem dawała znać wszystkim towarzyszkom, by „skamieniały.” Nie robiła coprawda nic innego, jak wszystkie, ale nikt od niej lepiej tego nie umiał.

Jednakże i Mądra nie ustępowała jej w niczem, a nawet w śledzeniu przewyższała, znając doskonale okolicę; wogóle jednak obydwie owce dorównywały sobie, tak że Mądra szybko spostrzegła, że ma we Włócznioróżce niebylejaką rywalkę.

W stadzie nie szło jednak wszystko bez zarzutów. Były tam także i niesforne owce, nie stosujące się do zwyczajów ogólnych. Tak np. pewna młoda owieczka miała przyzwyczajenie paść się klęcząc, co uważane było za złe, gdyż wskutek tego tworzyły się na kolanach zgrubienia i taka panna nie mogła szybko skakać, a przecież w życiu owiec, szybkość w ruchach jest niezbędną, zwłaszcza gdy w razie niebezpieczeństwa trzeba się posiłkować zygzakowatymi skokami.

Druga znowu owieczka była bardzo nieposłuszna i nigdy nie chciała iść za przodownicą, a gdy wydany był rozkaz „skamienienia” ona

właśnie poruszała się tu i tam, tak że zdradzała obecność całego stada.

VI.

Minęło kilka tygodni na ciągłych uganianiach się i trwodze. Straże jednak wypełniały swoje obowiązki i wszystko szło dobrze.

Przy zbliżaniu się lata napadła owce gorączkowy niepokój. Stawały przez długie chwile bez ruchu i nawet paść się nie miały ochoty. Po wszystkim widać było, że cierpiały na żołądek i szukały instynktownie czegoś.

Gdy to samo uczucie opanowało Mądrą, powzięła ona poważne postanowienie i natychmiast wzięła się do dzieła. Poprowadziła całe stado na równinę głęboko położoną w lesie, i jeszcze niżej. Gdzież ona szła? Dla przeważnej ilości owiec droga ta była całkiem obca. Włóczniorożka szła za nią nieufnie, i co chwila przystawała, gdyż żal jej było opuszczać piękne, ulubione miejsce. Przodownica postępowała jednak spokojnie naprzód. Włóczniorożka zaś tak była źle usposobiona, że gdyby tylko więcej owiec okazało niezadowolenie, z pewnością nastąpiłby rozłam. Wszystkie jednak szły bez wahania, tak że spokojnie dotarły do granicy swego okręgu. Tutaj Mądra nastawiła uszy i śledziła, za nią robiły to samo inne. Było im wszystkim dziwnie niedobrze, choć nie czuły głodu ani pragnienia. Patrzyły w kierunku wskazanym przez przodownicę i spostrzegły pagórek obrzeżony białą wstę-

gą. Tam zaprowadziła je przodownica i tu nie trzeba było już żadnych objaśnień; wszystkie pochyliły się ku białej ziemi i zaczęły lizać ją z apetytem.

Ach! jakież było pyszne to, czego skosztowały! Nie mogły się dość najeść! A gdy tak lizały i lizały, znikła suchość z gardła, gorączka z oczu i uszu, ból głowy, gorąca ich skóra stała się chłodna, głód powrócił, a spokój zapanował tak miły, jakby się na nowo narodziły.

Zdawało się, że skosztowały balsamu życia — a była to tylko zwyczajna, najzwyczajniejsza sól.

Tego im właśnie brakowało, to poznała odrazu mądra przodownica i wiedziała dobrze, jak temu zaradzić.

VII.

Dla młodego stworzenia niema nic lepszego nad posłuszeństwo. Posłuszeństwo względem matki zapewnia mu wszystkie dobrodziejstwa matczynego doświadczenia i całkowite bezpieczeństwo.

Odwaga, szybkość i siła są dobre, ale wszystko to nie równa się ze zdolnością kierowniczą matki. Rozum znaczy bardzo wiele, ale u jagniąt gruborogich owiec nieme poddanie się rozkazowi przodownicy ma przewagę nad wszelkim sprytem własnym.

Stado rozkoszowało się białą solą parę godzin i Mądra nasyciwszy się do woli, dała znak powrotu w górę. Ale właśnie obok słonego pa-

górnica rozciągała się dolina z bujną roślinnością i owce pokosztowawszy pysznej paszy, nie chciały stąd odejść. Mądra nie mogła jednak pozwolić na pozostanie w tem miejscu, gdzie groziło zewsząd mnóstwo niebezpieczeństw.

Włócznioróżka także dążyła do dawnego spokojnego pastwiska, inne więc choć niechętnie, szły za przodownicami. Ale nagle mały Krętoróżek ukłuł się ostem i przystanął, becząc. Matka wołała go, ale nie chciał się ruszyć, tak że musiała zawrócić. Zanim go zachęciła do dalszego pochodu, upłynęło kilka dobrych chwil, a całe stado rade z przypadku pasło się dalej, nie śpiesząc z powrotem, tak że gdy nadeszła noc, owce znajdowały się jeszcze w lesie, gdzie też pokładły się do snu.

W okolicy tej przebywał kuguar (puma). Zwierz ten, podobnie jak lew, chodzi tak cicho, że go zupełnie nie słyhać, niktby więc nie poczuł jego zbliżenia się do zarośli, gdyby nie był przypadkiem dotknął kamienia, który stoczył się z pochyłości. Szelest był wprawdzie niewielki, ale nie uszedł czujnego ucha Włócznioróżki. Wydała też natychmiast ostrzegający „suuuf,” przywołała ku sobie Rogaczka i nie bacząc na przodownicę, podążyła szybko ku ojczystym skałom. Inne owce również zerwały się, ale kuguar już był między nimi.

Mądra podskoczyła ku swemu malcowi, wzywając go do ucieczki. Ten jednak wciąż się wzdragał, ale gdy matka oddaliła się, poczuwszy się osamotnionym, zabeczał żałośnie, wtedy Mądra

w okamgnieniu, nie bacząc na własne niebezpieczeństwo, powróciła i w tejże chwili napadł ją kuguar i powalił trupem. Jeszcze parę owiec stałoby się ofiarą drapieżnego zwierza, ale uratowały się dzięki zręczności i skokom, tylko młoda owieczka z odciskami na kolanach pozostała w jego łapach, nie mogąc dać dobrego skoku. Przerażone owce pędziły bez namysłu za przodownicą, i dopiero, gdy ta zwolniła biegu, spostrzegły, że prowadzi je Włócznioróżka, tylko Mądrej nie ujrzały już nigdy i domyśliły się, jaki ją los musiał spotkać.

Gdy już wszystkie zgromadziły się w bezpiecznym miejscu, postyszały słaby bek jagnięcia, dochodzący z dołu. Nie jestto mądrze odpowiadać na zasłyszany głos odrazu, bo ktoś może zaręczyć, czy to nie jest podstęp jakiego wroga, ale gdy bek stawał się coraz żałośniejszy, poznała Włócznioróżka znajomy jej głos i odpowiedziała wzywająco.

Szelest spadających kamyków, drapanie się po skale, jeszcze jeden bek — i wśród oczekujących stanął mały Krętorożek-sierota. Naturalnie nie wiedział on nic o swym losie, ale gdy dzień minał i żołądek jego łaknąć zaczął czegoś lepszego od trawy i wody, poczuł swe sierocstwo i zabeczał żałośniejszy jeszcze, niż poprzednio. Wieczorem poczuł zimno i głód mu dokuczał, a tu nikt o niego się nie troszczył i nie miał się do kogo przytulić. Ale czujna Włócznioróżka dbałą była o każdego członka swego stada, to też niejednokrotnie odpowiadała czule na

smutny głos sieroty i wreszcie, zdaje się przypadkiem, znalazł się Krętorożek u boku jej i grzał się obok swego dawnego nieprzyjaciela — Rogaczka.

Następnego poranku Włócznioróżka zdawała się uznawać Krętorożka za swe drugie dziecko; obtarł się on bowiem kilka razy o swego towarzysza i pachniał jego zapachem. I gdy Rogaczek dobrał się do piersi swej matki i połykał ciepłe jej mleczko, stanął zgłodniały Krętorożek po drugiej stronie i pociągał śmiało za drugą pierś. W ten sposób znaleźli się dawni nieprzyjaciele obok siebie i dzielili między sobą prawa synowskie, a rywalka matki małego sieroty stała się jego matką.

VIII.

Żadna inna owca nie mogła dorównać Włócznioróżce w bystrości umysłu. Znała ona teraz wszystkie zakątki górskie i wkrótce takie zyskała uznanie, że jednogłośnie została uznana za przewodniczkę. Krętorożek pozostał przy niej, ale pomimo macierzyńskiego uczucia, jakim go otaczała, nie okazywał on wdzięczności swej przybranej matce, a z Rogaczkiem był w ciągłej walce i pomimo, że ten dzielił się z nim maczynym mlekiem, jednak uważał go za swego rywala i coraz to wymyślał nowe sztuczki i figle. Rogaczek jednak był już teraz lepiej przygotowanym i umiał się dobrze bronić, tak, że Krętorożek dostał za swe zabiegi kilka dobrych ude-



W ten sposób znaleźli się dawni nieprzyjaciele obok siebie.

rzeń w bok i znowu uregulowały się między niemi stosunki.

W czasie lata rosły więc oba obok siebie, żywiąc się tym samym pokarmem, ale każdy był inny: Krętorożek — krępy, ciężki z rogami wielkimi, ale grubemi i pokurczonemi; Rogaczek — zgrabny, zwinnie, o pięknych prostych rogach, tak że go już nie Rogaczkiem, ale Rogaczem nazwać trzeba było i pod tym nawet imieniem z dodatkiem „dzielny” był on znany w całej tej okolicy.

Oba barany nietylko rosły na cieple, ale i stawały się coraz mądrzejsze. Poznały wszystkie prawa życia owczego: wiedziały więc jak wydać ostrzegawczy gwizd, gdy coś spostrzeża, jak sapnąć, żeby dać znać o grożącym niebezpieczeństwie. Znały wszystkie drogi i nawet same umiały zaprowadzić do pagórków solnych.

Zygzakowate skoki w ucieczce przed wrogiem umiały tak dobrze jak i sztywnonogie skoki, które są potrzebne na gładkich, ślizkich skałach. W tem przewyższał Rogacz nawet matkę swoją.

Już oddawna obydwaj baranki żywiły się same i pasły się na równi z innymi, nie dbając już o mleko matki, która nawet teraz już przestała karmić, gdyż musiała nabierać ciała i tłuszczu na zimę. Wprawdzie nie sami ustąpili od tego smacznego śniadania, ale zaczynało ono być coraz skąpsze, a rogi ich coraz większe, tak że nie dozwalały im się schylać. Słowem, zanim śnieg pokrył góry, byli obydwaj zdolni do samodzielnego życia.

W stadzie oprócz małych tegorocznych jagniąt, był jeden starszy baranek, który uważał się za bardzo mądrego i nie chciał już słuchać przodownicy, za co wkrótce skóra jego stała się ozdobą chaty Scottego. Nim więc zima nadeszła stado zmniejszyło się o kilka sztuk. Ale już i między pozostałymi wszczął się jakiś niepokój. Jagnięta były już wszystkie odstawione i szukały same pożywienia, a zato matki nabrały tłuszczu i pokryły się miękką żółtawą sierścią, tak że wydawały się młodsze i piękniejsze. Już teraz nie bały się one baranów, przeciwnie szły nawet na wysokie góry, żeby spotkać się z ich stadem.

Na jednej z takich wycieczek spotkały się z dwoma pięknymi młodzieńcami i zamieniwszy ze sobą znaki, oczekiwały zbliżenia. Barany ukazały się w pięknej postawie, dumne ze swych rogów i siły i zobaczywszy stado owiec, podskoczyły ku niemu. Owce cofnęły się jednak onieśmielone i skierowały się w bok, tak jakby chciały uciec. Podnieciło to jeszcze bardziej młodzieńców i zaczęli gonić stado. Dogoniwszy, przystanęli i spojrzeli na siebie złowrogo — dotychczasowi przyjaciele, zabierali się do walki: natarli, potężne ich rogi uderzały o siebie, tak że z nich drzazgi leciały. Po kilku minutach mniejszy baran znalazł się pod spodem, większy odniósł zwycięstwo. Jeszcze chciał gonić tamtego i dołożyć mu na pożegnanie, ale zwyciężony nie czekał i znikł wśród skał, pięknorogi zaś zwycięzca przyłączył się do przyglądającego się stad-

ka owiec, został przyjęty bez oporu i stanął na ich czele.

Na Krętorożka i Rogacza nie zwracano żadnej uwagi. W strachu przed wielkim baranem, który stał się panem gromady, trzymali się jak najdalej, wiedzieli bowiem, że skóra ich może dobrze ucierpieć w bliskości jego rogów.

Piękny baran zaś odsunął przodownicę i sam zajął jej miejsce, dbając o bezpieczeństwo i dobro stadka, wprawdzie nie bez przymieszki męskiej samozachowawczości, która go ciągnęła do najlepszego pożywienia i najszybszej ucieczki w razie niebezpieczeństwa. Za to posiadał on jeszcze wielką znajomość okolicy i doświadczenie, tak że nie brakło im nigdy pożywienia, nawet w czasie najsroźszej zimy. I gdy wszystkie doliny osypane były śniegiem, wybierał on grzebieniaste stoki skał, gdzie wiatr oczyszczał ze śniegu przeszłoroczną trawę i żaden wróg nie miał możliwości dotrzeć.

IX.

Nadeszła znowu wiosna ze swemi podniecającymi dźwiękami i uczuciami.

Pięknorogi baran już dawno odłączył się od stada owiec; wspólne ich życie trwało do połowy zimy i owce coraz mniej okazywały chęci do słuchania go, tak że często błąkał się sam godzinami, aż pewnego dnia nie powrócił, a stado pozostało do końca zimy pod przewodnictwem Włóczniorożki.

Około 1 czerwca przyszyły na świat młode jagnięta. Niektóre matki miały po dwa, Włócznioróżka zaś, tak jak poprzednio, tylko jednego i ten tak pochłonał jej uczucia, że Rogaczek został zupełnie odsunięty. Nie mogła ona również wypełnić swych obowiązków przodownicy i pewnego dnia, gdy najspokojniej karmiła swe mialeństwo i bawiła się jego ogonkiem, inna owca wydała gwizd ostrzegawczy. Wszystkie owce usłuchały i skamieniały, ale jedna nie chciała i skoczyła ku Włócznioróżce, właśnie w chwili gdy rozległ się strzał: ta padła nieżywa, a obok niej runęła z głośnym jękiem Włócznioróżka. Podniosła się jednak natychmiast i zapomniawszy o bólu, oglądając się dziko za swem jagnięciem, skoczyła w górę za innymi. Znowu rozległ się wystrzał i teraz ujrzała swego prześladowcę: był to ten sam, przed którym w zeszłym roku tak szczęśliwie uszły jagnięta. Był on daleko, ale kula świsnęła jej koło nosa. Skoczyła więc w innym kierunku po przez grzbiety gór, przez co oddzieliła się od stada. Ujrawszy się osamotnioną, zabeczwała żałośnie, tak z bólu, jak i za swem jagnięciem. Stanęła jednak prosto na nogi i po wąskiej, skalnej ścieżce, popędziła w dół, zostawiwszy myśliwego poza skałą. Z góry na dół, z dołu do góry, aż wreszcie znikła zupełnie z oczu Scottego.

Tymczasem ten cieszył się, ujrawszy plamy krwi na ziemi i szedł za nimi, śmiejąc się zwycięzko.

Wkrótce jednak ślady znikły i myśliwy musiał zawrócić, wymyślając na swą niezręczność.

Włócznioróżka tymczasem stado dopędziła, a obok niej znowu biegło małe jagnię. Instynkt mówił jej, że tylko ucieczka w górę może zapewnić bezpieczeństwo. Dążyła więc na Szczyt Barani pomimo piekającej rany, wciąż zakryta szeroką ścianą skalną, aż wreszcie przystanąła wyczerpana i obejrzała się. Nic nie widziała wokoło siebie: ani przyjaciół, ani wrogów. Nie mogła jednak zatrzymać się długo i znowu podążyła, aż dotarła do granicy lasów. Tutaj nie znalazła jednak bezpiecznego schronienia i znowu drapała się w górę, skąd ujrzała biały pas śniegu nanieiony wiatrem w głębokim jarze. Tam ją coś gnało. Ostry ból przeszył ją przez biodra, z obu stron których widać było ciemne, krwiste plamy. Pragnęła ochłody i gdy tylko dotarła do białej plamy, rzuciła się na nią i chłodziła rany w zimnym śniegu.

Przy tak ciężkiej ranie można było oczekiwać tylko jednego... i w dwie godzin potem nadszedł koniec...

A małe jagnię? Stało tam i patrzyło na matkę wielkimi, zdziwionymi oczami. Nie mogło sobie wytłumaczyć tego wszystkiego. Wiedziało tylko, że marznie i że jest głodne, a matka, która dotychczas dawała mu wszystko: pożywienie i ciepło i opiekę, leżała teraz zimna i niema... Nic z tego nie rozumiało i nie wiedziało, co z sobą zrobić. My jednak wiemy, że inaczej stać się nie mogło, że po takim wypadku musiała



A małe jagnię stało tam i patrzyło na matkę wielkimi
zdziwionymi oczami...

nastąpić śmierć, wcześniej czy później; wiedziały to dobrze kruki i czekały...

Czyż nie lepiej było, nie miłosierniej, gdyby biedną sierotkę dosięgła kula, tak jak trafiła matkę jego?

X.

Rogacz był już teraz pięknym baranem o wspinałej postawie, z długimi, zagiętymi rogami. Krętorożek urósł również, ale nie był tak wysoki jak tamten, a rogi jego wyglądały szczególnie, bo były krótkie, grube i pokręcone.

Znowu nadeszła jesień i znowu przyłączył się do stada wielki baran. W Rogaczu również zaszła pewna zmiana: oto zaczął on zbliżać się do niektórych owiec, ale gdy to zauważył wielki przybysz, zabrał się natychmiast do wypędzania młodych baranów. Zanim jednak do tego doszło, Rogacz, Krętorożek i inne barany w ich wieku, same opuściły stado, gdyż u baranów zwyczajem znanym wszystkim jest to, że barany doszedłszy do wieku męskości, nie przebywają z matkami i same już zdobywają życie.

W ciągu następnych czterech lat prowadził więc Rogacz z dwunastoma towarzyszami życie swobodne i pełne przygód. On był przodownikiem, gdyż odziedziczył po matce bystrość i nabył od niej wiele doświadczenia i wiedzy. Wędrował też w dalekie okolice, poznawał różne zakątki górskie, nowe drogi i wiodło mu się coraz lepiej. Nie przyłączał się jednak do żadne-

go stada owiec, nie dlatego, żeby nie chciał, ale tak się jakoś złożyło. Nieobarczony więc rodzinnymi kłopotami, rozwijał swe zdolności i doprowadzał czujność swą do doskonałości, a z każdym rokiem stawał się coraz piękniejszym.

Współzawodnikiem jego zawsze i wszędzie był Krętorożek. Nieraz próbował ten zawadzaka strącić ze skały swego towarzysza, ale nie udawało mu się to i nawet sam musiał na tem ucierpieć. Rogacz bowiem skakał po skałach po mistrzowsku, zdawało się, że nie dotyka nawet rozdzielonemi kopytkami ziemi, a unosi się w powietrzu jak ptak, kpiąc sobie ze wszystkich wrogów, goniących go na swych niedołączonych nogach. A gdy grzbiet jego oświetliły promienie słońca, wydawał się bardziej duchem, niż żywą istotą, duchem niemającym żadnego ciężaru i nieobawiającym się upadku; a jednak ważył on pewnie z trzysta funtów i mógł się pochwalić rogami o pięciorocznych pierścieniach!

A jakież to były rogi! Wszyscy jego towarzysze odznaczali się wspaniałemi rogami, które doskonale licowały z ich usposobieniem i zdolnościami: jedne były półksiężycowato wygięte, inne grube lub cienkie. Rogacza zaś rogi wyginały się falisto w trzyćwierci koła, a każdy znak roczny opowiadał coś innego o jego życiu, zaczawszy od wierzchołka: pierwszy znak mówił o jego wieku jagnięcym, gdy mu wyrosły dwa włóczniowate wyrostki, które mu takie usługi oddawały w czasie zdobywania pierwszeństwa. W drugim roku wyrósł mu dłuższy i grubszy

pierścień, a w dwóch następnych latach narosły jeszcze silniejsze, ale dużo krótsze, ostatni zaś pierścień dowodził świetnego odżywiania, gdyż był dłuższy, szerszy i jaśniejszy niż w latach poprzednich. Pod osłoną wystających podstaw rogów leżały jego piękne oczy: ciemno brunatne w dzieciństwie, żółto brunatne w młodzieńczym wieku, a teraz w chwili jego rozkwitu, błyszcząły złotem lub bursztynem o ciemnej, bezdennej głębi, przez które przeziarał cały świat boski i odbijał się w jego mózgu myślącym.

Dla kogoś, kto żyje naprawdę, niema większego szczęścia nad poczucie życia na każdym kroku. Było zatem rozkoszą dla Rogacza mierzyć się teraz z innemi swą siłą, stanąć na kopytkach na wązkim występie skały i zrobić stamtąd skok ponad ziejącą przepaścią na drugi taki sam wierzchołek leżący po drugiej jej stronie, mierząc to wszystko nieomylnym wzrokiem.

Również wielką przyjemność miał w gonitwach z pumą, w których naturalnie odnosił zwycięstwo, albo w wypłaszaniu stada czarnogoniastych jeleni, które nieprawnie nachodziły jego okęg.

W tych wszystkich zapasach występowała piękność jego w całej pełni, a gdy jeszcze uniesiony został uczuciem miłości, było doprawdy czem się zachwycać.

W nadmiarze siły robił on nieraz skoki wysokie na sześć stóp tam, gdzie wystarczyłaby jedna stopa i pędził, narażając się na różne niebezpieczeństwa.

Czego on szukał, za czem gonił?

Pewnego dnia, pędząc na czele swego młodzieńczego stada, wpadł na ślady drugiego stada i, wiedziony instynktem, szedł dalej tym śladem. W kilka chwil potem można było ujrzeć drugie stado: było to stado owiec, które w okamgnieniu uciekły, ale natrafiwszy na skałę, zamykającą im ucieczkę, przystały i po dłuższym parlamentowaniu dopuściły barany do stada.

Gruborożne owce nie żyją w jednożeństwie, lecz najpiękniejszy i najdzielniejszy w stadzie obejmuje panowanie nad całym stadem owiec, a każdy współzawodnik zostaje odparty w śmiertelnym boju.

Dotychczas wszyscy towarzysze żyli ze sobą w wielkiej zgodzie, obecnie nastąpiła jednak zmiana. W okamgnieniu stanął Rogacz w postawie wyzywającej i z dzikiem sapaniem wzywał towarzyszków do walki. Pomimo jednak tak wielkiej ilości dzielnych młodzieńców, żaden nie śmiał mu się opierać i wszyscy ustąpili, pozostawiając go zwycięzcą pięknego stada owiec.

Jeśli piękność i bohaterstwo mają znaczenie w świecie zwierzęcym, to Rogacz powinien być ubóstwianym w swym stadzie. Był on bowiem rzeczywiście bohaterem odważnym i dzielnym, trzymającym pierwszeństwo między baranami, a siła jego, wielkość i wspaniałe rogi czyniły z niego tak piękne zwierzę, iż z łatwością zdobył odrazu pierwszego dnia serca owiec.

Drugiego dnia pojawiły się w okolicy tej niespodzianie dwa barany. Jeden z nich był pięk-

nym, wielkim zwierzem, nie ustępującym w niczem Rogaczowi, chyba tylko mniejszemi rogami, a drugi, był to Krętorożek! Przybysz sapnął wyzywająco i zbliżywszy się, wierzgnął nogami, jakby chciał powiedzieć: „jestem lepszy od ciebie i musisz mi ustąpić.”

Oczy Rogacza zabłyśły ogniami. Potężny jego kark skurczył się, podrzucił brodą do góry i na dół, potrząsnął rogami, położył uszy w tył i skoczył na przeciwnika.

Rozległ się trzask zetkniętych rogów, walka rozpoczęła się: przybysz, stojąc wyżej, miał na razie przewagę, ale po chwili oba barany cofnęły się, zmierzyły rozwścieczonemi oczami odległość i stanawszy mocno na zrębach skalnych, natarły na siebie gwałtownie, aż posypały się odłamki rogów. Wszakże obaj byli w kwiecie wieku i pełni sił!

Tym razem zwycięstwo przechylało się na stronę Rogacza. Stało się to już pewnem przy drugim uderzeniu. W chwili bowiem gdy się odwrócił, zaczepił się jego lewy róg o prawy przeciwnika, tak, że pomimo silnego uderzenia w bok, nie stracił równowagi; był to jego rzeczywisty ratunek, gdyż żaden baran nie ma tyle siły odpornej w tylnej części ciała, aby znieść gwałtowną napaść. W ten zaś sposób, Rogacz, zaczepiony rogami, odzyskał szybko przytomność i stanął na nogach właśnie w chwili, gdy wróg jego wstrząśnięty własnym atakiem, stracił równowagę i padł z brzegu skały w przepaść. W kilka chwil potem odgłos spadającego ciała

oznajmił, że Krętorożka spotkał los, jaki on sam szykował swemu bratu mlecznemu. Walki baranów muszą być uczciwie prowadzone. Tymczasem Krętorożek, nie czując się na siłach do otwartej walki, usiłował użyć podstępu i sam wpadł we własne sidła.

Owca górską nie może wytrzymać spadku z wysokości 200 stóp i ginie zabita.

Teraz zwrócił się Rogacz z podwójną wściekłością przeciw drugiemu wrogowi i wkrótce ten leżał zraniony na ziemi, podniósł się jednak i popędził tam, skąd przybył. Rogacz gonił go przez chwilę, zmuszając do dalszej ucieczki, i dopiero, gdy ten znikł mu z oczu, powrócił tryumfująco do stada, by żyć z niem dalej spokojnie i szczęśliwie.

XI.

Myśliwy Scotty wyniósł się z tego okręgu, gdyż warunki polowań stały się coraz uciążliwsze. Owiec było coraz mniej, a jednocześnie zasłyszał o nowych kopalniach złota w Kolorado i tam pociągnął, pozostawiając swą starą chatę.

Od tej pory przeszło pięć lat szczęśliwych dla owiec, które korzystając z nieobecności wroga, mogły rozmnażać się swobodnie i obficie. Przez te pięć lat Rogacz był panem całej okolicy, zawsze pełen siły i bystrości. Stado swe prowadził w myśl swej matki. Przedewszystkiem unikał wszelkich niżej położonych płaszczyn i lasów, wszędzie bowiem było pełno kry-

jówek, gdzie mogli czyhać różni wrogowie, co nie zapewniało bezpieczeństwa; natomiast otwarte, wietrzne szczyty dawały zawsze rękojmię, że tam żadne zwierzę nie mogło ich napaść niepostrzeżenie. Nawet i solne miejsca znajdowały się na górze, tak że owce mogły zaspokajać swe potrzeby bez niebezpiecznych wędrówek. Uczył on swe stado, by nigdy nie wędrowało po grzebieniu szczytowym, lecz trzymało się jednej strony, tak żeby mogło zbiedz niepostrzeżone. Potem zrobił on jeszcze jedno ważne odkrycie, mianowicie: ukrywanie się.

Poprzednio wszystkie owce miały zwyczaj ucieczki, w chwili, gdy zauważyły myśliwego, same będąc niepostrzeżone, ale to było dobre w czasie, gdy posiłkowano się łukiem i strzałą.

Obecnie, gdy dalekonośne, wielonabojowe strzelby zapanowały na świecie, było to zupełnie bezowocne. Rogacz nauczył się więc nowego sposobu: oto starał się wtedy zachować cichutętko, położywszy się na skale, od niego przyjęły ten zwyczaj wszystkie owce. W dziewięciu na dziesięć wypadków udało mu się oszukać myśliwego.

Wiadomo, że dla gromady jest lepiej, jeśli czasem obejmie panowanie nad nią despotyczny ale mądry władca, zapewnia to lepszy rozwój.

To też i ukazanie się Rogacza wśród owiec było chwilą epokową. Odznaczał się on bowiem stanowczo wyższą inteligencją. Potomstwo jego co roku powiększało się i opanowało cały szczyt góry Baraniej, a było ono zdrowsze i mą-

drzejsze niż poprzednie owce górskie, przybywało ich też z każdym rokiem więcej, dzięki, naturalnie, wywędrowaniu Scottego.

Ten pięcioletni okres pozostawił ślady i na zewnętrznym wyglądzie Rogacza: ciało zaokrągliło mu się, a mięśnie nabrały mocy niebywalej. Głowa jego pozostała zawsze ta sama, z białą plamką na nosie, a szlachetne oczy błyszczały wciąż młodzieńczym zapałem. Ależ jak zmieniły się jego rogi! Przedtem były niezwykajne, obecnie — jedyne. Potężne łuki, w których zawarta była opowieść całego jego życia, tworzyły teraz całe koło i ćwierć; mówiły one o latach radości i nędzy, a jeden prążkowany skureczony pierścień wspominał o roku strasznej zarazy, od której padały jagnięta i ich matki masami. Nawet on sam wtedy zachorował, tylko dzięki stalowym swym siłom podźwignął się; ale pierścień roczny na jego rogach pozostał pamiątką tego na wieczne czasy, gdyż nie przyrósł zupełnie, i dla tych, którzy to czytać umieli, świadczył, jak pomnik, o nędzy, jaką owce w tym roku przeszły (1889).

XII.

Tymczasem stary myśliwiec powrócił i zamieszkał napowrót w opuszczonej chatce. Został ją bardzo zniszczoną, dach pokryty darnią zapadł się, ale Scotty patrzył na to obojętnie i wcale nie zabierał się do naprawy; zajmowała go bowiem tylko myśl, jak przedstawiają się te-

raz widoki polowań. Wziął więc fuzję i poszedł na dobrze mu znane pasmo górskie. Odrazu spostrzegł dwa wielkie stada gruborożnych owiec i postanowił pozostać. Teraz dopiero zaczął naprawiać swą chatę, co przejęło strachem i trwogą wszystkie zwierzęta.

Scotty przez ten czas postarzał się bardzo: wprawdzie ręka jego była równie silna i pewna, ale oczy straciły dawną bystrość i musiał nieraz posiłkować się lunetą.

Następnych tygodni pooglądał starannie wszystkie ściany górskie i niejednokrotnie oczy jego spoczęły na potężnych kształtach Rogacza. Gdy go ujrzał poraz pierwszy, wykrzyknął: „Nieba! cóż za rogi!” a potem dodał: „będą moje.”

I od tego dnia zabrał się do spełnienia danego sobie słowa. Ale owce, które przed latami Scotty gonił, były bardziej nieostrożne niż obecne i przeszły miesiące za miesiącami, zanim zobaczył z blizka pożądanego barana. Rogacz widział wprawdzie myśliwego nawet z niewielkiej odległości, ale ten o tem nie wiedział.

Niejednokrotnie widział Scotty barana na wysokim zrębie skalnym, ale choć czekał godzinami cierpliwie, nie ujrzał go bliżej, czasem rzeczywiście baran wywędrowywał, ale najczęściej krył się w bezpiecznym miejscu niedaleko myśliwego i sam bezpieczny, obserwował jego ruchy.

Właśnie w tym czasie odwiedził Scottego pewien hodowca bydła, Lee, wielki amator psów i koni. Psy te nadawały się również do polowań i Lee zaproponował staremu myśliwcowi

psów tych użyć na polowanie na barany, na co Scotty zgodził się chętnie, żądał tylko, aby pocze-kać, aż ukaże się gdzie Rogacz.

XIII.

W górach na południe od Szczytu Baraniego, rzeka Yak wypływa z głębokiego jaru, mającego przynajmniej 500 stóp głębokości. Bezpośrednio zaś na południu leży pagórkowata dolina, łącząca się z jarem rzeki Yak i w końcu wznosząca się jako długie wzgórze ponad łożyskiem szumiącej rzeki.

Dolina ta stanowi dobre pastwisko owiec i zdarzyło się, że właśnie na tę polankę trafił Scotty ze swym znajomym Lee i trzema jego psami wilczemi w chwili, gdy Rogacz pasł się na niej spokojnie. Ostrożnie przystanęli i zbadawszy położenie, podążali w ukryciu ku upatrzonemu punktowi. Ale stała się zwykła rzecz: o spodziewanej zdobyczy ani mowy! Wprawdzie widać było ślady barana, ale jego ani widać ani sły-chać. Byłby znowu Scotty uwierzył, że się dał zwieść łudzącym śladom, gdyby nie psy, które zwęszywszy wszystkie zakątki, podskoczyły naraz naprzód z głośnem ujadaniem, poczem dało się widzieć potężne, szare zwierzę z białą gwiazdą.

Był to Rogacz, cudowny baran górski. Przeska-kując nizkie zarośla, skacząc po zrębach skal-nych, przechylając się i kołysząc, bujając gibko, pewnie, błyszcząc poruszał swemi wielkimi ro-gami na głowie tak lekko, jak pani strojna kol-

czykami, potem wskoczył w ukryte miejsce, gdzie stało jego stado i znikł.

Już kilka kul przeleciało mu około głowy, gdy w tejże chwili wyskoczyły wszystkie trzy psy i wypadkiem zasłoniły sobą uciekającego barana więc zaprzestano strzelać.

Naprzód, wciąż dalej, baran znowu na czele swego stada, a psy za niemi, ponad wyżyną pędziły, jakby płynęły, żeglowały lub fruwały; co raz to na innym szczycie było ich widać.

Już, już chwilami zdawało się, że dosięgną swej ofiary, ale stanowczo owce miały przewagę na poszarpanych skałach. Tymczasem obydwaj myśliwi biegli za niemi, jeden z prawej strony, drugi z lewej.

Rogacz odcięty w ten sposób od szczytu, rzucił się w stronę polany, przylegającej do jaru. Teraz rozpoczęły się prawdziwe wyścigi. Naprzód, naprzód, coraz bardziej ku południowi! Teraz psy zyskały na czasie, mając równy grunt pod nogami i już miały dosięgnąć najbliższej będącej owce, gdy wtem Rogacz przystanął i puściwszy stado naprzód, znalazł się na końcu. Znowu natrafiono na pagórki, i owce, mając tu przewagę nad psami, odsunęły się od nich znacznie. Dwa, cztery, sześć kilometrów dzieliło ich.

Wkońcu dotarły do brzegu skalnego, tuż nad jarem i stanęły przytulone do siebie pełne strachu, tuż pod niemi widniała głęboka przepaść, za niemi zaś trzy krwiożercze psy i dwu jeszcze bardziej krwiożerczych ludzi.

W kilka sekund potem ukazał się Rogacz. Widząc się otoczonym niebezpieczeństwami ze wszystkich stron, odwrócił się i stanął do walki, gdyż dzikie zwierzę nie poddaje się nigdy.

Znajdował się na takiej odległości od psów, że myśliwi mogli strzelać. Psów nie bał się, ale fuzje oznaczały pewną śmierć. Nie było tedy żadnej możliwości ucieczki. Granitowe ściany skalne były twardsze i bardziej niemiłosierne od ludzkiego wroga. Już tylko tysiąc stóp dzieliło go od psów, pięknych, odważnych stworzeń, żądnych walki i zwycięstwa, i nie mniej tryumfujących już od myśliwych. Tam czekała pewna śmierć, a tu wątpliwe nadzieje.

Nie było chwili czasu do stracenia, Rogacz-przodownik musiał działać. Trzydzieści stóp poniżej, po środku zawrotnej przepaści był jeden jedyny wystający wyrąb skalny, nie większy od nosa, śpiczasty jak igła. Rogacz skoczył na niego, a po chwili nie dłuższej od jednego uderzenia serca, skierował skok swój na drugą stronę przepaści, gdzie bystre jego oko dojrzało znowu podobny zrab. Silne jego nogi odbiły się i poniosły go, a stąd dalej i dalej, naprzód i w tył, na prawo i lewo, czasem na jaką niewielką nierówność skały, na której jego elastyczne kopyta zatrzymały się tylko po to, aby przeskoczyć na drugie miejsce. I tak dalej, robiąc skoki po piętnaście do dwudziestu stóp, dotarł do wyskoku skalnego gdzie mógł bezpiecznie spocząć.

Za przykładem jego, podniecane gwałtowną ucieczką, leciały za nim wszystkie owce: wielki wodospad owczy. Gdyby Rogacz choć raz chybił, byłyby wszystkie przepadły, dzięki jego zręczności i im udawało się szczęśliwie: jedna za drugą przeskakiwały przepaście, zatrzymując się tak długo, jak ich przewodnik, opanowując najmniejsze wyniosłości swemi mięśniami i kopytami z nadzwyczajną zręcznością i równowagą.

Ale właśnie w chwili, gdy ostatnia owca dotknęła drugiego zrębu skalnego, zakotłowały w powietrzu trzy żółto-białe stworzenia z przeraźliwym krzykiem, i znalazły się w okamgnieniu w przepaści.

Nie cofające się przed niczem, nieustraszone psy, nie wahające się nigdy w pogoni za wrogiem, nie przypuszczały nawet, że w tym wypadku odwaga ich równać się będzie ich zgrubie. Gdy się opamiętały, było już zapóźno.

Rogacz stał bezpieczny u brzegu rzeki, a w nurtach jej ujrzął bezkształtną żółto-białą masę, w górze zaś słychać było gwizdy i nawoływania myśliwych.

Scotty i Lee stali oszołomieni na brzegu przepaści. Owce i psy znikły, jedne i drugie zdawały się stracone bezpowrotnie.

Scotty przeklinał, a Lee'go dusiły straszne uczucia, które ten tylko zrozumieć potrafi, kto wie, co to jest stracenie w tragiczny sposób rasowych psów.

— Brau, Rollo, Ida—wołał rozpaczliwym głosem.—Ale jedyną odpowiedzią był świst i gwizd wschodniego wiatru, unoszącego się z jaru.

XIV.

Lee był człowiekiem młodym, łatwo poddającym się wrażeniom, to też po stracie trzech swych przyjaciół, chodził przygnębiony i przez kilka dni nie chciał nawet słyszeć o polowaniu. Scotty zaś chodził wciąż ze swoją lornetką i badał okolicę, aż pewnego dnia krzyknął:

— Do djabła! czyż to nie jest stary Rogacz! Ja byłem pewny, że on gnije na dnie przepaści, a przecież to są jego potężne rogi!

Z tego niespodziewanego wrażenia aż przyśiadł na ziemi.

Lee porwał lornetkę, krew uderzyła mu do głowy, zemsta nim owładnęła:

— Mój biedny stary Brau, dobry Rollo, dobra, wierna Ido, za was teraz zginie i on, musi zginąć napewno!

Rozpoczęły się przygotowania i plany.

Mało które zwierzę dzikie może ujść uplanowanym prześladowaniom i podstępom. Wiedział o tem Scotty, a przytem znał doskonale okolicę i zwyczaje baranów.

— Z pewnością nie polecą on z wiatrem, ani zejdzie ze skał — mawiał — ale pewnie pójdzie na Szczyt Barani. Jeśli mnie ujrzy na zachodzie, nie pójdzie tam, niech więc pan idzie na wschód i tam się ustawi. Zdaje mi się, że on skrzyżuje ślad przy pagórku granicznymi.

Lee poszedł na wskazane miejsce. Scotty czekał dwie godziny, potem udał się na jeden z grzbietów górskich i wyciągnął ręce, poruszając nimi kilka razy. Wiedział on, że baran go dostrzegł, chociaż on jego nie widział. Potem stary myśliwiec przeczołgał się w ukryciu ku południowi i zbliżył się ponad miejsce, gdzie baran mógł się znajdować. Nie czekał, żeby mu się ukazał Rogacz, ale chciał żeby ten go zauważył.

Lee na swem stanowisku zobaczył wkrótce potężnego barana, jak z trzema owcami schodził w lekkich podskokach z góry i znikł w dolince otoczonej sosnami. Po chwili jednak w szalonym pędzie, z uszami położonemi, pędził, jakby czemś przestraszony. Nie było jednak słyhać za nim wystrzałów lub okrzyków nawołujących Scottego, ale wycie stada wilków.

Na skalistym gruncie nietrudno było owcom wziąć przewagę nad wrogiem, ale tutaj, na płaskiej polance wilki były panami i po chwili ukazało się pięć wielkich, kudłatych zwierząt.

Owce, w śmiertelnym strachu pędziły naprzód w porządku zależnym od szybkości nóg. Najpierw pędził Rogacz, za nim w odległości 10 metrów owce, za nimi zaś o 40 m. odległe wilki, przybliżające się do nich z każdym krokiem. Długoletnie doświadczenie nauczyło owce szukać ucieczki w skałach i tam też kierował się Rogacz. Ale już wilki dopędzały ostatnią z szeregu owcę i ta wydała rozpaczliwy bek. Słyszając to Rogacz, który właśnie dosięgnął grzbietu po-



Wilki z tryumfującym wyciem zbliżały się pewne zdobyć...

nad przepaścią, przystanął i odwróciwszy się na wąskiej ścieżce, przysunął się blisko skały, tak żeby wszystkie owce mogły przejść i ratować się dalszą ucieczką.

Wilki z tryumfującym wyciem zbliżały się, pewne zdobyczy: na wąskiej ścieżynie musiały jednak przejść pojedynczo. Baran stał w pogotowiu. Pierwszy wilk skoczył, ale jego krwiożercze zęby i potężne pazury odbiły się o mocne rogi, a przytem głowa dostała takie uderzenie, że zwierz padł na biegnącego za nim towarzysza i obaj razem znaleźli śmierć w przepaści.

Teraz rzuciły się drugie naprzód. Baran nie miał nawet czasu ruszyć się z miejsca i poprawić się do ataku, działał tylko głową i swemi cudotwórczemi rogami. Tak jak w czasach jagnięctwa swego nastawił szpice: w okamgnieniu nadział na nie wilka, odrzucił go w bok, potem drugiego, i wreszcie mógł się ustawić do pełnego ataku. Gdy zbliżył się ostatni wilk, Rogacz skoczył na niego jak piorun i przygwoździł go do skały, potem podniósł go na rogi jak szmatę i wrzucił w przepaść, gdzie wilk zrobiwszy kilka obrotów w powietrzu, znikł na zawsze.

Dzielny Rogacz uniósł swą promieniejącą głowę, z nozdrzy jego rozległo się przeciągłe sapnięcie, a oczy błyszczące rozglądały się badawczo wokoło. Po chwili zwrócił się w lekkich podskokach w stronę kryjówki owiec, które tak sprytnie obronił.

Młody Lee obserwował całą scenę z ukrycia względnie dość blizkiego. Oczy jego pały podziwem i zachwytem.

Rogacz znajdował się o 50 m. od niego oddalony: przedstawiał cel, jakiego nawet w najśmielszych snach nie mógł wymarzyć sobie Scotty. Ale Lee był świadkiem takiego czynu, o jakim wyobrażenia nie miał, a jaki pobudzał w nim krew do falującego ruchu. Nie pożądał on teraz życia tego bohaterskiego stworzenia, ale z błyszczącymi oczami siedział wzruszony i szeptał:

— Waleczny bojowniku, nie pytam teraz, co zrobiłeś z memi psami, wiem, że walczyłeś uczciwie w obronie swojej i swego stada. Nigdy nie będę walczyć przeciw tobie, możesz być zupełnie spokojny, że cię przeze mnie nic złego nie spotka.

XV.

Był niegdyś pewien podły człowiek, który, nie mogąc się niczem odznaczyć, chciał wstawić swe imię zburzeniem najpiękniejszych budowli na ziemi. Podobnie jest z zapalonymi myśliwymi. Im szlachetniejsze i piękniejsze jest zwierzę, tem większa przyjemność i przyczyna sławy.

Na wielkiego Rogacza zwrócił uwagę niejeden myśliwy i przez następne lata był on nie tylko prześladowany, ale i sławny, tak że sława jego sięgała aż do miast. Handlarze osobliwości przeznaczali olbrzymie sumy za głowę, która nosiła

te potężne rogi, stawiali bajeczną cenę za życie, które je stworzyło.

Scotty, wечно będąc w nędzy, podniecony był jeszcze bardziej możliwością zdobycia tak wielkiej sumy pieniędzy, wymyślał coraz to nowe sposoby walki przeciw baranowi. Znowu przez kilka dni obszukiwał góry, wzięwszy do pomocy innego myśliwego, ale obydwaj, pomimo starań i wysiłków, barana nie ujrzeli, tak że towarzysz znudzony wrócił do siebie, by w inny bardziej pewny sposób zdobyć pieniądze. Scotty zaś zabrał się do przygotowań na długie, nieprzerwane polowanie. Jego ponure oczy miały w sobie coś tak stanowczego, że można było napewno przypuszczać zwycięstwo. Fuzja, kołdra, fajka, zapalki, tabaka, garnek, kawałek pieczonego mięsa i kilka funtów czekolady — stanowiły cały jego rynsztunek. Następnego dnia udał się z tem wszystkim na miejsce, gdzie pozostawił ślady Rogacza. Szedł za nimi po śniegu, odszukując skrętnie z pomiędzy śladów innych owiec. Czasem napotykał miejsca legowiska owiec, ale pomimo że wciąż śledził lornetką, nigdzie nie mógł dojrzeć samych zwierząt.

Przenocował obok śladów barana, na drugi dzień postępował za nimi i po kilkogodzinnem chodzeniu doszedł do miejsca, gdzie napewno Rogacz musiał się zatrzymać, zapewne więc zauważył myśliwego i poznał, że jest prześladowany. Stąd ślady szły daleko, aż do obszerne-
nego pastwiska.

Scotty był niezmordowany. Całymi dniami szedł i szedł, a w nocy wchodził w znaną dziurę jak dzikie zwierzę, z tą różnicą, że jako człowiek cywilizowany palił fajkę. Czasami zdarzało się, że widział owce podążające ku południowi, aż wreszcie zapędził się za nimi na południowy kraniec wzgórz nad rzeką Yak, prosto przy północnym brzegu jeziora Białorybiego.

Dalej na południe leżała łąka Półksiężycowa, nierówna ze strony wschodniej, od północy zaś groził niestrudzony wróg, Scotty. Owce znalazły się w położeniu rozpaczliwym.

Dzielny Rogacz próbował zejść na niższe wzgórze wschodniego stoku; wtem usłyszał wystrzał i coś kłującego trafiło go w róg, a jednocześnie wyrwało trochę włosów z ramienia.

Oszło mi to Rogacza, wydał więc dźwięk, który przetłumaczony na język ludzki, oznaczałby:

— Ratuj się, kto może!

Stado rozproszyło się na wszystkie strony, niektóre owce uciekały nawet na otwartej przestrzeni. Ale Scotty na owce nie zwracał uwagi, jego myśl skupiała się jedynie około Rogacza. Co obchodziły go inne? Więc gdy Rogacz zwrócił się we wschodnim kierunku, Scotty sapiąc i przeklinając, poszedł jego śladami.

Rzeka płaskobrzeżna znajdowała się niedaleko. Baran skrzyżował lód i cały dzień kręcił się w tej okolicy, o ile możliwości na nierównym gruncie posuwając się z wiatrem w stronę północno-wschodnią.

Piątego dnia Rogacz i jego prześladowca znaleźli się około jeziora Terry. Okolicę tę znał Scotty doskonale i wiedział, że stąd ucieczka jest trudna, gdyż w stronie wschodniej znajdowało się mnóstwo zastawionych pułapek, a poza tem był zamknięty jar, o jednym tylko wejściu. Myśliwiec pozostawił ślady i zwrócił się na północną ścieżkę, którądy musiał przejść baran, tutaj więc czekał.

Nagle zadał wiatr zachodni, zwany chinook, jedyny wilgotny wiatr w Skalistych górach, sprowadzający śnieg w okolicach pagórkowatych i właśnie teraz wraz z nim zaczęły spadać płatki śniegu, a w pół godziny potem miotłała oślepiająca zawiejka śnieżna, tak że nie można było nic widzieć, nawet z odległości kilkunastu metrów.

Burza ta nie trwała długo, po dwóch godzinach ukazało się niebo czyste i wesołe. Scotty czekał jeszcze godzinę, a że barana dojrzeć nie mógł, wstał by znów znaleźć jego ślady. Znalazł je niedaleko, przykryte warstwą świeżego śniegu, Rogacz przeszedł niepostrzeżony i dzięki burzy śnieżnej, umknął przed swym prześladowcą.

O chinook! o ojczyźnie wietrze! Ty, który przynosisz widoki wiosenne i burze zimowe, ty, który pozwalasz rosnać trawie i pokrywać nią bujnie pagórkowate wyżyny, który wilgocią swą żywisz tę trawę, a zatem i te wszystkie zwierzęta, które trawę skubią, ty, który stworzyłeś tę całą wyżynę górską i wszystko co na niej oddycha, czyż ty jesteś tylko podmuchem powietrza, czy też

jak nas Grecy i Indianie uczą, czemś wyższem, bogiem myślącym, który najpierw stwarza, a potem stworzenie swe ochrania i pielęgnuje?

Dlaczego właśnie pojawiłeś się dnia tego i zakryłeś śnieżną zasłoną oczy krwiożerczego człowieka? Czyż nie stało to się w tym celu, aby nie skrzywdził twego wspaniałego tworu?

A czy to nie twoje dzieło było wówczas, w tym dawnym odległym dniu, gdy Rogacz ujrzał światło dzienne i za swą matką uciekał od czyhającego nań myśliwego?

XVI.

Scotty przypuszczał, że baran pod silnym naporem wiatru, udał się we wschodnią stronę doliny na wzgórze nad jeziorem Kintlax, gdzie przedtem często widywał go wędrującego. Prawdopodobnie trzymać się będzie przez cały dzień kierunku zachodniego, dopóki dąć będzie wiatr zachodni, ale w nocy, gdy wiatr się zmieni, pójdzie i on również na wschód. Dlatego też przemyślny myśliwiec nie poszedł za śladami barana, lecz na północ ku jezioru.

Na drugi dzień, gdy lornetował przestrzeń, dzielącą go od jeziora, ujrzał poruszającą się plamę. Bezwątpienia był to Rogacz. Scotty szybko pobiegł naprzód, ukrywając się przed wzrokiem samotnego zwierzęcia, aby go potem podejść z nienacka.

Po chwili spojrzął znowu i spostrzegł na wzgórzach odległym o jakie 500 m. swą ofiarę

w całej postawie. Przystanął tak, że obydwaj mogli się doskonale wzajemnie sobie przyjrzeć.

Myśliwy stał przez chwilę cicho, ale wkrótce wykrzyknął:

— No, mój dzielny Rogaczu, możesz już widzieć trupa głowę i skrzyżowane kości na mojej fuzji. Jestem śmiercią na twojej drodze i teraz nie ujdiesz mi cało. Rogi twoje należą już do mnie. A więc do szczęścia!

Podniósł fuzję, wypalił, ale odległość okazała się za wielką. Rogacz stał nieporuszony, dopiero gdy ujrzał obłoczek dymu, skoczył w bok, a kula padła niedaleko jego poprzedniego stanowiska w śnieg.

Rogacz pędził w stronę wschodnią poszarpanego brzegu jeziora, a Scotty wciąż za nim. Wytrwały, zacięty i uparty, nie tylko że nie zamierzał ustąpić, ale coraz bardziej zapalał się, postanowił walczyć do upadłego, nie ustąpić, choćby przyszło zginąć! Nic, tylko ten jeden cel miał przed sobą i dążył do niego prawie bezprzytomnie.

Przechodziły dni—jeden za drugim, a Scotty wciąż gonił i gonił, baran zaś wymykał mu się i uciekał. Już czasem zdawały się wysokocenne rogi być tak blisko, że Scotty widział przed sobą sumy obiecane, ale to były złudzenia. Zdawało się, jakby baran wiedział, że odległość 500 m. jest największą przy strzałach z fuzji i pozwalał prześladowcy swemu dosięgnąć tej tylko granicy.

Po jakimś czasie robiło to wrażenie, jakgdyby baran umyślnie wyszukiwał takich miejsc, by mógł widzieć swego wroga na otwartym miejscu. Raz dosięgnęła kula granicy, ale chybiła i na szczęście zawiął pomyślny wiatr zachodni, który ostrzegł Rogacza o niebezpieczeństwie i uchronił go przed następnym wystrzałem.

Tak przeszedł miesiąc. Przez cały czas baran był ciągle widoczny.

Dlaczego nie uciekł i nie pozostawił myśliwego po za sobą? Może dlatego, że musiał szukać pożywienia, które w zimie było bardzo skąpe. Człowiek miał mięso suszone, czekoladę i inne zapasy na czas dłuższy, a gdy się te wyczerpały, mógł zabić sobie zająca lub gęś i tem żyć cały dzień. Ale baran musiał godzinami wyszukiwać marnej trawki pod śniegiem.

To bezustanne prześladowanie nie pozostało jednak bez wpływu na wygląd Rogacza: wprawdzie oczy jego błyszczały tak jasno jak dawniej, a zręczne jego nogi chwytaly równie po mistrzowsku śpiczaste wierzchołki skalne, ale ciało jego ściągnęło się i głód, ten osłabiający głód, przyłączył się jako nowy wróg do starego.

Pięć tygodni trwała ta walka, a jedyną chwilą odpoczynku był czas, gdy zawieja śnieżna z zachodu zapaściła swą zasłonę.

Potem nastąpiły dwa tygodnie, w których myśliwy i baran nie spuszczały siebie z oczu.

Z rana podniósł się Scotty ze swego mroźnego legowiska i spojrzął na zwierzę pasące się w dalekiej odległości, jakby chciał powiedzieć:

„no, już czas rozpocząć”, a baran wierzgnął nogami, podniósł nos w kierunku wiatru i zaczął się poruszać to wolniej, to prędzej, ale zawsze pilnując pięćset metrowego punktu granicznego. Gdy Scotty usiadł, baran zabierał się do paszenia. Schował się myśliwy, on pobiegł na miejsce, gdzie nie mógł być w żaden sposób zaskoczony. Gdy tamten przystanął nieruchomo, przyjrzał mu się baran ostro również w pozycji nieruchomej. Tak wędrowali wokół, aż przeszło jedenaście tygodni bez przygód nadzwyczajnych. Zdawało się, że Rogacz tak przywykł do swego prześladowcy, że uważał go już jako zło konieczne. Pewnego nawet dnia, gdy Scotty lornetował północną stronę, posłyszał głośne sapnięcie po za sobą, obejrzał się i ujrzał barana niecierpliwie oczekującego. Wiatr zmienił się i z nim zmienił i Rogacz kierunek swych wędrówek. Raz musiał nawet Scotty dwie godziny mordować się, aby przejść rzekę, którą baran przeskoczył jednym susem. A gdy wreszcie dosięgnął drugiego brzegu, posłyszał znowu za sobą sapnięcie i przekonał się, że sprytne zwierzę umyślnie podeszło bliżej, aby sprawdzić, gdzie on się znajduje.

O Rogaczu, dzielny baranie górski! Nie igraj tak długo z twym zaciętym wrogiem! Dlaczego bawisz się śmiercią? Czyż wszystkie znaki ostrzegawcze matki wiatru miałyby być nadaremne? Naprzód, wciąż naprzód! Rób co możesz, żeby się wyratować. Pamiętaj, że śnieg, który cię tyle razy ocalił, może cię teraz zdradzić!

XVII.

W ten sposób obaj przewędrowali przez zimę całe pasmo górskie, ścieżka za ścieżką, aż het w górę do pasa gniazd wronich. Potem zwróciła się niezmordowana para naprzeciw białego wiatru ku zachodowi, a stąd na południo-zachód do pasma Jaltoru. Dzień za dniem szła ta sama zabawa.

Dwa ciemne punkty poruszały się na wielkiej płaszczyźnie śnieżnej. Czasem ślady ich krzyżowały się ze śladami owiec i innych dzikich zwierząt. Raz spotkał Scotty górników, którzy zaczęli go i namawiali do powrotu, ale ten spojrział na nich zdumiony i odszedł, nie przemówiwszy słowa.

Polowanie na upartego barana stało się teraz podstawą jego życia. Nic nie mogło go zwrócić z tej drogi, ani powstrzymać w zapędach; teraz nie było żadnych przeszkód, nawet burze śnieżne nie nawiedzały gór, biały wiatr spoczywał i natura sama zachęcała do dalszych zapasów.

Wciąż naprzód i naprzód, w odległości mniej więcej pół kilometrowej! Zdawało się, że na obydwuch czas i śmierć położyły swe dłonie. Obydwoj stawali się coraz bardziej zacięci i coraz bardziej chudzi. Włosy Scottego stały się całkiem białe, a ramiona i głowa Rogacza również posiwiały, tylko oczy jego i rogi pozostały zawsze te same i z równą dumą były noszone, jak w pierwszym dniu walki,

Codzień rano wstawał myśliwiec zziębnięty i zeszywniały, i pierwsze kroki kierował za śladami barana, usiłując trafić go strzałem, ale codzień zwierz zauważył to w porę i poskoczył w górę, zanim go mógł dosięgnąć.

Wreszcie doszli znowu do Szczytu Baraniego, miejsca rodzinnego Rogacza. Tutaj pewnego poranku siedli dla wypoczynku naprzeciw siebie o sześćset metrów oddaleni, na dwóch grzebieniach skalnych.

Dwanaście tygodni wodził człowieka baran po rozległych, poszarpanych łańcuchach, na przestrzeni tysiąca kilometrów, aż go doprowadził do miejsca swego urodzenia!

Obydwaj włożyli w te śmiertelne zapasy pół życia, a jednak z jednakową siłą myśleli, jeden o sposobach zniszczenia, drugi o sposobach ratunku.

Siedział teraz myśliwy i palił fajeczkę, a baran korzystał ze swobody i skubał trawę. Nagle człowiek przestał palić fajkę i uśmiechnął się: jakiś zły duch go opanował i poddał mu przebiegły plan. Wstał cichutko, uciął parę gałązek z brzozy rosnącej obok niego, przyniósł kilka kamieni, umocował gałęzie i ubrał je w swą kurtkę, tak żeby tej figurze nadać pozór człowieka. Sam zaś popełzał ostrożnie, ukrywając się starannie, w stronę pasącego się barana. Po godzinnem uciążliwym pętaniu dotarł do wzgórza po za Rogaczem.

Tam stał on, majestatyczny Rogacz, ze swymi olbrzymimi rogami, które wiły się nad jego

czołem jak chmury burzowe nad szczytem góry. Stał bez ruchu wpatrzony w stojącą figurę, zdziwiony długo nieruchomością swego prześladowcy.

Tymczasem właściwy człowiek znajdował się za nim z tyłu, oddalony nie więcej jak na 300 m. Przestrzeń między nimi była wolna i pusta, tylko dwa bloki kamienne leżały na szerokiej białej płaszczyźnie.

Scotty położył się na ziemi i nakrył się śniegiem. Na odległość 200 m. zaczął znowu pełzać z oczami zwróconymi wciąż na wielką głowę barana, przytem poruszał się tak szybko, jak nigdy dotychczas.

Baran wciąż spoglądał na nieruchomą postać i nawet wierzgał niecierpliwie nogami. Raz obejrzał się szybko i byłby zapewne spostrzegł podkradającego się człowieka, gdyby nie jego własny róg, wielki jego prawy róg, który stanął między jego okiem a wrogiem! W ten sposób ominięła ostatnia nadzieja ratunku.

Bliżej, coraz bliżej podchodził zły człowiek do bloków kamiennych, wreszcie znalazł się o 50 m. tylko oddalony od przedmiotu swych pożądań. Pierwszy raz w życiu ujrzał z tak bliska te sławne rogi. Widział wielkie, szerokie ramiona, pięknie wygiętą szyję, wszystko majestatyczne, chociaż ślady tego trzymiesięcznego szamotania nie zdołały się ukryć. Słyszał nawet oddech i widział drżenie nozdrzy, mógł podziwiać błyszczące życiem oczy bursztynowe...

A jednak podniósł powoli broń.

O ojce, wietrze zachodni, zadmij przecieź!
Nie dozwól by się to stało! Czyż twoja cała
moc znikła? Czyż nie leży na każdym szczycie
górkim masa śniegu, czekająca twego rozkazu?
Wystarczyłoby tylko troszkę, jeden raz tylko!
Czyż najszlachetniejsze, najdzielniejsze stworze-
nie, żyjące na tych górach, ma być zniszczone
przez najniższe instynkty ludzkie?!

Ale nigdy powietrze nie było tak ciche.

Czasem sroki górskie, przyjaciele owiec, o-
strzegają je przed niebezpieczeństwem. Dzisiaj
jak daleko i szeroko nie było widać ani jednego
ptaka, a Rogacz stoi jak przykuty do miejsca
i obserwuje swego nieruchomego wroga tam
daleko.

Ku twarzy podnosi myśliwy fuzję, która nigdy
nie chybiła. Ale ręka, która nigdy nie zadrżała,
choć miała po za sobą dwadzieścia żyć ludz-
kich, teraz trzęsie się jak w febrze.

Czyż dwie dusze kołatały się w jego piersi?

Ale ręka uspokoiła się, a twarz myśliwca stała
się ponura i stanowcza.

Wystrzelił, ale w tej chwili schował głowę,
bo wystrzał ten brzmiał całkiem inaczej, niż za-
wsze.

Posłyszał szelest na pobliskich kamieniach,
potem długie przeciągłe sapnięcie!

Nie spojrzął jednak, nie ruszył się nawet.

Po paru minutach wszystko ucichło. Scotty
podniósł trwożnie głowę. Czyż jego nie było,
czy się co z nim stało?

Tam na śniegu leżała potężna szaro-brunatna postać i z jednego jej końca wystawały dwa bliźniacze rogi, dwa bajeczne twory życia pełnego blasku, które nosiło przez piętnaście lat dzielne, pełne chwały zwierzę, a które na raz stały się nieruchome i bezbronne.

Dzieje piętnastu lat rysowały się na tych olbrzymach. Oto na samym wierzchołku obtarte szpice, które mu jako jagnięciu przyniosły zwycięstwo; później lata młodzieńcze z długimi, silnymi pierścieniami, a tu pierścień chorobliwy, obok zaś szczyrba przypominająca jego pierwszy pojedynek. Szpice zakreślały koło, a na nich wisało, gdyby można to było zobaczyć, życie wielu wieków, które właśnie na jego życie czyhały. I tak dalej pierścienie były dowodem istnienia, którego wielka wartość była właśnie powodem jego gwałtownego końca.

Powoli szedł Scotty na to miejsce zwycięskie, ale nie spojrzał wcale na rogi, tylko oniemiały patrzył w ciche żółte oczy, które całkiem otwarte jak żywe patrzyły w dal.

Stary myśliwiec stał odrętwiały i nie mógł sam siebie zrozumieć. Nie mógł zdać sobie sprawy, że był to jakby spadek gwałtowny ze stromej skały, na którą piął się przez długi kawał życia. Odszedł i usiadł tyłem do rogów o dwadzieścia metrów oddalony. Sprobował zażyć tabaki, ale usta miał suche i nie mógł nawet splunąć. Co mu się stało? Człowiek ten, którego celem życia były te rogi, nie miał siły

przyjrzeć się im zblizka. On, z którego ust płynęły zwykle tylko potoki przekleństw lub ohydnych pożądań, siedział milczący, aż wreszcie wyszeptak:

— Gdybym mógł, oddałbym mu je!

Spojrzał w przestrzeń. Oczy jego padły na rozwieszony surdut, poczuł że mu zimno i poszedł po niego. Potem wrócił do leżącego Rogacza: dzika żądza rozkoszy opanowała go względem ciała swej ofiary, tak jak pantera, która upolowawszy daniela, pieści się z nim, zanim zabierze się do pożarcia.

Przyniósł drew suchych, rozpałił ogień wyjął nóż i zabrał się do obnażenia szyi barana w celu obcięcia głowy. To była zwykła jego czynność, tak że wykonywał ją mechanicznie; urznął sobie przytem sporo mięsa dla zaspokojenia głodu. Wreszcie, ugiąwszy ramiona pod ciężarem trofei, ciężarem, któregooby nie czuł nawet przed trzema miesiącami, poszedł wolnym krokiem, stary, wynędzniały, osiwiwały, wyczerpany człowiek ku chacie, którą opuścił przed dwunastoma tygodniami.

XVIII.

— Nie! na pieniądze nie da się ocenić — mruknął Scotty i milcząc odwrócił się od preparatora, by układowi o sprzedaż położyć koniec. Potem puścił się w powrotną 500 kilometrową drogę do swego samotnego domu z preparowaną głową Rogacza na ramieniu.

W domu zdjęł zastłonę, okrywającą skarb jego i powiesił w najlepszym miejscu na ścianie, wystawiając na jak najlepsze światło. Preparator zrobił swą robotę doskonale: rogi były niezmięzione, a piękne złote oczy patrzyły jak żywe, i gdy światło pokojowe użyczyło im swego blasku, odnowiły się w sercu starego myśliwego wszystkie uczucia, których doznawał wówczas na Szczycie Baranim; szybko więc zapuścił zastłonę na głowę słynnego barana.

Przyjaciele Scottego opowiadali, że ta piękna głowa Rogacza była zawsze zasłonięta i nigdy nie było o niej mowy. Jeden tylko mówił, że widział jak raz Scotty ją odkrył, patrzył na niego „bardzo dziwnie” i szeptał: „tak, to są moje rogi, ale i ze mną będzie kwita!”

Cztery lata upłynęły. Scotty, zwany teraz „zgrzybiałym Scottym”, nie dotknął przez ten czas fuzji. To ostatnie, namiętne, szalone polowanie wyniszczyło go całkowicie. Żył byle czem, o zarobki nie dbał, na ludzi nie patrzył, uważano go za obłąkanego.

Pewnego dnia zimowego odwiedził go stary kolega. Rozmowa nie zawierała więcej jak jedno zdanie na godzinę.

— Słyszałem, — rzekł wreszcie przybysz — żeś zabił Rogacza?

Scotty poruszył głową potakująco.

— Czy mogę go zobaczyć?

— Tam jest — odrzekł stary i wskazał głową wiszący na ścianie przedmiot.

Przybysz zdjął zasłonę i wydał kilka okrzyków zachwyty, których Scotty słuchał niemy i ponury, jednakże odwrócił się i sam spojrzął na cudną głowę.

Właśnie palił się ogień na kominku i rzucał czerwone promienie na szklane oczy barana, udzielając im czerwonego, gniewliwego blasku.

— Zastoń, gdy będziesz miał dość — rzekł Scotty i odwróciwszy się, dalej palił swoją fajkę.

— Powiedz mi, bracie, dlaczego nie sprzedasz tych rogów, jeśli cię tak gniewają? — rzekł przybysz — ten z New Yorku kazał powiedzieć, że chce dać ci...

— Do piekła z waszym New Yorkiem! Ja nigdy go nie sprzedam, ja go się nigdy nie pozbędę. Tak długo byłem u niego, aż koniec był z nim, i on teraz zostanie ze mną tak długo, aż będzie kwita ze mną. Te cztery lata oddał mi. Na tych wzajemnych wyścigach wówczas złamał mnie zupełnie, zrobił ze mnie starca, niedołęgę! Życie mi całkiem wyciągnął. Ale jeszcze nie koniec ze mną. Lecz tutaj jest z niego coś więcej, niż głowa. Mówię ci, gdy stary Chinook dmie w dolinie, słyszę tu głosy, których wicher nie może wydać. To brzmi tak jak wtedy, gdy mu życie nosem uleciało i ja leżałem obok niego twarzą na ziemi. Potem leżałem na nim i tu zaczął się koniec mój.

Nocy tej dął biały wicher, i gwizdał, i syczał naokoło chaty Scottego. Przybysz nie robiłby sobie nic z tego, ale wiatr ten tak dziwnie brzmiał i huczał przeze drzwi, że aż skoble

trzeszczały i przez szpary w oknach dostawał się do izby, podnosząc gwałtownie zasłonę z głowy barana.

Scotty rzucił na kolegę swego dzikie, straszne spojrzenie, nie przemówił ani słowa. Ale tamten poblądł śmiertelnie.

Nad ranem zaczął padać śnieg, i przybysz puścił się w drogę, bo w chacie Scottego nie był w stanie dłużej pozostać.

Przez cały dzień dał biały wiatr, a śnieg pokrywał wciąż ziemię i drzewa. Coraz wyżej i wyżej sięgał, wszystkie niższe wierzchołki pokryły się całkowicie, zaokrąglając się kopulasto, wszystkie dolinki zrównały się z otoczeniem. Cały dzień padały miękkie, białe płatki, nie rozwiewały się na wszystkie strony, lecz gromadziły się masami coraz więcej, coraz pulchniej i coraz ciężej, bez przerwy, bezustanku... A gdy noc nadeszła, dał Chinook jeszcze mocniej i jeszcze głośniej. Ze szczytu na szczyt przeskakiwał gwałtownymi skokami, niby nie podmuch powietrza, ale żywe stworzenie, tak jak pojmowali go Grecy lub Indjanie, duch, który pobudza do życia istoty, kocha je i ochrania. Jak potężny bóg przyszedł, jak anioł złości, z grzmiącym rogiem w ręku, ze straszliwą wieścią od morza zachodniego, z wojennem poselstwem, śpiewający tryumfującą pieśń:

Ojcem jestem, biały wicher!
Śniegi i szczyty gór są memi dziećmi,
Teraz wszystko ugina się pod władzą moją,
Musi mi służyć tej nocy, służyć posłusznie.

Tu i owdzie, jak na rozkaz, działy się dziwne rzeczy na szczytach górskich. Tu powstawały jeziora, tam zostały zniszczone: zostali rozesłani posłowie życia i śmierci. Z Purcelowego szczytu zsunęła się lawina: porobiła w bokach góry głębokie brózdy i rany; druga, którą przysłał biały wiatr, spuściła swe wody na spragnioną ziemię, jako poseł miłosierdzia. Ale ze Szczytu Baraniego toczyła się olbrzymia masa, posłaniec zemsty. Niżej, coraz niżej leciała z głośnym jękiem, spadała z ramion, z brzegu góry, na las zakrywający jej drogę, niszcząc go doszczętnie; teraz trzeszczy, skacze, toczy się, rwie w nieustannym gwałtownym pochodzie. Niżej, niżej, coraz wścieklej, w strasznych skokach i rzutach.

Chata Scottego została zdruzgotana ze wszystkim, co w niej było i żyło. Stary myśliwiec przeczuł swój los. Opiekun Rogacza—ojciec wicher zachodni nadszedł od morza Zachodniego: długo wahał się, aż wreszcie przyszedł.

*

*

*

Na skalistych górach świta wiosna. Cichutko zmywa deszcz zachodni masy śnieżne. Powoli ukazują się szczątki chaty Scottego, między niemi widnieje pośrodku nieuszkodzona głowa Rogacza: bursztynowe jego oczy pod osłoną cudownych rogów błyszczą jak za życia, a obok niej leżą połamane kości i pęki siwych włosów ludzkich.

O starym Scottym już dawno zapomniano, ale głowa dzielnego Rogacza jest dotychczas ozdobą ścian pewnego pałacu — klejnot nad klejnotami. A gdy goście podziwiają te cuda natury, snują się opowiadania o czynach bohaterskich sławnego barana ze Szczytu Baraniego.



T R E Ś Ć.

GRYZLI UAB.

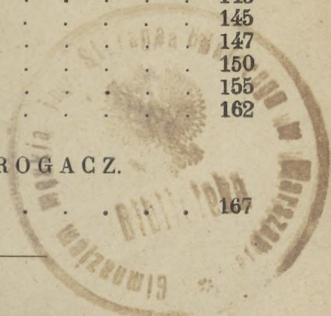
| | |
|----------------------------|----|
| Dzieciństwo Uaba | 7 |
| Dni jego siły | 32 |
| Starość i śmierć | 52 |

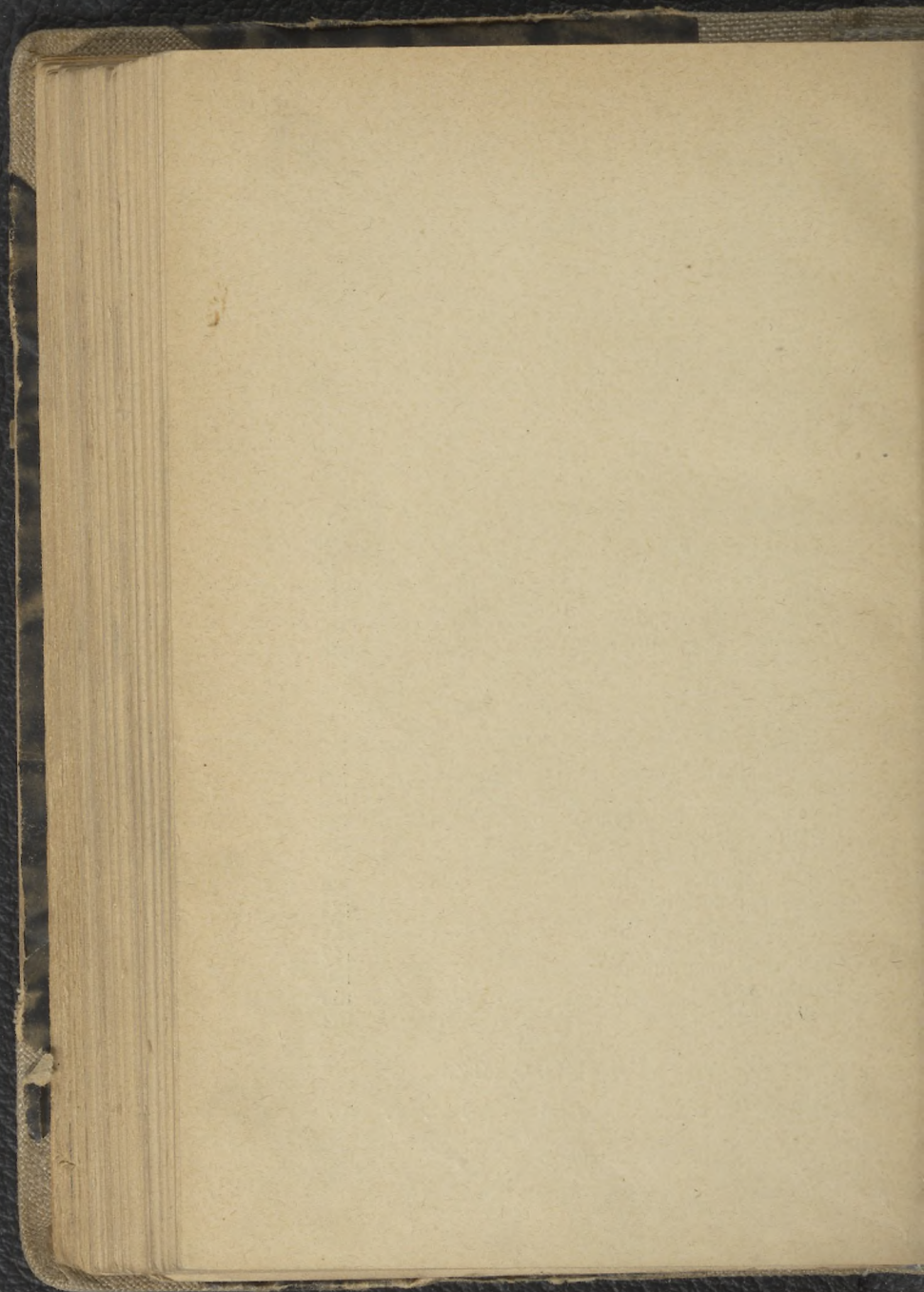
SREBRNY LIS.

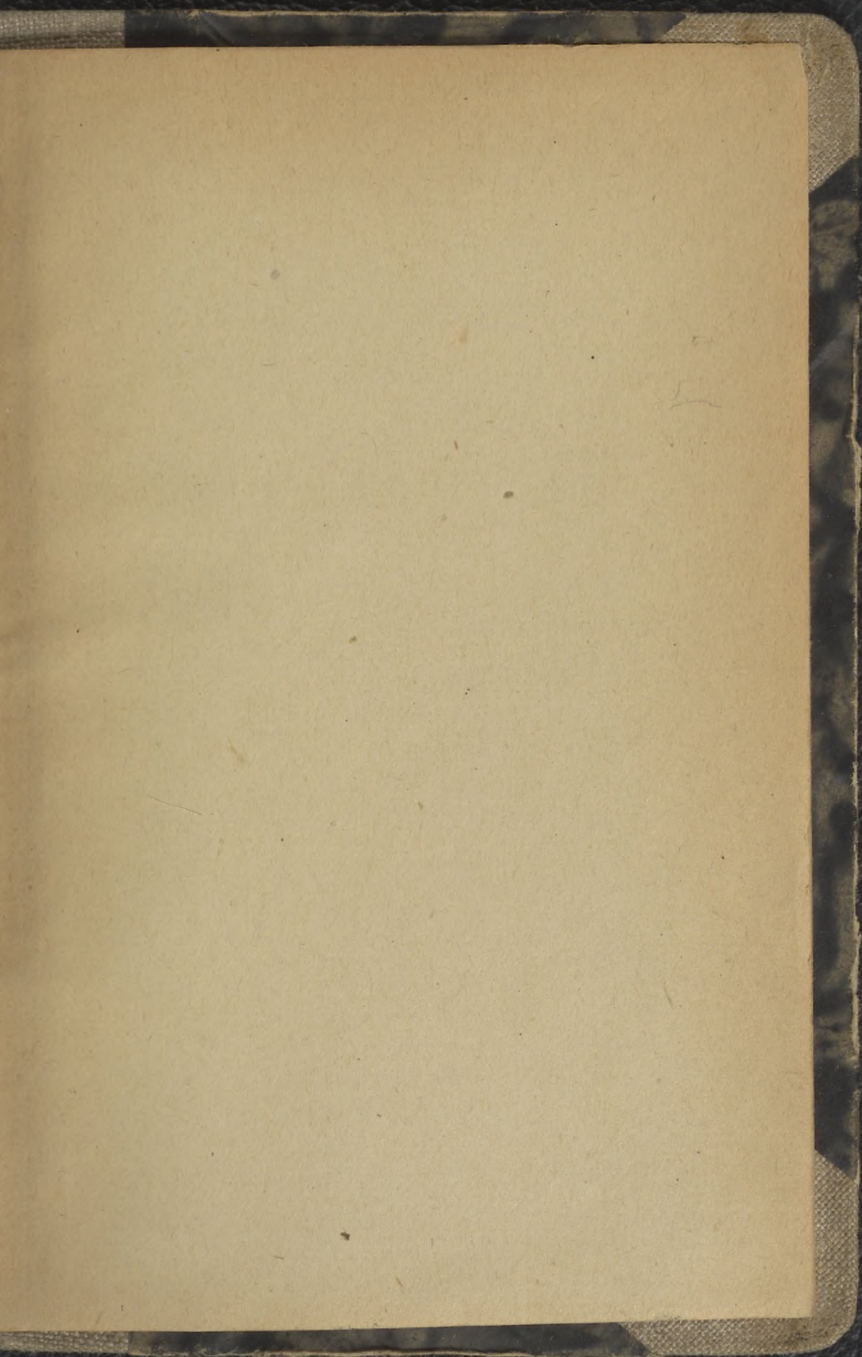
| | |
|--------------------------------------|-----|
| Część I | |
| Jego pierwsze mieszkanie | 77 |
| Niepokój | 83 |
| Nowe mieszkanie | 86 |
| Nowy wygląd i nowe życie | 90 |
| Piękność i bestja | 95 |
| Zimowe życie Domina. | 100 |
| Domino znajduje towarzyszkę. | 103 |
| Część II | |
| Wiosna. | 109 |
| Wielkie zdarzenie | 114 |
| Dawniejszy wróg | 119 |
| Daniel | 121 |
| Czarodziejka | 125 |
| Miododajny bodiak. | 129 |
| Lato i ludzkie stworzenie | 132 |
| Domina rodzina | 135 |
| Część III | |
| Nowe próby i tryumf | 140 |
| Ceremonja duchowa | 143 |
| Morderca owiec | 145 |
| Obrońca Snieżnokryzki | 147 |
| Probiierz silnego ducha | 150 |
| Rzeka i noc | 155 |
| Księżyc róż | 162 |

DZIELNY ROGACZ.

| | |
|------------------------|-----|
| Baran Górski | 167 |
|------------------------|-----|













49272